ANALIZA ŁUKASZA WARZECHY

Czy Polska na pewno potrzebuje nowej konstytucji?



Wywiad z ks. Davide'em Pagliaranim, przełożonym generalnym Bractwa św. Piusa X



Historia Polki zamordowanej przez Sowietów w Kozielsku

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 20/680 11–17 MAJA 2026
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Sztuczki Zełenskiego

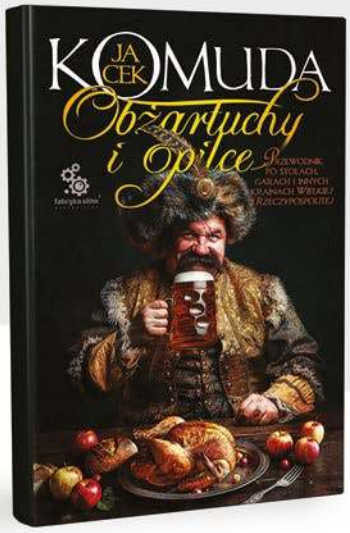
JAK PREZYDENT UKRAINY ZMUSZA INNE PAŃSTWA DO FINANSOWANIA WOJNY Z ROSJĄ

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK KOMUDA: „OBŻARTUCHY I OPILCE” ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

<<<

~~601 ZŁ~~

290,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 311 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 430f3f0d50



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Za wszelką cenę?

Gdyby wsłuchać się w głosy polityków Prawa i Sprawiedliwości, komentujących możliwość przeniesienia się do Polski 5 tys. żołnierzy USA z Niemiec, można by dojść do wniosku, że Polska znalazła się przed dziejową szansą. Najmocniej w tej sprawie wypowiedział się były premier Mateusz Morawiecki. „Mamy ogromną szansę, dzięki działaniom prezydenta Nawrockiego, na utworzenie stałej bazy wojsk amerykańskich w Polsce […]. Otwiera się wyjątkowe okienko, wyjątkowa szansa na utworzenie stałej bazy wojsk amerykańskich, stałej dywizji. 5 tys. z Niemiec, dodając do naszych 10 tys. i jeszcze 5 tys. z USA i mamy już niepełną dywizję amerykańską, uzbrojoną po zęby" – powiedział były premier. I dalej w podobnym duchu: „To wiekopomny moment. Obecny premier popełnia coś więcej niż zbrodnię, popełnia błąd w tym sensie, że zamiast robić wszystko, aby przyciągnąć tych żołnierzy amerykańskich do Polski, z Niemiec, Hiszpanii, jakiegokolwiek kraju, to on woli malutki punkcik zarobić u naszego zachodniego sąsiada, który myślę, że patrząc na wypowiedź polskiego premiera, z jednej strony śmieje się, z drugiej strony gardzi nim" – to oczywiście krytyka pod adresem Donalda Tuska, który do pomysłu przenosin Amerykanów do Polski podchodzi sceptycznie. Pominę tę rozgrywkę Morawieckiego i Tuska, ważniejsze jest uzasadnienie, które podaje były premier. Otóż według niego pojawienie się żołnierzy USA w Polsce to „gigantyczna" szansa na „zmianę układu geopolitycznego w naszym regionie". W jej wyniku Polska może być „naprawdę bezpieczna". „Możemy podnieść nasz poziom bezpieczeństwa o dwa piętra wyżej" – twierdzi Morawiecki.

Rozumowanie byłego premiera wygląda tak: obecność amerykańskich żołnierzy w Polsce to gwarancja bezpieczeństwa Polski. Dlatego trzeba robić, co w naszej mocy, żeby ich tutaj – korzystając z napięć na linii Donald Trump inne państwa NATO – ściągnąć. W ten sposób poziom bezpieczeństwa Polski rośnie. Czy to rozumowanie jest prawdziwe?

Po pierwsze, premier Morawiecki, tak jak wszyscy niemal politycy PiS, stawia znak równości między militarną obecnością USA i bezpieczeństwem Polski. Dlatego należy robić „wszystko, żeby ich przyciągnąć". Dobrze tłumaczy to rozumienie relacji Warszawa – Waszyngton w wersji PiS: zrobimy wszystko, co trzeba, zapłacimy każdą możliwą cenę, byle tylko „przyciągnąć Amerykanów". Obecność amerykańska staje się tym samym jedynym panaceum na wszelkie możliwe zło. Nie ma sensu zatem patrzeć na koszty – tak utrzymania Amerykanów, jak i wszelkich innych możliwych opłat, zakupów sprzętu czy surowców lub przywilejów dla amerykańskich firm – bo nie ma takiej ceny, której nie warto by było zapłacić dla bezpieczeństwa. Koncepcja jest prosta: dajmy Amerykanom wszystko, co mogą chcieć, a wtedy oni się tu pojawią i będą odstraszać innych, w domyśle, Rosję. Takie rozumowanie nie jest zatem oparte na analizie interesów czy obopólnych korzyści, ale na wierze w łaskę i histerycznym strachu przed Moskwą.

Im bardziej będziemy okazywać USA, jak bardzo ich potrzebujemy, tym bardziej oni dadzą nam bezpieczeństwo. Przykro mi to powiedzieć, ale to rozumowanie pariasa, a nie polityka myślącego w kategoriach suwerennościowych. Myślenie w kategoriach suwerennościowych oznacza, że nie wolno ślepo oddawać swego losu i bezpieczeństwa w ręce jednego, jedynego, obcego partnera. Powód jest prosty: USA zawsze w pierwszej kolejności będą się kierować swoim, a nie polskim interesem.

To właśnie, po drugie, pokazuje sprawa owych potencjalnych przenosin. Dlaczego Donald Trump zapowiada wycofanie części żołnierzy z Niemiec? Bo obraził się na brak poparcia ze strony NATO, m.in. Niemiec, dla swojej wojny z Iranem. Kto ma w tym sporze rację, napisałem dwa tygodnie temu: nie ma powodu, żeby państwa NATO, sojuszu obronnego, których nikt nie prosił o akceptację, miały angażować się w awanturę wywołaną pospołu przez Donalda Trumpa i Beniamina Netanjahu. Ogłoszenie, że Polska przyjmie teraz owych amerykańskich żołnierzy, oznacza de facto opowiedzenie się w tym sporze po stronie Waszyngtonu, a więc uznanie, że USA mogą na własną rękę wszczynać wojny niejako w imieniu całego NATO, a potem domagać się od sojuszników wsparcia. Logiczny wniosek jest taki, że gdyby obecnie rządziło Prawo i Sprawiedliwość, to Polska udzieliłaby wsparcia Amerykanom i wysłała wojsko na Bliski Wschód.

Więcej: logiczny wniosek jest jeszcze inny – skoro utożsamia się bezpieczeństwo Polski z obecnością żołnierzy USA w Polsce, to faktycznie oznacza podporządkowanie się Warszawy fanaberiom i posunięciom kolejnych prezydentów USA. A co, jeśli w następnych wyborach w Stanach Zjednoczonych wygra lewicowo-liberalny demokrata? Czy i wtedy polska prawica będzie chciała spełniać każde jego życzenie?

Dziwne, ale tych pytań politycy PiS sobie w ogóle nie zadają. ©℗

eprasa.pl 430f3f0d50



TEMAT TYGODNIA

16 ADAM WIELOMSKI
SZTUCZKI ZEŁENSKIEGO
Ukraińska kultura polityki międzynarodowej

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
GRA PREMIEREM POLSKI
Jak przywódcy mocarstw wykorzystują Donalda Tuska

24 FILIP MEMCHES
CZY KO SKRĘCA W PRAWO? LEGENDOWANIE TUSKA

26 ROZMOWA Z JANEM KRZYSZTOFEM ARDANOWSKIM
LARUM DLA ROLNICTWA

28 PIOTR SEMKA
SKROMNY PRACOWNIK WINNICY PAŃSKIEJ Z ZAMBROWA. POŻEGNANIE ABP. JÓZEFA MICHALIKA

31 MICHAŁ MURGRABIA
WIĘCEJ IMIGRANTÓW – WIĘCEJ PRZESTĘPSTW

32 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
„KWIATKI POLSKIE". NIEŚMIESZNIE I NIESMACZNIE

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
HISTORIA HULKA HOGANA
Serial dokumentalny Netflixa

NIE PRZEGAP

36 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

40 ŁUKASZ WARZECHA
CZY POLSKA NA PEWNO POTRZEBUJE NOWEJ KONSTYTUCJI?
Inicjatywa prezydenta Karola Nawrockiego

43 ROZMOWA Z KS. DAVIDE'EM PAGLIARANIM
MIĘDZY BRACTWEM ŚW. PIUSA X A WATYKANEM

48 PAWEŁ CHMIELEWSKI
JEDNOŚĆ ZAMIAST PRAWDY

50 DARIUSZ J. GWIAZDOWICZ
POWIEDZ MI, CO JESZ. IDEOLOGIA NA TALERZU

HISTORIA

52 LECH MAŻEWSKI
PIŁSUDSKI KONTRA WITOS
Setna rocznica wojskowego rokoszu majowego

56 ROZMOWA Z AGATĄ PUŚCIKOWSKĄ
HISTORIA POLKI ZAMORDOWANEJ PRZEZ SOWIETÓW W KOZIELSKU

ŚWIAT

58 JACEK PRZYBYLSKI
NATO 3.0
Strategiczne zmiany w dwubiegunowym świecie

62 MACIEJ PIECZYŃSKI
ROSJA WRACA NA SALONY

EKONOMIA

66 ROZMOWA Z KACPREM ZAGAŁĄ I BENEDYKTEM KOZICKIM
KLUCZ DO KRYPTOWALUT
Od pizzy za miliony po Zondacrypto

69 MARIA KĄDZIELSKA-KOPER
MADE IN VIETNAM



PODRÓŻE

72 RYSZARD CZARNECKI
RAJD PO PAKISTANIE
Islamski olbrzym

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (8), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (10), JASTRZĘBOWSKI (11), ŻEBROWSKI, KOPER (55), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (65), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 430f3f0d50

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Isabella Bonotto/Anadolu/Getty Images**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratаprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Dlaczego Zachód przegrywa", Filip Memches, „DRz" nr 18/2026

Szanowna Redakcjo,
bardzo trafnie napisany tekst pana Filipa Memchesa „Dlaczego Zachód przegrywa" („Do Rzeczy" nr 18/2026) skłania do szerszej tezy, że bywają słowa, które robią karierę, słowa wytrychy, które wszyscy rozumieją jednakowo, za pomocą których można wszystko wytłumaczyć.

Takim słowem w Polsce od kilku lat jest „Rosja". To Rosja zabiła nam prezydenta, Rosja wywołała inflację, Rosja wysyła balony i rakiety na nasze domy. Chce zniszczyć demokrację, stoi za wrogami UE, drenuje z pieniędzy nasz budżet. Wysadziła rurociągi na Bałtyku, spowodowała wzrost cen ropy, stoi za PiS, Braunem, przekabaciła na swoją stronę Tuska, rządzi Konfederacją – wybór dowolny, zależy, kto komu chce dowalić. Kiedy chłopak na przerwie przybiega ze skargą, że go ktoś pobił, a pani groźnie pyta: „Kto to?", dzieci zgodnie odpowiadają „Rosja – proszę pani!". Takie słowo to wspaniały wynalazek. Usprawiedliwia wszystko i sprawia, że robimy to, co oczywiste i konieczne. Z nim każda decyzja rządzących ma uzasadnienie. Musimy wejść w SAFE, pomagać Ukrainie, musimy się zadłużać, słuchać Komisji Europejskiej, stosować prawo, tak jak my je rozumiemy, i walczyć z wrogami demokracji i o klimat – bo przyjdzie Rosja! I zawsze sprawdzać, czy drzwi zamknięte, bo jeszcze do domu wlezie.

Najtrudniej jednak przy tym wszystkim zrozumieć, że Rosja nie zniknie i trzeba będzie z nią rozmawiać. I pewne jest, że inni już po cichu odliczają dni i miesiące, żeby wreszcie to zrobić. Bo racjonalnie rzecz biorąc, to duży rynek zbytu, a pewne i bezpieczne dostawy strategicznych surowców po rozsądnych cenach to świetny deal. A przy okazji można taniej wyprodukować, a drożej sprzedać wszystko tym, którzy wolą się na Rosję ciągle dąsać.

Pozdrawiam
Leszek Sebesta

Od autora

Szanowny Panie,
dziękuję bardzo za tę opinię. To prawda, że dziś w polskiej debacie publicznej mamy do czynienia ze zjawiskiem, o którym Pan pisze, a to z kolei infantylizuje dyskusje o realnych rosyjskich zagrożeniach. Warto bowiem dodać, że stanowisko państwa rosyjskiego wobec Polski pozostaje nieprzyjazne. Adresowane do Zachodu ultimatum Kremla z grudnia 2021 r., dotyczące m.in. obecności wojsk NATO na terenie naszego kraju, nie zostało odwołane.

Z poważaniem
Filip Memches

Gdy rozum śpi

Szanowni Państwo,
kiedy bagatelizuje się rozsądek i zaprzecza faktom, budzą się upiory. Co tam liczby i dowody, nibypandemia musiała się odbyć i się odbyła, chyba tylko po to, by „na ostatniej prostej" podawać nieprzebadane do końca szczepionki. Gdy zlekceważono porozumienia mińskie, na Ukrainie wybuchła amerykańsko-rosyjska wojna zastępcza. Kardynał Ryś ogłosił, że zbawienia dostąpią nawet osoby skażone grzechem pierworodnym. Obecnie premier Tusk zupełnie bezpodstawnie zapowiada – i to nie byle gdzie, bo w „Financial Times" – rychły atak Rosji na Polskę. Wyraźnie marzy o krwawej jatce również u nas. Mnożą się jakieś straszydła w postaci „nowej normalności", 500 płci, Zielonego Ładu, KSeF-ów, ETS-ów, marszałków zastępczych, praworządności itd. Prezydent Trump ogłasza oczywiste klęski zwycięstwami, ponieważ jest Mesjaszem, pani von der Leyen mataczy w kwestii szczepionek oraz umowy z Mercosur.

Naprawdę nie wiadomo, czego się trzymać, i człowieka, zwłaszcza młodego, ogarnia uczucie przygniatającego chaosu. Na szczęście zawsze coś wyjaśniają teorie spiskowe, które weryfikują się coraz szybciej, jak np. syjonizm chrześcijański.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

eprasa.pl 430f3f0d50

NA PIERWSZY OGIEŃ

Kameleony z ulicy Krokodyli



PIOTR SEMKA

Za dwa tygodnie mieszkańcy Krakowa pójdą do referendum w sprawie ewentualnego odwołania prezydenta Aleksandra Miszalskiego z PO i rady miasta. Ważność referendum zależeć będzie od frekwencji – przynajmniej 60 proc. populacji Krakusów. I zapewne z tego powodu dojdzie niedługo do znamiennej absencji. Aleksander Miszalski w tym roku nie pójdzie w Paradzie Równości organizowanej 23 maja przez środowiska LGBT+. Akurat dzień przed referendum.

A jeszcze niedawno ten sam Miszalski był wychwalany przez lobby gejowskie jako pierwszy prezydent w historii Krakowa, który pomaszerował w tęczowej paradzie. Jacek Majchrowski udzielał co prawda patronatu tej imprezie od 2021 r., ale sam nigdy w marszu nie brał udziału. Tej rewolucyjnej zmiany dokonał właśnie Miszalski w 2024 r. Swoją decyzję ozdobił wówczas górnolotnymi sloganami. Mówił: „Chcę budować Kraków wrażliwy i tolerancyjny, dom wszystkich i dla wszystkich otwarty [...], różnorodność jest naszą siłą i bogactwem. Nie bez przyczyny Kraków ma w swoim herbie symbol otwartych bram". To samo było w 2025 r., kiedy to Miszalski niósł nawet osobiście banner z napisem: „Kraków dla równości".

W tym roku organizatorzy zadbali odpowiednio, by wkurzyć konserwatystów. Na hasło marszu wybrali pierwsze słowa „Roty" Marii Konopnickiej – „Nie rzucim ziemi". Ten wybór ma jeszcze ukryty podwójny sens, bo autorki z kręgu LGBT+ od lat udowadniają, że Konopnicka miała ponoć żyć w homozwiązku z Ewą Dulębianką.

Ale zostawmy na boku te typowe dla homoparad prowokacje. Decyzja Miszalskiego o tym, aby na paradę nie iść, prawie w ogóle nie przebiła się na czołówki liberalnych mediów. A przecież tłumaczenia Miszalskiego są burleskowe. „W tym dniu prezydent ma komunię chrześniaka poza Krakowem" – wyjaśnia Joanna Krzemińska, rzeczniczka Miszalskiego. Zaklina się przy tym, że nieobecność prezydenta nie ma nic wspólnego z referendum.

Przypomina się Rafał Trzaskowski, który w maju 2025 r. miał mieć swój wiec w kampanii prezydenckiej na rynku w Krakowie. Wcześniej właśnie z powodu zbliżającej się Parady Równości jego kolega Aleksander Miszalski kazał oflagować rynek tęczowymi flagami. Ale aby te sztandary nie zaszkodziły panu Rafałowi, Miszalski kazał ściągnąć w nocy wszystkie tęczowe flagi i zastąpić je biało-czerwonymi. Sam zresztą Trzaskowski jest obecnie wściekle atakowany przez lobby LGBT+ za to, że zgodnie z zaleceniami rządu nie zgadza się, by wydawane na Zachodzie akty homomałżeństw automatycznie skutkowały uznawaniem takich związków w stołecznych urzędach.

Dlaczego platformersi decydują się na takie maskarady? Odpowiedź jest prosta. Mogą to robić. Część publicystów z lewej strony wzywa przecież oburzonych zwolenników homoparad do wyrozumiałości. Bo przecież najważniejsze to zatrzymać wściekłą prawicę.

Jak obecny prezydent Krakowa przetrwa, na pewno stawi się na przyszłorocznej homoparadzie, zapewne z jeszcze większym transparentem. ©℗



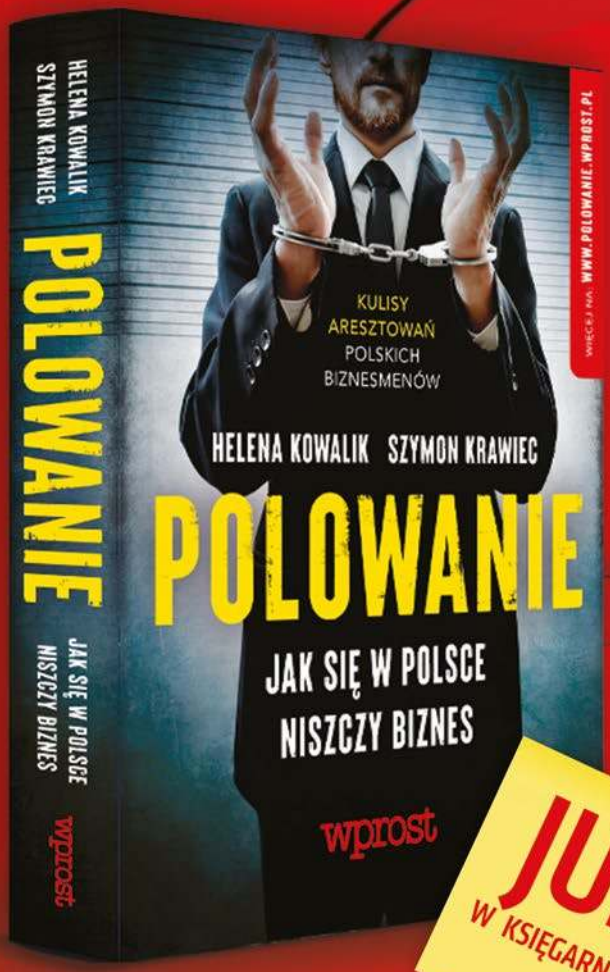
FOT. MAREK BORAWSKI/KPRP

BARTOSZ GRODECKI NOWYM SZEFEM BBN

Prezydent Karol Nawrocki powołał Bartosza Grodeckiego na szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Były wiceminister spraw wewnętrznych i administracji odpowiadał m.in. za kwestie migracyjne i nadzór nad Urzędem do spraw Cudzoziemców. Był również odpowiedzialny za kontakty ze Strażą Graniczną podczas pierwszych hybrydowych ataków ze strony Białorusi na polską granicę. Grodecki ma też doświadczenie w dyplomacji. W kwietniu z funkcji szefa BBN zrezygnował Sławomir Cenckiewicz.

eprasa.pl 430f3f0d50

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH



KULISY GŁOŚNYCH SPRAW I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE RELACJE

ROZMOWY Z EKSPERTAMI I LUDŹMI Z WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD 500 NAZWISK I FIRM

AUTORAMI SĄ DOŚWIADCZENI DZIENNIKARZE ŚLEDCZY

JUŻ W KSIĘGARNIACH

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.

Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.

W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt
+48 539 953 631 , +48 508 040 664



PARTNERZY:

Polska Rada Biznesu · ZPP · WEI · Fundacja Court Watch Polska · Fundacja Pomysł o Przyszłości · Comparic.pl · My Company Polska · Towarzystwa Biznesowe · BRIEF

eprasa.pl 430f30d50

dwaj panowie g

No i po maturze z polskiego. W każdym razie pisemnej. Jak co roku z zaciekawieniem wczytywaliśmy się w tematy, by wytknąć ewentualne błędy i zaniedbania. Niestety, w tym roku znaleźliśmy takie w obydwu tematach wypracowań. Pierwszy brzmiał: „Wpływ pracy na człowieka i na otaczającą go rzeczywistość". A przecież powinno być: „Wpływ pracy z polecenia Platformy Obywatelskiej na człowieka i na otaczającą go rzeczywistość".

Podobny błąd znaleźliśmy w temacie drugim maturalnego wypracowania z polskiego. Z nieznanych powodów brzmiał: „Kiedy dla człowieka jest ważne, jak postrzegają go inni?". A przecież powinno być: „Kiedy dla człowieka jest ważne, jak postrzegają go inni z Platformy Obywatelskiej?".

Oczywiście uważni czytelnicy i znawcy życia publicznego wytkną z kolei błędy naszym tematom. Słusznie. Przecież nie istnieje już coś takiego jak Platforma Obywatelska. Partia zmieniła bowiem nazwę na Koalicja Obywatelska. Tylko, głupia sprawa, nawet członkowie nowej-starej partii używają w rozmowach z nami sformułowań typu „a, bo u nas w Platformie". Wiecie, jak to jest. Można się pozbyć człowieka z Platformy. Ale Platformy z człowieka – nigdy!

Tymczasem w związku z licznymi sukcesami rządu rzeczywistość otacza nas coraz bardziej. W związku z czym w opozycji niektórzy powoli zdają się nieco trzeźwieć ze swej zaciekłości. Nie możemy jeszcze co prawda ogłosić triumfu hasła: „Nie ma wroga na prawicy", ale obserwujemy za kulisami zdecydowane odprężenie w rozmaitych relacjach. Między partiami. Niestety, nie dotyczy to relacji wewnątrzpartyjnych.

Relacja wewnątrzpartyjna w PiS wygląda bowiem tak: ojciec Mateusz, lider STROP (Stowarzyszenie Rozwój Plus), na lewo i prawo opowiada dziennikarzom, także tym, którzy PiS nie lubią, że generalnie to ma już dosyć i wychodzi z partii. Podaje nawet termin: pod koniec roku. W sam raz, żeby mieć trochę czasu na przygotowanie się do samodzielnego startu w wyborach.

Nie wszyscy w PiS wierzą w zapowiedzi ojca Mateusza. Panuje bowiem przekonanie, że powyższe wypowiedzi otwartym tekstem są jedynie próbą lewarowania pozycji STROP. Że niby jak się naczelnik Jarosław dowie, że Mateusz serio chce wyjść, to go zacznie bardziej serio traktować i w ogóle doceniać. Naszym zdaniem ta strategia ma jeden feler. Z historii wynika, że jeszcze nigdy naczelnik nie zaczął traktować lepiej kogoś, kto go próbował do tego skłonić. To tak nie działa.

Inna sprawa, że doświadczeni w wyborczych bojach i partyjnych rozgrywkach weterani prawicy zawsze powtarzają: z partii to się wychodzi po wyborach, a nie przed wyborami. Dlaczego? No bo w polityce realnie liczą się mandaty, a nie nadzieja na mandaty.

Odnotowaliśmy też w partii inne ruchy. Na przykład na powrót uaktywnił się były europoseł oraz były dobroczyńca klubu Stal Mielec, Tomasz Poręba. Wiewiórki mówią, że Poręba chce być parlamentarzystą z Podkarpacia. Plany ma dalekosiężne, łącznie z walką o Senat, co oznaczałoby, że rzuca rękawicę potężnemu przeciwnikowi, którym jest aktualny senator Zdzisław Pupa.

Skoro o personaliach: nowym szefem BBN został Bartosz Grodecki. Człowiek mało znany, bo nigdy nie miał parcia na szkło. Mało kto więc wie, że był on tajną bronią Mariusza Kamińskiego w stosunkach z Niemcami, jeśli chodzi o sprawy graniczne. Otóż zamiast samemu jeździć na spotkanie ze swoją odpowiedniczką Nancy Faeser, Kamiński zawsze wysyłał w tej sprawie Grodeckiego. Zasadniczo Niemka powinna robić to samo i wysyłać któregoś ze swoich zastępców. Jednak zawsze stawiała się osobiście. I – o dziwo – zgadzała się na wszystkie polskie propozycje. Zastanawiał nas ten fenomen. Spytaliśmy o to zaprzyjaźnioną niemiecką dziennikarkę, która użyła wobec Grodeckiego słowa „geil". Po polsku kobitki mówią „ciacho". Na urodzie męskiej się nie znamy, więc przyjmujemy tę opinię za dobrą monetę.



eprasa.pl 430f3f0d50



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Tymczasem w rządzie. W ostatnich dniach dało się odnotować ciąg spektakularnych sukcesów władzy. Na przykład szpitale zaczęły masowo wnioskować o zamianę oddziałów całodobowych w jednodniowe. Słusznie. Przecież w nocy ludzie śpią. No to przecież wtedy nie będą chodzić do szpitala.

Uważamy, że wyznaczony wyżej kierunek zmian jest słuszny i należy go kontynuować. Oddziały jednodniowe też bowiem budzą nasz sceptycyzm. No bo jak: kto spędza u lekarza cały dzień? Wiadomo, że najwyżej pół godziny, a i to tylko wtedy, jak nie ma kolejki. Sądzimy więc, że należy zamienić oddziały jednodniowe w półgodzinne.

Innym sukcesem rządu jest opodatkowanie ludzi, którzy nie czytają, nie oglądają i mają ogólnie w nosie tzw. artystów, opłatą reprograficzną na rzecz tychże artystów. Mamy z tym pewien problem. Uważamy bowiem, że za oglądanie większości artystów w Polsce trzeba byłoby raczej zapłacić widzom, a nie artystom.

Natomiast sam pomysł podatku reprograficznego nam się bardzo podoba. Proponujemy, by objąć specjalną opłatą ludzi, którzy powtarzają dalej plotki wyczytane w naszej rubryce. I przekazać tę opłatę nam. W tym celu powołaliśmy ZWARG – Związek Artystów Rubryki GG. Głównym zadaniem związku jest sprawiedliwe dystrybuowanie wpływów z opłaty plotkograficznej między członkami ZWARG.

Aha, był jeszcze jeden sukces rządu, tym razem w mediach. Pracownicy TVP odśpiewali na wizji „Sto lat" Wołodii Czarzastemu z okazji urodzin, kiedy ich odwiedził. No i jest kłopot. Przypominamy bowiem, że 22 kwietnia urodziny miał Donald Tusk. I nikt mu na wizji w TVP niczego nie śpiewał. Przypadek?

Wielkimi krokami zbliża się referendum w Krakowie. Nawiasem mówiąc, nie wiemy dlaczego wyznaczono je w dniu urodzin jednego z Panów G. Ale my nie o tym. Otóż dzielni miszalowcy wiedzą, że ich włodarz padnie w głosowaniu, jeśli będzie tylko odpowiednia frekwencja. A frekwencję – jak wiadomo – zapewniają emeryci. Dziwnym trafem akurat w dniu referendum mają być organizowane dla seniorów darmowe wycieczki. Wyjazd rano przed otwarciem urn, powrót wieczorem po zamknięciu urn.

Pamiętacie Pawła Szopę od Red is Bad, który trafił za kraty? Szybko jednak wyszedł, gdyż wpłacił kaucję. Wiecie w jakiej walucie? Otóż w bitcoinach. Katowicka prokuratura wskazała mu adres portfela krypto. A mówią, że takich portfeli używają grupy przestępcze. I w końcu to, co najpiękniejsze: Wiecie, w jakim mieście prowadzone jest śledztwo w sprawie Zonda? Tak, zgadliście.

W ubiegłym tygodniu ABW opublikowała raport za ostatnie dwa lata, a jej szef poleciał do „Rzeczpospolitej" chwalić się swoimi przewagami. Nasz znajomy, emeryt ze służb specjalnych, skomentował to sarkastycznie słowami: „Im jest gorzej, tym lepiej wyglądają raporty". Cóż. Sytuacja jest taka, że przyszłoroczny raport płk. Rafała Syryski będzie jeszcze lepszy.

Jeden z naszych ulubieńców, prokurator okręgowy z Wrocławia Daniel Drapała, postanowił przeprowadzić audyt. U siebie oraz w rejonówkach. Wydał zarządzenie, by wszyscy prokuratorzy zaprowadzili coś, co ochrzczono już „dzienniczkiem ucznia". Mają w nim rejestrować wszystkie możliwe czynności. Wszystkie. Wyjście do kibla i na papierosa też. Do tej pory myśleliśmy, że szczytem jego osiągnięć było paradowanie po firmie w stroju koguta w okresie Wielkanocy, a w stroju pajaca na Dzień Dziecka. Myliliśmy się.

Nasi czytelnicy zawsze protestują, kiedy w kolejnym wydaniu rubryki nie ma nowych informacji o człowieku zwany Qńiem, czyli najdłuższym polskim adwokacie. Zatem porcja Qnia na dziś: czy wiedzieliście, że Qń włada biegle mową Puszkina i Czechowa? Podobnie jak wiele innych faktów z jego życia odkryły to kilka lat temu nasze służby. Powiemy więcej: podobno nauczył się na prywatnych lekcjach udzielanych przez native speakerkę. Choć w tym przypadku raczej nositelkę języka. ©℗

eprasa.pl 430f3f0d50



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Lenz z wozu

Dominika Wielowieyska zszokowała użytkowników portalu X krytyką rządzącej formacji. Zdarza się jej to bardzo rzadko. Zacytuję wpis niemal w całości: „Koalicja Obywatelska udaje, że nic złego się nie dzieje. A tymczasem mamy sprawę senatora Lenza. Wrocławska TVP blokuje reportaż o Jacku Sutryku. Nie ma ustawy o mediach, TVP w likwidacji jest na telefon rządzących. W tej TVP występuje oskarżony Sławomir Nowak i niekontrowany kreuje się na męczennika [...]. Nie ma żadnej refleksji. Może pojawi się po wyborach jesienią 2027 r.”.

W komentarzach ktoś zwrócił uwagę, że Lenz to pikuś wobec sprawy Polnordu. I tu Wielowieyska z punktu odzyskała formę, oznajmiając, że ta sprawa „jest skomplikowana i niejednoznaczna”.

Skomplikowana? Niejednoznaczna? Roman Giertych zawierając umowy sam ze sobą jako pełnomocnik Polnordu i czterech spółek krzaków zarejestrowanych na jego pracownika, miał wyprowadzić z firmy 92 mln zł. Kiedy rzecz się wydała, zemdlał, by zamiast do aresztu trafić do szpitala, a potem ukrył się, dzięki wpływom stryja z Watykanu, we Włoszech. Po powrocie Tuska do władzy prokuratora, który zebrał dowody, wyrzucono, a nowy, przysłany z Warszawy, błyskawicznie śledztwo zamknął, uznając oficjalnie, że Giertych nie wiedział, co podpisuje. Czy może być coś prostszego i bardziej jednoznacznego?

„Przytulenie” 92 mln przez człowieka, który ma przemożny wpływ na premiera i do momentu zblatowania z nim tępiony był przez „Gazetę Wyborczą” jako „faszysta”, publicystki tej gazety nie oburza. Oburza ją skandaliczne, oczywiście, ale nieporównywalne z 92-milionową aferą nadużycie władzy przez senatora z trzeciego szeregu. Jak to rozumieć? Ja rozumiem jako apel: Tusku, wodzu nasz, nastroje robią się takie, że aby nasz obóz zachował władzę, trzeba jak baron Münchhausen kogoś zrzucić z wozu na pożarcie PiS-owskim wilkom. Oczywiście nikogo ważnego – jeśli zrobi się to szybko, wystarczy jakiś Lenz, Sygut czy Gorgosz. Potępi się „wypaczenia” i…

Kiedyś działało. ©℗



JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Stręczyciele

Gdy system ochrony zdrowia jest w największym od lat kryzysie, gdy znikają z mapy kraju porodówki, gdy kilkadziesiąt szpitali deklaruje odejście od systemu opieki całodobowej, a łączny niedobór środków w systemie na bieżący rok szacowany jest na 23 mld zł, Ministerstwo Zdrowia rozkręca propagandową kampanię nakłaniającą rodziców i opiekunów do szczepienia dzieci i nastolatków przeciw HPV. Szczepienia są bezpłatne, co nie oznacza, że darmowe.

Koszt dwóch dawek wynosi ok. 1 tys. zł. W Polsce jest ok. 4,6 mln uczniów, a resort chce „wyszczepić” całą tę populację, więc ktoś znalazł 4,6 mld zł na akcję szczepień. Do tego dochodzą koszty logistyki, zabiegów i reklamy w mediach.

W swojej naiwności zakładam, że celebryci, z raperem Bedoesem na czele, promują szprycę z pobudek altruistycznych. Nachalna kampania ignoruje to, że lekarze i naukowcy, zarówno w zakresie skuteczności, jak i bezpieczeństwa szczepień są mocno podzieleni. W tych krajach, gdzie prowadzono wśród lekarzy ankiety (m.in. Niemcy i USA), miażdżąca większość ginekologów, mimo wysokiego zawodowego ryzyka infekcji HPV, nie przyjmuje preparatu. Wybitny ginekolog, doktor nauk medycznych Jacek Grzegorz Madej, na swojej stronie kolposkopia.com od lat publikuje statystki podważające skuteczność tej profilaktyki i gromadzi dane pokazujące ogrom szkód i powikłań po szczepieniach na HPV.

Tym, co jednak w propagandzie szczepień najbardziej bezczelne, jest przy okazji całej akcji promocja fundacji SEXED. Fundacja ta od lat prowadzi wypraną z wartości edukację seksualną, promuje antykoncepcję i proponuje aborcję jako jedną z opcji. W krajach, gdzie wprowadzano taki model edukacji, obniżał się wiek inicjacji i wzrastała aktywność seksualna młodych, co zwiększa ryzyko zakażenia. O tym już celebryci ani zaangażowani w propagandę lekarze stręczyciele szczepień dzieciom nie powiedzą. ©℗

eprasa.pl 430f3f0d50

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Uwaga! Łazi i pyta!



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Ludzie to mają taki przykry nawyk sprawdzania różnych informacji, nawet wręcz konfrontacyjnie. Stop. Na przykład Donald Tusk podał, że kryptoafera to w zasadzie afera PiS i jeszcze tych PiS-owskich mediów i że pewnie to dlatego prezydent Nawrocki nie chciał podpisać ustawy o kryptowalutach dwa razy. Stop. No i oczywiście znalazł się jakiś cwaniak jeden z drugim, który na złość premierowi własnego państwa wygrzebał dokumenty z datami, z których wynika, że umorzenie sprawy Zonda nastąpiło 29 kwietnia 2024 r., a wtedy tak jakby PiS nie rządził, niestety. Stop. A następny jeszcze wredziol wygrzebał, że za umorzeniem stoi prokurator z własnym podpisem, którego za czasów Ziobry zdegradowano, a za czasów Tuska w marcu 2024 r. przywrócono na stanowisko. Stop. Tusk na razie nie odniósł się do tych zasmucających informacji, bo nie miał czasu, co jest winą PiS.

Jeszcze ten przykry nawyk dotknął redaktor Dominikę Wielowieyską z „Gazety Wyborczej", która to redaktor podobnie jak reszta z tej gazety redaktorów opisuje rzeczywistość z pozycji wyższościowych, ponieważ jest od Michnika, to może. Stop. Całkiem przytomnie napisała, że w zasadzie to mediów, które przyjmowały reklamy od legalnie działającej firmy na rynkach krypto, to się nie ma co czepiać, bo przecież firma legalnie działała i dodała jeszcze, że „Mogę to napisać ze spokojem, ponieważ media, w których pracuję, żadnych reklam od Krala (szefa Zondy) nie brały". Stop. No i wtedy oczywiście pojawia się redaktor z TVN Michał Fuja z kontrą: „Muszę zmartwić, bo »Gazeta Wyborcza« też dostawała pieniądze od Zondy". Stop oraz kurtyna.

Uwaga, uwaga. Po Sejmie łazi taki reporter i zdradziecko przepytuje parlamentarzystów. Stop. Posła Roberta Kropiwnickiego, byłego wiceministra aktywów państwowych z KO, spytał, ile to jest 8 razy 7, a poseł akurat tego nie wiedział, ale nas to nie dziwi, bo własnych mieszkań też się nie potrafi doliczyć. Stop. Natomiast byłego ministra nauki z Nowej Lewicy Dariusza Wieczorka spytał, ile to będzie, jak się do jednej drugiej doda zero pięć i pan eksminister powiedział, że jeden i siedem. Stop. Tego reportera powinni zatrzymać i wsadzić w trybie administracyjnym za podważenia nieistniejącego zaufania do rządzących. Stop. ©℗

eprasa.pl 430f3f0d50



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR



FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

LOŻA VIP NA POCIESZENIE

Majówkowe dramaty nie omijają naszych celebrytów. Kinga Rusin, będąca w ciągłej podróży, postanowiła odwiedzić w majowy weekend japońskie Kioto, gdzie odbywał się akurat festiwal gejsz. Jednak prezenterka i jej ukochany musieli uciekać z tego miasta. „Dziękuję gejszom z pięknego Kioto, ale musieliśmy uciekać... Sytuacja nas przytłoczyła... Polskie tłumy na majówkę to mały ból głowy w porównaniu z tajfunem wyjazdów Japończyków na ich majówkę, czyli Golden Week. Takie miejsca jak Kioto są wręcz oblegane!" – żali się Rusin na Instagramie. „Tu dopiero zrozumieliśmy, co to znaczy tłumy turystów na święta... Ceny szybują – hotele cztery razy droższe, zjedzenie kolacji w dobrej restauracji bez zrobionej miesiąc wcześniej rezerwacji – bez szans, kupienie wejściówek na zwiedzanie czegokolwiek – może jak się zajmie kolejkę o świcie" – kontynuowała Kinia. Czytelnicy mogą odetchnąć – nasza gwiazda jakoś dała radę. „Przed »ucieczką« zdążyliśmy jeszcze w Kioto na ostatni dzień festiwalu gejsz – Miyako Odori. Oglądanie z loży VIP niesamowitego spektaklu wynagrodziło nam inne niedogodności. Precyzja i synchronizacja ruchów wyglądały jak zaprogramowane, każdy najmniejszy gest, nawet sposób ułożenia wachlarza coś znaczy, każde mrugnięcie powiek coś przekazuje, muzyka i śpiew to część kulturowego kodu. Do tego te obłędne kimona (niektóre zabytkowe, o muzealnej wartości). Przeniosło mnie to w inny, magiczny świat. Zobaczyliśmy też przez trzy dni najważniejsze zabytki i świątynie (jest ich w Kioto w sumie ponad 2 tys., z czego aż 16 znajduje się na liście światowego dziedzictwa UNESCO). Spotkaliśmy kilka przemiłych osób z Polski, z którymi wymieniliśmy się obserwacjami (pozdrawiamy państwa serdecznie!)" – zrelacjonowała była gwiazda TVN. Loża VIP wynagradza wszelkie trudy. A państwo jak? Działka i kiełbasa na grillu?

KWESTIA SMAKU

A może nie byłoby tak źle, gdyby ktoś wyciągnął wtyczkę i odłączył ludzi od Internetu? Przynajmniej niektórych. Para topowych influencerów, Angelika Trochonowicz „Andziaks" i jej mąż Łukasz Trochonowicz „Luka", zaszokowali obserwatorów. Na profilu fotografa Krzysztofa Adamka pojawiło się wideo z udziałem Angeliki i wieloletniego kumpla Luki, Adriana Charewicza, znanego na Instagramie jako „Misszka". Znajdujący się w centrum nagrania „Misszka" dostał od Angeliki do spróbowania lody. Jednak nie, nie takie zwykłe, tylko z pokarmu, którym influencerka karmi swojego półrocznego synka. – Dawaj, ale smak jaki jest? – dopytywał nagrywający całe zajście Adamek. – Ty mi to dałaś? – pyta Adrian, na co „Andziaks" odpowiedziała: „Nie ściemniaj, co spotkanie chcesz. On mi co spotkanie mówi: »A dasz mi do domu taką jedną torebkę mleka?«". – Smaczne – podsumował po konsumpcji „Misszka". Nie, niesmaczne.

WYSZŁO NA DOBRE

Stała bywalczyni tej rubryki, pisarka Blanka Lipińska, nie mogła odmówić sobie pojawienia się na charytatywnym streamie youtubera Łatwoganga. Celebrytka przybyła na transmisję wraz z partnerem i w porywie emocji postanowiła dać zgolić sobie głowę (na znak solidarności z osobami chorymi na raka). Włosy zgolił Blani ukochany. Podczas golenia Lipińska żartowała, że ma „piękny kształt głowy", a w nowym wydaniu wygląda zniewalająco. Jednak po powrocie do domu autorka erotyków przyznała, że czuje się „po prostu, k..wa, strasznie". Niemalże we łzach rozpaczała nad nowym wizerunkiem. Dwa dni Blanka przetwarzała to, co się wydarzyło, i postanowiła przemówić. Czterdziestolatka udostępniła jedną z pochlebnych wiadomości, w której fanka chwali ją za to, że szczerze opowiedziała, iż nie podoba się sobie w nowej odsłonie. „To nie jest tak, że mi się to podobało czy nie, tylko... to był szok" – przyznała celebrytka. „Na transmisji, kiedy Paweł mnie golił, ja to widziałam tylko na ekranie, tam wyglądałam super! Poza tym niosła mnie adrenalina i słowotok (jak się denerwuję, to zaczynam gadać bez opamiętania)" – stwierdziła. Wskazała, że gdy zobaczyła się w lustrze po wyjściu od Łatwoganga, miała poczucie „zderzenia z pociągiem". „Ale później w windzie zobaczyłam taką siną głowę, łysą głowę, to było jak zderzenie z pociągiem. Zaczęłam płakać, bo pomyślałam sobie o Stasiu, o tych wszystkich chorych ludziach, że im to tak szybko jak mi nie odrośnie, a niektórym wcale, bo z łysieniem plackowatym to nigdy nie wiesz. I pomyślałam, że muszę to powiedzieć głośno, że ja już rozumiem, że to nie są TYLKO WŁOSY" – zaznacza. Lipińska zapewnia, że wszystko to jest dla niej „ogromną lekcją pokory". „To, co zafundowałam sobie dwa dni temu, to ogromna lekcja pokory, serio... Lekcja tego, co ważne, wdzięczności i empatii... Dziękuję tej akcji za tę lekcję" – zakończyła. Wszystko dobre, co się dobrze kończy. ©℗

eprasa.pl 430f3f0d50



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, uważamy, iż jest to złośliwa przewrotność i małostkowość, iż kiedy cały ten kraj chciałby świeckować z okazji uchwalenia Konstytucji 3 maja 1997 r. przez Aleksandra Kwaśniewskiego, to akurat wtedy lokator pałacu prezydenckiego (celowo z małej, chociaż nie pamiętamy, jak powinno być) wychodzi z inicjatywą napisania nowej konstytucji – pewnie takiej bardziej kibolskiej. Błagamy, niech ktoś wreszcie do końca policzy te głosy.

Naszą uwagę poza tym złośliwym tajmingiem przykuło także zdjęcie osoby zamieszkującej pałac prezydencki wraz z członkami tej jakiejś kolejnej rady, tym razem konstytucyjnej. Otósh widzimy na nim po pierwsze zdecydowaną większość fallusoosób, a po drugie – osób uposażonych wiekowo. Czy potrzebujemy jaskrawszego dowodu na to, iż nowa inicjatywa ma raczej dzielić, a nie łączyć?

Ech, poszłaby tak jedna osoba z drugą na jakiś pozytywny marsz z czekoladowym orłem, wśród roześmianych zwolenników demokracji, a nie zajmowała się jakimiś nienawistnymi projektami, których jedynym celem jest dalszy rozkład życia publicznego w tym kraju. Yyy, to znaczy powrót do rozkładu, iż – jak wiadomo – w październiku 2023 r. tenże rozkład został zatrzymany.

No ale cóż, my jesteśmy merytorycznie ponad to, a więc chcielibyśmy tylko zauważyć, iż do takiej nowej konstytuanty powinni zostać powołani przedstawiciele różnych społeczności, bez względu na orientację seksualną, tożsamość płciową, wiek, miejsce zamieszkania (poza Podkarpaciem i ścianą wschodnią), a także religię (poza katofashystami) i poglądy (wyłączywszy prawactwo).



Dopiero tak ukształtowane ciało będzie zdolne do tego, aby podjąć dyskurs w duchu różnorodności, neutralności i postępu, wpisać do konstytucji wieczyste członkostwo w Unii Europejskiej i odsunięcie pisu od władzy.

A tak pewnie możemy się spodziewać jakiejś kolejnej nudnej dyskusji, która do niczego nie doprowadzi poza projektami napisanymi jakimś bełkotliwym prawniczym językiem, którego tak naprawdę nikt nie rozumie. Zobaczycie.

W całym tym kraju trwają matury, a więc wielki festiwal dzielenia młodzieży na lepszą i gorszą, indoktrynacji neoliberalnej (temat o pracy na języku polskim!) i owczego pędu, iż niedługo wszyscy będą te wyniki porównywać i ogłaszać różnego rodzaju klasyfikacje, w którym to województwie młodzież zdała maturę najlepiej, a w którym najgorzej.

Swoje pięć minut chwały będzie wówczas przeżywała ściana wschodnia z Podkarpaciem i Lubelszczyzną na czele, iż tam zwyczajowo wyniki matur są wysokie. Według nich samych dowodzi to wyższego poziomu w szkołach i utalentowanej młodzieży, która zamieszkuje te krainy, a według nas wynika to z czegoś zupełnie innego.

Po pierwsze, jak wiadomo, w województwach, gdzie panuje patriarchat, a władza szkoły i księdza jest mocniejsza, młodzież jest zmuszana do nauki, zgodnie z jakimiś porąbanymi etosami dotyczącymi pracy i rozwoju xD.

Po drugie, na Wschodzie i tak nie ma nic innego do roboty, bo poza szkołą są tylko lasy, Bieszczady, a wieczorem co najwyżej można wyjść na cebularza. Więc ci młodzi ludzie z nudów się uczą, a potem wyjeżdżają do wielkich ośrodków, gdzie mają szansę zobaczyć, iż można żyć inaczej. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Apokalipsa, cztery trzy

Cześć, Donald.
Szczęść Boże, Adamie.

Co się wygłupiasz? Jak było u papieża?
Kto nie chce pracować, niech też nie je! Słyszymy bowiem, że niektórzy wśród was postępują wbrew porządkowi: wcale nie pracują, lecz zajmują się rzeczami niepotrzebnymi.

Że co? Donald, ja zasuwam od rana na Iksie.
List do Tesaloniczan, trzy dziesięć.

Jakoś się dziwnie zachowujesz. Jak tam Leon?
Zasiadający był podobny z wyglądu do jaspisu i do krwawnika, a tęcza dokoła tronu podobna z wyglądu do szmaragdu. Apokalipsa, cztery trzy.

To ja już lepiej pójdę. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„To jest po prostu hejter, zwyczajny hejter w sutannie”.

BARBARA NOWACKA, *minister edukacji, w Polsacie o abp. Marku Jędraszewskim*

eprasa.pl 430f3f0d50



SERIA POŻARÓW W POLSKICH LASACH

Kilkuset strażaków – wspomaganych m.in. przez zrzucające wodę samoloty i śmigłowce – oraz kilkudziesięciu żołnierzy Wojsk Obrony Terytorialnej i leśników gasiło w ubiegłym tygodniu ogromny pożar, który wybuchł we wtorek w Puszczy Solskiej w powiecie biłgorajskim.

Gdy w piątek zamykaliśmy to wydanie tygodnika „Do Rzeczy", akcja gaśnicza jeszcze trwała: co prawda, pożar już się nie rozprzestrzeniał, ale nie był jeszcze dogaszony. Obszar działań operacyjnych miał wielkość 1000 ha, a powierzchnia pogorzeliska wynosiła ok. 300 ha. W trakcie akcji we wtorek późnym wieczorem rozbił się samolot gaśniczy Dromader. Zginął pilot maszyny.

Do mniej tragicznych w skutkach pożarów lasów doszło od początku maja nie tylko na Lubelszczyźnie, lecz także w innych miejscach Polski. Utrzymująca się susza i związany z nią trzeci, najwyższy stopień zagrożenia pożarowego sprawiały, że służby w różnych regionach kraju rozważały nawet czasowe zamknięcie części lasów.

FOT. MŁ. ASP. KRZYSZTOF PISZ/PAŃSTWOWA STRAŻ POŻARNA



Ukraińska kultura polityki międzynarodowej



Adam Wielomski

Jeśli ktoś sądzi, że za pomocą szantażu emocjonalnego Wołodymyr Zełenski przestawia zachodnich polityków jak pionki, to jest w błędzie. Politycy udają, że dają się rozgrywać dopóty, dopóki uznają, iż polityka poparcia Ukrainy i wojny z Rosją prowadzonej jej rękami jest korzystna dla nich i popierających ich inwestorów, korporacji, bankierów

eprasa.pl 430f3f0d50



Prezydent Ukrainy objeżdża bogatych zachodnich polityków w garniturach, wyraża postawę bezgranicznej roszczeniowości, działającej wedle schematu „musicie nam dać, bo nam się należy”

FOT. STEFAN ROUSSEAU/PA IMAGES/FORUM

Pamiętam, że gdy opadła w Polsce pierwsza fala proukraińskiego entuzjazmu, która wybuchła w lutym 2022 r., gdy Wołodymyr Zełenski po raz pierwszy zbulwersował polską opinię publiczną swoimi poglądami o pojednaniu obydwu narodów, kręcąc w sprawie masakry Polaków na Wołyniu, to na ulicy spotkałem kolegę – Polaka urodzonego i wychowanego na Białorusi. Ten, najwyraźniej nie znając mojego ukrainosceptycyzmu, delikatnie próbował mnie odwieść od egzaltacji nad Ukrainą, którą mi przypisał na wzór postawy większości Polaków. Pamiętam, że mi wtedy powiedział, iż „było do przewidzenia, że miłość polsko-ukraińska będzie krótka i skończy się burzliwie”. Spytałem go, skąd wiedział, że koniec tego związku będzie burzliwy. Wyjaśnił mi, że wychował się na wschodzie i dobrze zna zarówno Ukraińców, jak i Rosjan. Mimo podobieństwa tej samej bizantyjsko-ruskiej kultury i podobnego języka są to dwa narody o odmiennym sposobie bycia, co szczególnie widać w zachowaniu publicznym. Otóż Rosjanie wobec przedstawicieli innych państw są wielce kurtuazyjni i skrupulatnie przestrzegają wszelkich zewnętrznych form i protokołów, aby – gdy będzie taki interes ich Imperium – dokonać najbardziej cynicznego i makiawelicznego posunięcia. Wedle mojego kolegi politycy ukraińscy zachowują się całkowicie odwrotnie. Nie respektują żadnych zewnętrznych form i im bardziej są przyciśnięci do muru, tym bardziej zachowują się „bezczelnie”. Jako dowód podał mi ówczesne zachowanie Zełenskiego, który nie bacząc na całkowitą zależność swojego państwa od dostaw zachodnich biegnących prawie w całości przez Polskę, z niemałym tupetem wykręcał się od przeprosin za zbrodnię wołyńską.

Przyznam, że tamta rozmowa zapadła mi w pamięć i, mniej lub bardziej świadomie, zacząłem przyglądać się zachowaniu polityków rosyjskich i ukraińskich z tej perspektywy. Tak się złożyło, że nieco później miała miejsce wizyta Aleksandra Łukaszenki w Moskwie. Władimir Putin przyjmował go z honorami, jakby przyleciał do niego sojusznik w randze przywódcy imperium. Z ostentacyjnym szacunkiem, choć Łukaszenka przyleciał jako głowa państwa od Rosji mocno zależnego. Mój kolega miał rację. Wystrój zewnętrzny był perfekcyjny, a co było za kulisami, nie wiemy i nigdy się nie dowiemy. Zresztą na ile mgliście z dzieciństwa pamiętam ZSRS i PRL, to spotkania na szczycie wyglądały podobnie, aby nikt nie domyślił się, kto jest zwierzchnikiem, a kto państwem wasalnym. Ukraińscy politycy zachowują się odwrotnie. Widać to szczególnie wtedy, gdy kontaktują się z politykami z innych państw, gdzie butę, pychę i ową „bezczelność” widać dosłownie na każdym kroku. Prawdopodobnie

eprasa.pl 430f3f0d50



to ten charakterystyczny styl tak zirytował Donalda Trumpa, że wyrzucił Zełenskiego z Białego Domu, z powodu braku garnituru i „bezczelności", a następnie kazał opublikować komunikat, że przeznaczony dla ukraińskich gości lunch został zjedzony przez pracowników biura prasowego Białego Domu.

JĘZYK PROPAGANDY

Przedsmak ukraińskiej „bezczelności" politycznej dał już nam styl propagandy wojennej, którą od pierwszego dnia wojny serwował Polsce i światu Kijów. Co gorzej, nad Wisłą propaganda ta była powszechnie przyjmowana za prawdę. Polskie media ochoczo czerpały wiadomości z mediów ukraińskich, a „eksperci" wypowiadający się na temat toczącej się wojny podawali (a często nadal podają) dane za stroną internetową tutejszego Ministerstwa Obrony, która wydaje się je czerpać z księżyca. Jakkolwiek spotkałem się z informacjami, że w kreowaniu obrazu wojny Ukrainie pomagają brytyjskie firmy PR-owskie, to w żaden sposób nie jestem zdolny ich zweryfikować. Zresztą styl tej propagandy jest bardzo ukraiński, ponieważ, w skrócie, polega on na robieniu z Putina, jego generałów, żołnierzy i w ogóle Rosjan kompletnych idiotów. Tak naprawdę styl ten po części jest sowiecki. Mam w domu książkę sowieckiego historyka o ataku III Rzeszy na Związek Sowiecki i mniej więcej połowę tekstu zajmują historyjki o jakimś komsomolcu, który trzema butelkami z benzyną zniszczył pięć hitlerowskich czołgów.

Podobnych historii ukraińska propaganda sprzedała Polsce i światu setki. Już pomijając legendę, jakoby Putin zapowiedział zdobycie Kijowa w ciągu „trzech dni" (co w rzeczywistości powiedział amerykański gen. Mark Milley dwa tygodnie przed wybuchem wojny), którą chyba wyprodukowały media zachodnie, to takich opowiastek stworzonych w Kijowie była cała masa. Opowiadano zatem rozmaite historyjki o „Romach, którzy ukradli Ruskim czołg"; o „Duchu Kijowa", który samotnie walcząc nad Kijowem, strącał kolejne rosyjskie samoloty (choć pilot o takim przydomku zginął w pierwszych dniach wojny); o poległych ukraińskich bohaterach z Wyspy Węży, którzy potem cudownie odnaleźli się żywi w rosyjskim obozie jenieckim; o rosyjskich rekrutach z powszechnego poboru, dla których zabrakło karabinów pod Bachmutem i walczyli łopatami (choć Rosjanie w tym czasie już nie walczyli za pomocą żołnierzy poborowych). Największym hitem była zaś opowieść o „Pani Olenie, która słoikiem strąciła ruski dron", gdyż historyjka ta miała dwie różne wersje. W pierwszej pani Olena strąciła go słoikiem z pomidorami, a w drugiej słoikiem z ogórkami. I dopiero po wielkim dziennikarskim śledztwie, które ogłupiona opinia publiczna śledziła z wypiekami na twarzy, ukraińscy dziennikarze „ustalili", że słoik jednak zawierał pomidory.

Czytałem, że gdy pod koniec marca 2022 r. ukraińscy i rosyjscy dyplomaci spotkali się w Stambule, aby negocjować zawarcie pokoju, to wysłannicy Kijowa nie tylko historyjki o gigantycznych rosyjskich stratach opowiadali dyplomatom tureckim, lecz nawet próbowali je wciskać rosyjskim, którzy nic o tych gigantycznych stratach na froncie nie wiedzieli i patrzyli na swoich ukraińskich kolegów jak na pomyleńców. Zwycięstw było tak wiele, że w pewnym momencie Zełenski osobiście nakazał propagandzistom zmniejszyć podawany światu obraz sukcesów ukraińskiej armii i rosyjskich strat w ludziach i sprzęcie, gdyż wspierające Kijów państwa zachodnie mogłyby dojść do wniosku, że można zmniejszyć pomoc militarną i finansową, skoro Ukraina idzie od sukcesu do sukcesu.

Dlaczego piszę o tej ukraińskiej propagandzie? Dlatego, że jest ona oparta na stylu charakterystycznym także dla tutejszej sztuki prowadzenia dyplomacji i – szerzej – polityki międzynarodowej. W jakiekolwiek sytuacji znajdowałaby się armia ukraińska i jakikolwiek by był stan państwa ukraińskiego, to Kijów będzie ogłaszał kolejne swoje sukcesy, pokazywał swojego wroga jako wioskowego głupka, po czym będzie domagał się kolejnych pieniędzy i kolejnej broni, z pewnością siebie i tupetem, jakby był mocarstwem rozstawiającym wszystkich po kątach. Towarzyszy temu zachowaniu rodzaj szantażu emocjonalnego wobec wszystkich wrogów, sceptyków czy nawet tych, którzy pytają, czy posłane Ukrainie pieniądze rzeczywiście trafiły na front, a nie zostały wydane w celu pozłocenia (wedle innej wersji: zakupu całkowicie złotej) słynnej już toalety w domu kumpla Zełenskiego i oligarchy w jednej osobie, a mianowicie Timura Mindycza.

Styl i język propagandy dużo mówią nie tylko o tym, kto jest jej twórcą, lecz także o tym, kto jest jej odbiorcą. Odbiorcy ponoszą część winy: jeśli nie tylko tolerują, lecz także zachęcają do aktywności i dokarmiają rozbuchane ego, to wkrótce sami będą musieli się zmierzyć z jego wciąż rosnącą wielkością. Przywódcy europejscy ten wzrost tolerują. W pewnym momencie nawet Joe Biden przyznał, że w rozmowie telefonicznej wrzasnął na Zełenskiego, nie mogąc już znieść jego roszczeniowości i raz po raz stosowanego szantażu emocjonalnego. Jeszcze większy problem ma ukraiński prezydent z Donaldem Trumpem, gdy jego rozbuchane ego zderzyło się z egocentrycznym narcyzem wielkościowym, co zaowocowało konfrontacją i dosłownie alergią amerykańskiego przywódcy wobec ukraińskiego.

W Europie styl ten jednak na razie działa. W Polsce przeciwstawiają mu się tylko Leszek Miller, Grzegorz Braun i niekiedy niektórzy politycy Konfederacji. Niestety, wypowiadane w tym stylu deklaracje Przemysława Czarnka nie budzą dziś już niczyjego zaufania, skoro rząd PiS sytuację tę tolerował, ego Zełenskiego podlewał naszymi pieniędzmi i bronią, a członkowie tego rządu ogłaszali się „sługami narodu ukraińskiego".

MECHANIZM SZANTAŻU EMOCJONALNEGO

Mechanizm opisywanego szantażu jest prosty: ponieważ Ukraina padła ofiarą niespodziewanej i niesprowoko-

eprasa.pl 430f3f0d50



Viktor Orbán zrobił rzecz straszną: potraktował wojnę ukraińsko-rosyjską jako normalną wojnę między państwami, w którą jego własny kraj nie musi się angażować FOT. ROTA/CAMERAPRESS/FORUM

wanej wojny napastniczej, to wszystko się jej „należy". Każdy, kto uważa inaczej, jest podły, nie popiera napadniętego i obiektywnie stoi po stronie Putina napastnika. Szantaż ten zamyka także dyskusję o przyczynach wybuchu tej wojny, przedstawiając strony w kolorze białym i czarnym.

Częścią tego mechanizmu są strój i zachowanie Wołodymyra Zełenskiego. Wiecznie ubrany w wojskowy ubiór – mający wskazywać na waleczność swoją i swojego narodu – robi ustawiczny objazd po świecie, aby spotkać się z politykami z zamożnych państw, tradycyjnie ubranymi w garnitury. Ma to wywołać, i wywołuje, poczucie zakłopotania, że oto przyjeżdża do nas przywódca walczącego narodu, ubrany w wojskowy podkoszulek i spodnie, a my tutaj bogaci, w garniturach i lakierkach, gdy tymczasem „Ukraina walczy za nas". Temu przeciwstawieniu towarzyszą raz po raz wyrzucane przez Zełenskiego i ukraińskich polityków czy generałów „newsy" o bliskim ataku Putina na Europę. W roli tej często wspiera Ukrainę niezastąpiony wywiad estoński, rzekomo najlepiej poinformowany o rosyjskich planach, acz ostatnio jego szef gen. Kaupo Rosin przyznał, że tak naprawdę to nie ma na te rosyjskie plany żadnych dowodów ani nie trwają w Rosji do tej napaści żadne widoczne przygotowania. W tę narrację wpisał się też ostatnio Donald Tusk, mówiąc o rosyjskim ataku za „kilka miesięcy", choć geneza tej wypowiedzi w tym wypadku nie jest w Kijowie, lecz w Berlinie.

Wizja Ukrainy „walczącej za nas", niewinnej małej ofiary zaatakowanej bez powodu przez rosyjskiego „niedźwiedzia", której prezydent w wojskowym dresie objeżdża bogatych zachodnich polityków w garniturach, wyraża postawę bezgranicznej roszczeniowości, działającej wedle schematu „musicie nam dać, bo nam się należy". Każde tournée Zełenskiego po świecie kończy się przywiezieniem wielkich zdobyczy w broni i walucie. Każdy polityk i każde państwo stają się „przyjaciółmi Ukrainy", gdy tylko hojnie sypną pieniędzmi, czołgami lub zaopatrzeniem. Gdy tylko sypną, to po kilku miesiącach stają się też celem kolejnej wizyty, ponieważ poprzednie dary skończyły się i trzeba dać następne. Rozdający pieniądze podatników politycy są chwaleni jako „moralnie lepsi" i tę swoją „lepszość" mogą zaprezentować swoim wyborcom, choć w istocie wytracili ich pieniądze. Ten, kto przestaje się Zełenskiemu okupywać w broni i walutach, natychmiast traci swój uprzywilejowany moralnie status. Stosunki ukraińsko-polskie weszły w etap związku „burzliwego" (mówiąc słowami mojego kolegi z początku tego tekstu), gdy tylko skończyły się nam czołgi T-72, BWP-y i amunicja, a w dodatku spytaliśmy o Wołyń. Po opróżnieniu zapasów staliśmy się „niewdzięczni" wobec broniących nas przed rosyjską agresją Ukraińców, mimo że nadal płacimy za Starlinki i utrzymujemy uchodźców zza wschodniej granicy, którzy część pieniędzy wysyłają do rodzin w kraju, gdyż z wypłatą emerytur na Ukrainie jest krucho. Zełenski przecież już sugerował, że skoro skończyły się nam starsze Migi-29, to przecież mamy jeszcze amerykańskie F-16. A gdy nie zrozumieliśmy aluzji, to sugerował, że może jednak jesteśmy tacy jak Putin.

Ukraina nie waha się ściągać na państwa jej pomagające i życzliwe niebezpieczeństwo, gdyż zdaje sobie sprawę ze swoich ograniczeń demograficznych, gdy Rosja wciąż walczy wyłącznie żołnierzami kontraktowymi, nie sięgając po poborowych. Tak naprawdę jej jedyną szansą jest wciągnięcie w wojnę państw należących do NATO, wraz z ich zasobami demograficznymi i nadzieją na skuteczne powołanie się na art. 5 paktu. Ostatnio wydało się, że drony ukraińskie „zabłądziły" do Finlandii i atakują obiekty w Rosji, przelatując przez tereny Łotwy i Estonii, a więc zapewne także Polski. Chodziło o to, aby Finowie uznali, że Rosjanie naruszają ich przestrzeń powietrzną, a wykorzystanie przestrzeni powietrznej państw trzecich miałoby je wplątać w tę wojnę. Swoją drogą potwierdza to przypuszczenia tych, którzy wyrażają wątpliwości, czy drony wlatujące do Polski z Ukrainy koniecznie muszą być rosyjskie. Napis po rosyjsku i cyrylicą na dronach nie stanowi żadnego dowodu. Fakt, że rosyjski wywiad organizuje podpalenia czy minuje tory kolejowe w Polsce, też nie brzmi przekonująco, gdy sprawcy tych czynów prawie zawsze mają ukraińskie paszporty. Łatwość, z jaką służby różnych państw, także polskie, przyjmują pogląd o rosyjskiej inspiracji tych działań, nie brzmi dla mnie przekonująco, gdyż nie widzę tutaj interesu Moskwy, ale łatwo identyfikuję interes Kijowa.

No i wreszcie dochodzimy do sytuacji, gdy pojawiają się państwa i politycy odporni na cały ten moralny szantaż, kierujący się racją stanu własnych państw, którzy odrzucają dogmat, że „Ukraina walczy za nas", uznając toczącą się tam wojnę za wewnętrzny spór graniczno-polityczny dwóch państw sukcesyjnych po upadłym Związku Sowieckim. Co gorsza, politycy ci – nie zważając na fakt, że rzekomo Ukraińcy bronią Europy – dostrzegają na niej wszechobecny banderyzm i popularność różnych gadżetów i symboli jako żywo przypominających te z III Rzeszy. Gdy kijowska klasa polityczna zorientuje się, że szantaż moralny nie skutkuje, to traktuje takie państwa jako wrogie, nawet jeśli obiektywnie są one tylko neutralne. Najlepszym przykładem są tutaj Węgry za czasów rządów Fideszu Viktora Orbána, z których propaganda ukraińska i proukraińska zrobiła sojusznika (kolaboranta?) Rosji, i to na tyle skutecznie, że nawet proorbanowscy politycy PiS uwierzyli w tę bajkę. Przypomnę, że Budapeszt – mimo głośno wyrażanych zastrzeżeń i wątpliwości co do ich sensu – poparł wszystkie 19 pakietów unijnych sankcji przeciwko Rosji, pod warunkiem że Węgry zostaną w niektórych przypadkach potraktowane ulgowo. Szczególnie wtedy, gdy chodziło o ropę naftową i gaz ziemny, gdyż kraj ten z Rosji importuje prawie 100 proc. ropy i ok. 85–90 proc. gazu ziemnego, z racji braku portów i rurociągów nie mając żadnych innych alternatywnych źródeł. Podobnie Węgry nie chciały partycypować w finansowaniu Ukrainy, lecz nie postawiły weta torpedującego takie

eprasa.pl 430f3f0d50

transfery z Unii Europejskiej do tego kraju, pod warunkiem że Budapeszt nie będzie w tych kosztach partycypował.

Biorąc pod uwagę, że decyzje Rady UE w sprawach polityki zagranicznej muszą być podejmowane jednogłośnie, a wszystkie te pakiety zostały uchwalone, naprawdę trzeba mieć złą wolę, aby uznać Budapeszt za prorosyjski, jak się to nam przedstawia! Mimo to Kijów uznał tę neutralną postawę za wrogą, ponieważ Węgry nie chciały oddawać mu masowo swojego uzbrojenia i pieniędzy, a także nadal zasilały budżet Federacji Rosyjskiej opłatami za gaz i ropę. Czyli brak aktywnego węgierskiego działania przeciw Moskwie Zełenski i jego ekipa uznali za wrogie działanie. Dodajmy, że wyciągnięcie z rosyjskiej niewoli kilku jeńców z ukraińskimi paszportami, lecz węgierskiego pochodzenia, i przywiezienie ich na Węgry ogłoszono wręcz jako zdradę i wbicie noża w plecy „walczącej za nas" Ukrainy.

W istocie Viktor Orbán zrobił rzecz straszną: potraktował wojnę ukraińsko-rosyjską jako normalną wojnę między państwami, w którą jego własny kraj nie musi się angażować ani pośrednio, ani bezpośrednio, lecz przede wszystkim musi zabezpieczyć własne interesy narodowe. Orbán stwierdził, że „to nie jest nasza wojna", ale skoro chcecie walczyć, to walczcie, tylko nie naszym kosztem i nie na nasz koszt. W ten sposób Budapeszt dokonywał swoistej desakralizacji tego konfliktu, który propaganda Kijowa podniosła do rangi wojny świętej między rzekomym Dobrem i rzekomym Złem, do poziomu manichejskiego starcia dwóch zasad. Węgierskie zagrożenie dla Ukrainy nie było ani militarne, ani polityczne, lecz świadomościowe.

Postawa ta wprost prowadziła do unormalnienia oblicza tego konfliktu zbrojnego i groziła przyjęciem tej perspektywy przez inne państwa. Heretyk nie może spokojnie mieszkać pośród otoczenia, gdyż może swoją herezją otoczenie zarażać! Stąd, skoro Putin otrzymał status Antychrysta, to Orbán stał się jego pomocnikiem, a jego neutralność została uznana za wrogość radykalną. To zaś pociągnęło za sobą nie tylko nagłe „zepsucie się" rurociągu rosyjsko-węgierskiego, przechodzącego przez Ukrainę, lecz także szokujące groźby wobec osoby Orbána. Pamiętamy słowa Zełenskiego: „Mamy nadzieję, że jedna osoba w UE nie będzie blokować 90 mld pomocy. Inaczej damy adres tej osoby naszym siłom zbrojnym, żeby z nią porozmawiały w swoim języku".

W ślad za swoim pryncypałem jeszcze bardziej bezpośrednio wypowiedział się o premierze Węgier gen. SBU Hryhoriy Omelchenko w wywiadzie dla telewizji ukraińskiej: „Wiemy, gdzie mieszka, gdzie nocuje, gdzie pije piwo lub wino, gdzie pali szisze", po czym zasugerował, że bliżej nieokreślony „ukraiński oddział śmierci" mógłby go dosięgnąć, więc „powinien pomyśleć o swoich pięciorgu dzieciach i sześciorgu wnucząt". Goszczący z przedwyborczym poparciem dla Fideszu wiceprezydent Stanów Zjednoczonych J.D. Vance nie mógł uwierzyć w te groźby, gdy Orbán mu je przytoczył w telewizyjnej rozmowie na żywo, i uwierzył dopiero, gdy sam sprawdził ich autentyczność. Oczywiście to przykład skrajny. Inni politycy, dziennikarze i naukowcy wykazujący się ukrainosceptycyzmem znajdują się tylko na liście (śmierci?) ukraińskiego portalu Myrotvorets, prowadzonego przez byłego oficera tej samej SBU. Na liście wrogów znajdują się m.in. Grzegorz Braun, Sławomir Mentzen, Krzysztof Bosak, Anna Bryłka i Janusz Korwin-Mikke. Spośród publicystów „Do Rzeczy" znajdują się tutaj Marcin Skalski, Maciej Pieczyński i oczywiście moja skromna osoba.

JAK DŁUGO SZANTAŻ EMOCJONALNY BĘDZIE DZIAŁAŁ?

Jeśli ktoś sądzi, że za pomocą tak prostego i stosowanego ustawicznie od czterech lat szantażu emocjonalnego Wołodymyr Zełenski przestawia zachodnich polityków jak pionki, to jest w błędzie. Politycy poważni z nie mniej poważnych państw udają, że dają się rozgrywać dopóty, dopóki uznają, iż polityka poparcia Ukrainy i wojny z Rosją prowadzonej jej rękami jest korzystna dla nich i popierających ich inwestorów, korporacji, bankierów etc. Słowem – dopóty, dopóki to jest korzystne dla opcji globalistycznej. To nie oni dają się rozgrywać Zełenskiemu, lecz wykorzystują go, aby urabiał opinię publiczną dla linii politycznej, która jest ich linią. Jeśli elita kierownicza Unii Europejskiej kiedyś podejmie decyzję o zakończeniu konfliktu z Rosją na zasadzie podziału Ukrainy na część wschodnią włączoną do Rosji i zachodnią włączoną do UE, to Zełenski i styl polityczny elity w Kijowie natychmiast staną się kłopotliwe, a roszczeniowość zostanie sklasyfikowana jako bezczelność. W państwie demokratycznym od tego są liberalne media, aby w ciągu kilku miesięcy całkowicie zmienić kierunek myślenia opinii publicznej.

Jeśli rządzona z Kijowa część Ukrainy wejdzie do UE, to zostanie objęta unijnymi zasadami walki z „mową nienawiści" i „praworządności". Politycy ukraińscy będą w Brukseli traktowani tak samo jak ci z Węgier, ze Słowacji, z Bułgarii czy Estonii

Cóż się wtedy stanie? Nie tylko okaże się, że Kijów jest bezczelny i roszczeniowy, lecz także nagle okaże się, że banderyzm jest ideologią neonazistowską, a symbole bliźniaczo podobne do tych z III Rzeszy zostaną zakwalifikowane jako nazistowskie. Jeśli rządzona z Kijowa część Ukrainy wejdzie do UE, to zostanie objęta unijnymi zasadami walki z „mową nienawiści" i „praworządności". Politycy ukraińscy będą w Brukseli traktowani tak samo jak ci z Węgier, ze Słowacji, z Bułgarii czy Estonii. Jeśli ktoś sądzi, że Ursula von der Leyen pozwoli panoszyć się po korytarzach Komisji Europejskiej Zełenskiemu w wojskowej bluzie, krzyczącemu, że kolejne miliardy euro należą się Ukrainie, to jest w grubym błędzie. Ukraina zostanie zgaszona w swojej roszczeniowości, stając się peryferyjnym sułtanatem unijnym. Pamiętajmy, że ta wojna jest potrzebna elitom unijnym do federalizacji UE i jeśli tylko do tej federalizacji dojdzie, to sprawa ukraińskiej granicy z Rosją stanie się absolutnie drugorzędna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 430f3f0d50

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 430f3f0d50



Dlaczego europejscy liderzy upokarzają Donalda Tuska? Odpowiedź jest prosta: pokazują w ten sposób Ameryce, że w Polsce nie ma z kim rozmawiać

FOT. INSTAGRAM.COM/PREMIERRP

Gra premierem Polski



Rafał A. Ziemkiewicz

Dlaczego szef polskiego rządu poddaje się międzynarodowej tresurze i przy każdej okazji wychodzi naprzeciw oczekiwaniom tak źle go traktujących patronów? Bo zagonił się w ślepy zaułek, z którego nie widać innego wyjścia niż, jak w roku 2014, nominacja na jakąś unijną posadę

Na pierwszy rzut oka kolejne wypowiedzi Donalda Tuska, dotyczące naszej polityki zagranicznej, wydają się pozbawione sensu. Tak też są potocznie odbierane, bo premier w swej długiej karierze przyzwyczaił wszystkich do, najdelikatniej mówiąc, braku konsekwencji. Był już przecież zwolennikiem resetu z Rosją „taką, jaka ona jest", oskarżającym Jarosława Kaczyńskiego o to, że skłóca nas z tym mocarstwem swą rusofobią i „obsesjami smoleńskimi", a potem czołowym wrogiem Władimira Putina uporczywie wpierającym związki z Putinem temu samemu Kaczyńskiemu, był gorącym zwolennikiem otwarcia na migrantów i relokantów, nazywającym płot na granicy „największą zbrodnią rządów PiS", by przeistoczyć się w obrońcę granic, który „żywe torpedy Putina i Łukaszenki" powstrzymuje nie byle płotem, ale „Tarczą Wschód", zgoła polską Linią Maginota… Przykłady jego wolt można by mnożyć w nieskończoność.

Co prawda, nigdy jeszcze nie zmieniał Tusk zdania tak szybko. Niemal na jednym oddechu ogłasza, że Rosja napadnie na kraje NATO „raczej w perspektywie miesięcy niż lat" oraz że USA nie są dla nas wiarygodnym sojusznikiem i nie wierzymy, by wywiązały się ze swoich traktatowych zobowiązań. Nie trzeba chyba tłumaczyć, że jeśli napaść Rosji jest istotnie perspektywą miesięcy, to podważanie wiarygodności głównego gwaranta bezpieczeństwa w Europie jest albo skończoną głupotą, albo świadomym przygotowywaniem psychologicznym Polaków do kapitulacji, w duchu jednej z ulubionych tez sowieckiej propagandy z czasów PRL: „Zachód zawsze was zdradzi, jak w czasie drugiej wojny". Co prawda, zaraz po takim podważeniu wiarygodności sojusznika zapewnia Tusk, że „nikt nie jest bardziej proamerykański od niego", ale łączy to z wiernopoddańczą deklaracją wobec UE, że „nigdy nie pozwoli" na podważanie europejskiej solidarności, o co niedwuznacznie oskarża właśnie Amerykanów. Owym podważaniem ma być oczywiście stwarzanie Polakom pokusy zaproszenia do siebie 5 tys. amerykańskich żołnierzy, których wycofanie z Niemiec ogłosił Donald Trump, oburzony skrytykowaniem przez kanclerza Niemiec amerykańskiego uderzenia na Iran jako działania bez planu i bez liczenia się z konsekwencjami dla sojuszników. Choć owa zapowiedź Trumpa (większości komentatorów umknęło, że chodzi o dodatkowy kontyngent, przysłany do Niemiec w roku 2022, po „pełnoskalowej" agresji Rosji wobec Ukrainy) nie zawierała informacji, gdzie mają być amerykańscy żołnierze przeniesieni, Tusk natychmiast pośpieszył z deklaracją, że polski rząd ich u siebie nie chce. Słowa „nie powinniśmy jako państwo podbierać amerykańskich żołnierzy Niemcom" wzbudziły zdumienie, bo to, że chcemy jak najliczniejszego amerykańskiego kontyngentu nad Wisłą, było bodaj jedyną kwestią, w której rząd mówił jednym głosem z PiS, a na dodatek, sam przecież właśnie zapowiedział Tusk rosyjską napaść w perspektywie miesięcy!

PRZEMYŚLANE OSKARŻENIE

Podobnie, bez żadnej konkretnej przyczyny, wyrwał się kilka miesięcy wcześniej Tusk z deklaracją, że nie pozwoli, aby prezydent Karol Nawrocki i PiS wysłali polskich żołnierzy do Zatoki Perskiej. Ten wpis również z pozoru wydawał się pozbawiony sensu: ani prezydent, ani odcięty od jakichkolwiek wpływów PiS nie mają żadnych możliwości wysyłać polskich żołnierzy gdziekolwiek i nikt nawet

eprasa.pl 430f3f0d50

nie zająknął się o zamiarze ich wysyłania w sukurs amerykańsko-izraelskiej agresji na Iran. Tusk oparł swe oskarżenie na formule: „Chodzą słuchy, że prezydent i PiS zamierzają…" i komentatorzy po raz kolejny uznali je za niezbyt udany internetowy hejt, jaki od czasu do czasu zdarza się uprawiać premierowi lub komuś, komu powierzył prowadzenie swych kont w mediach społecznościowych.

W istocie oskarżenie było przemyślane i rzucone w umiejętnie wybranym momencie. Padło w chwili, gdy Donald Trump testował lojalność sojuszników z NATO i polski interes nakazywał złożyć jakąś deklarację – np. o gotowości wysłania polskiego okrętu do pomocy w rozminowywaniu cieśniny Ormuz. Obietnica nic by nie kosztowała i na nic konkretnego by się nie przekładała, bo sytuacja w cieśninie jest i długo jeszcze pozostanie niejasna. Ale po nagłośnionym w mediach ataku Tuska prezydent nie mógł już wykonać żadnego ruchu – cały aparat propagandowy władzy był już „w blokach", gotowy jakąkolwiek proamerykańską deklarację przekuć w nagonkę na opozycję „traktującą polskich żołnierzy jak mięso armatnie".

ZABIEGI NIEMIEC

Tymczasem deklarację gotowości wysłania własnej floty minowej do cieśniny Ormuz złożyli… Niemcy. Niemcy, mimo wszelkich krytyk i wyrazów dystansu wobec Donalda Trumpa – ale, proszę zauważyć, wyłącznie wobec niego jako polityka, nigdy wobec USA jako państwa, jak to zrobił Tusk – starające się bardzo, by zachować z Ameryką jak najlepsze relacje. Kanclerz Friedrich Merz zdążył złożyć już trzy wizyty w Białym Domu, a mniej więcej w tym samym czasie, gdy Tusk konstatował w prestiżowej brytyjskiej gazecie bezwartościowość amerykańskich gwarancji dla Europy, nasi zachodni sąsiedzi podpisali wart 10 mld euro kontrakt na amerykańskie myśliwce, a nieco wcześniej – niewiele mniejszy na pociski manewrujące. Niejako w nagrodę zostali pochwaleni przez wiceszefa Pentagonu Elbridge'a Colby'ego, który zadeklarował, że właśnie w Niemczech, jeśli nadal będą konsekwentnie realizować zapowiedziany program zbrojeń, widzą USA głównego partnera do budowy „NATO 3.0". Ta deklaracja została szybko zdyskredytowana przez przełożonych Colby'ego i przykryta decyzją Trumpa, który, oburzony publicznym stwierdzeniem Merza, że atak na Iran przeprowadzony został bez przemyślanego planu, zadecydował o wspomnianym już odwołaniu z Niemiec dodatkowego, pięciotysięcznego kontyngentu z roku 2022.

Sprawa ujawniła rozdźwięki w amerykańskim kierownictwie – widać, że Niemcy cieszą się większą sympatią „dipstejtu", a nie są dobrze widziane przez „dwór" obecnego prezydenta – ale polityka zabiegania o status głównego partnera USA w Europie prowadzona jest przez Berlin nadal. Jednym z jej filarów jest przekonywanie sojuszników, że innego wiarygodnego partnera USA po prostu nie mają. Francja jest za daleko na zachodzie, by na poważnie interesować się powstrzymywaniem Rosji (otwarcie się zresztą pisze i mówi w Paryżu, że czasy, gdy Warszawa i Praga były w rosyjskiej strefie wpływów, wcale nie były dla Francji złe), a typowana przez niektórych na przyszłościowego partnera Polska… No, proszę, sami popatrzcie, co się dzieje w Polsce.

Dodajmy, że gra idzie nie tylko o polityczne partnerstwo – w ślad za nim idą bilionowe inwestycje. Niedawno ogłoszono, że amerykański Axiom Space, produkujący rakiety, i X-Energy, rozwijająca technologię małych reaktorów atomowych, widzą optymalne lokalizacje dla swych planowanych zakładów w Europie na polskich Kaszubach. Tylko naiwni sądzą, że Niemcy, zwłaszcza w ich obecnej sytuacji gospodarczej, łatwo pogodzą się z utratą takich inwestycji.

I w tym właśnie kontekście trzeba patrzeć zarówno na kolejne ruchy Tuska, jak i na antyamerykańskie wzmożenie oddanych mu „wolnych mediów", jakiego Polacy nie widzieli od czasów Ronalda Reagana i Wojciecha Jaruzelskiego. Przynosi ono zresztą zauważalne rezultaty w badaniach opinii publicznej: w tradycyjnie najbardziej proamerykańskim kraju, jakim zawsze była Polska, nastawienie opinii publicznej do USA stopniowo zbliża się do standardów Europy Zachodniej.

Wielu komentatorów zastanawiało się, dlaczego były już kanclerz Niemiec, Olaf Scholz, upublicznił zdjęcie kłaniającego mu się Donalda Tuska, uchwyconego w służalczej pozie, ze złożonymi modlitewnie rękami i lizusowskim uśmiechem – całkowicie go ośmieszające i dyskredytujące. Niektórzy tłumaczyli to wpadką, inni prywatną zemstą. Ale potem było głośne przesadzenie Tuska do ostatniego wagonu w pociągu do Kijowa, przypisywane Ukraińcom, ale nie mogące przecież nastąpić bez zgody głównych pasażerów tego pociągu, jeszcze później zaś demonstracja prezydenta Francji, który podczas paryskiego szczytu powitał osobiście wszystkich innych uczestników, wprowadzenie do pałacu premiera Polski pozostawiając asystentowi.

KTO TRZYMA „WAJCHĘ"

Wielu ludzi w Polsce to upokarzanie Tuska – ale przecież, w jego osobie, Polski – nawet ucieszyło, wielu nie umiało zrozumieć, dlaczego Niemcy traktują w taki sposób polityka bezwzględnie im przecież oddanego. Odpowiedź jest prosta: pokazują w ten sposób Ameryce, że w Polsce nie ma z kim rozmawiać. Że to „Europa", czyli Niemcy, trzyma „wajchę" sterującą biegiem wypadków w Warszawie. I to „Europa" będzie decydować – jak zrobiła to z sukcesem na Węgrzech, a wcześniej w Rumunii – kto zajmie miejsce po Tusku, jeśli polscy wyborcy na tyle się do niego zniechęcą, że będzie wymagał zastąpienia kimś nowym.

Dlaczego Donald Tusk poddaje się tej tresurze i przy każdej okazji wychodzi swoimi antyamerykańskimi zachowaniami naprzeciw oczekiwaniom tak źle go traktujących patronów? Bo zagonił się w ślepy zaułek, z którego nie widać innego wyjścia niż, jak w roku 2014, nominacja na jakąś unijną posadę, dającą możliwość wycofania się z twarzą i immunitetem. To, co 12 lat temu jawiło się ścieżką awansu i kariery – brutalnie złamanej odesłaniem Tuska przez „grupę trzymającą Unię" do Polski, z zadaniem „przywrócenia jej Europie" – teraz wydaje się jedynym sposobem ucieczki przed konsekwencjami istnej orgii nieodpowiedzialnego rozmontowywania i zadłużania państwa, w jaką zamienił swe ponowne rządy po odsunięciu PiS.

A że osobisty interes Donalda Tuska stoi tu w jaskrawej sprzeczności z interesem państwa polskiego? Cóż, tym gorzej dla Polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

O RELOKACJI AMERYKAŃSKICH WOJSK
CZYTAJ NA STR. 58

eprasa.pl 430f3f0d50

Legendowanie



Filip Memches

Jeszcze w latach 80. i 90. obecny premier był ideowym liberałem integralnym. W pierwszej dekadzie XXI w. dokonał jednak zwrotu. Od pewnego czasu zaś w jego wypowiedziach pobrzmiewa retoryka nacjonalistyczna. O czym to świadczy?

Lewicowa reedukacja Polaków przebiega opornie. Mogą o tym świadczyć wyniki sondaży preferencji wyborczych. Choć w badaniach tych na pierwszym miejscu plasuje się Koalicja Obywatelska, to większość poparcia społecznego uzyskują sumarycznie ugrupowania prawicowe. I to jest trend mniej lub bardziej utrzymujący się od wyborów prezydenckich w roku 2025. A nie można też abstrahować od tego, że i wśród zwolenników Polski 2050 oraz Polskiego Stronnictwa Ludowego – a więc formacji obozu władzy unikających wszelkiego radykalizmu – niemałą grupę stanowią osoby o względnie konserwatywnej wrażliwości.

W tej sytuacji taktycy KO stają przed poważnym wyzwaniem, jakim jest pozyskanie wyborców o poglądach prawicowych. Partia ta zaś jest zdesperowana, żeby po planowanych na rok 2027 wyborach parlamentarnych rządzić nadal. Jeśli bowiem stanie się inaczej, to czołowe postaci Koalicji Obywatelskiej mogą ponieść bolesne konsekwencje swoich bezprawnych działań przy przejmowaniu mediów publicznych czy wymiaru sprawiedliwości w latach 2023–2024. W tej sytuacji nastroje społeczne, które świadczą o tym, że wśród Polaków większym wzięciem cieszy się retoryka prawicowa niż lewicowa, okazują się dla KO sprawą kluczową.

Mimo że politycy Koalicji Obywatelskiej forsują rozmaite rozwiązania z lewicowej agendy (jak liberalizacja prawa do aborcji czy „związki partnerskie"), to jednocześnie sam jej przewodniczący zdaje się zachowywać na tym polu powściągliwie. Mało tego, Donald Tusk już od dawna miewa wypowiedzi, które robią wrażenie sygnałów wysyłanych wyborcom o prawicowych poglądach.

Tak było choćby w wystąpieniu wygłoszonym podczas organizowanego przez Konfederację Lewiatan Europejskiego Forum Nowych Idei w Sopocie w kwietniu 2025 r. Tusk zaskoczył wtedy słuchaczy ostentacyjną pochwałą polskiego egoizmu narodowego (wręcz nie zawahał się użyć aprobatywnie terminu „nacjonalizm ekonomiczny"). Wskazywał, że kapitał ma narodowość, więc gospodarka polska, nosi barwy biało-czerwone. Ponadto stwierdził, że trzeba skończyć z naiwnością w stosunkach międzynarodowych, bo stanowią one pole rywalizacji różnych podmiotów, i to rywalizacji bezwzględnej.

Z kolei wcześniej, gdy na początku roku 2024 nowy gabinet dopiero się rozkręcał, Tusk podjął decyzję o wzmocnieniu zapory na granicy polsko-białoruskiej. Przy czym szef rządu podnosząc problem sterowania przez Rosję i Białoruś nielegalnym napływem do Polski ludności spoza Europy, uderzał w antyimigracyjne tony. W oczach ludzi, którzy oskarżali Prawo i Sprawiedliwość o ksenofobię i rasizm wobec przybyszów z Afryki i Azji, polityka nowej ekipy w tym zakresie jawiła się jako zintensyfikowana kontynuacja tego, co robił rząd Zjednoczonej Prawicy.

Wreszcie wypada odnotować reakcję Tuska na orzeczenie Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej z listopada 2025 r., nakładające na Polskę obowiązek uznawania „małżeństw" jednopłciowych zawartych w innych państwach UE. Lider KO skomentował wówczas ten wyrok następująco: „Nie jest tak, że Unia Europejska może nam w tej kwestii cokolwiek narzucić. Pracujemy nad własnymi przepisami prawa, które będą to regulowały, i w sposób taki, jaki większość Polaków, poprzez większość parlamentarną, uzna za stosowne". Czytając tę wypowiedź Tuska, cisną się na usta słowa: istny suwerenizm kulturowo-obyczajowy, godny niejednego polskiego konserwatysty przekonanego o tym, że lud polski pozostaje odporny na indoktrynację lewicy.

ZDRADA PROGRESYWNYCH IDEAŁÓW?

Być może intencje przyświecające premierowi zdradza wpis zamieszczony na X w styczniu bieżącego roku przez Radosława Sikorskiego, a dotyczący przebiegu trwającej wtedy parlamentarnej kampanii wyborczej na Węgrzech. Otóż minister spraw zagranicznych zasugerował wówczas, że TISZA walczy z Fideszem jego własną bronią, czyli przelicytowuje go w sprawie upominania się o prawa mniejszości węgierskiej na Słowacji. „[Péter] Magyar oskrzydla z prawej flanki" – napisał Sikorski, lecz od razu w kolejnym zdaniu dodał, że polityk węgierski robi to, co robiła wobec PiS Koalicja Obywatelska, gdy ubiegała się o władzę w roku 2023 (przypuszczalnie szefowi MSZ chodziło o patriotyczne slogany i antyimigracyjne wątki w przekazie KO).

Nie powinny zatem dziwić rozważania nad tym, czy ugrupowanie Tuska skręca w prawo. Gdy snują je ludzie lewicy, to wysuwany jest wobec premiera zarzut, że zaprzepaszcza on szansę na to, żeby uczynić z Polski kraj różnorodności, równości, inkluzywności. Nie brak głosów, że doszło wręcz do zdrady progresywnych ideałów.

eprasa.pl 430f3f0d50

Tuska



FOT. MARCIN OBARA/PAP

Wśród ludzi lewicy są i tacy, którym wciąż wadzi obecność w szeregach Koalicji Obywatelskiej – i to jako prominentnego polityka tej partii – Romana Giertycha. Wypominają mu oni przeszłość – konkretnie: że zanim zaskarbił sobie zaufanie lidera KO, był młodym aktywistą nacjonalistycznym. W tym kontekście na uwagę zasługuje jednak też to, jak pozycjonowanie się Koalicji Obywatelskiej przedstawiają przychylne jej media. Przykładem może być Onet. Oto w grudniu 2025 r. Andrzej Stankiewicz w swoim emitowanym na tym portalu cyklicznym programie „Stan wyjątkowy" powiedział, że Tusk idzie bardziej na prawo, unika tematów lewicowych, marginalizuje lewicowych posłów. Czy tak jest naprawdę?

Nie. Można bowiem postawić hipotezę, że mamy do czynienia z legendowaniem premiera jako polityka prawicowego. On zresztą sam o to dba. Przecież sygnały wysyłane do wyborców o prawicowych poglądach muszą być przemyślane. Jeśli Tusk jest atakowany z lewej strony, to właśnie o to mu chodzi. Demonstrowanie przez niego reorientacji w prawo nabiera wiarygodności. Tyle że to wyłącznie gra wizerunkowa, nic poza tym. Dlaczego ją więc prowadzi?

Tusk musi brać pod uwagę, że KO jest bardzo daleko do uzyskania takiego poparcia społecznego, które dawałoby jej samodzielną większość w Sejmie kolejnej kadencji. Partia ta dla utrzymania władzy potrzebuje więc sojuszników. A jeśli tak, to skazana jest na będący obecnie oparciem dla gabinetu Tuska układ z blokiem Lewica. To jedyny sojusznik Koalicji Obywatelskiej, który – według sondaży – może liczyć na wejście do Sejmu kolejnej kadencji (w przeciwieństwie do Polski 2050 i PSL). Tyle że w tej sytuacji KO nie ma się co bić z Lewicą o wyborców. Natomiast priorytetem Koalicji Obywatelskiej jest odbieranie poparcia społecznego formacjom prawicowym. Dlatego taktyka polegająca na próbach przelicytowywania ich w różnych kwestiach wydaje się czymś zrozumiałym. Ale musi to wyglądać wiarygodnie. Dlatego KO opłaca się być w układzie z Lewicą i jednocześnie publicznie obrywać z lewej strony za to, że nie realizuje lewicowej agendy. Przecież wyborców o wrażliwości konserwatywnej, którzy nie są przywiązani do żadnego ugrupowania, więc wahają się, na kogo oddać swoje głosy, nie brakuje. To o ich poparcie stara się Koalicja Obywatelska.

PRZEZROCZYSTY POPULISTA

Natomiast co do Donalda Tuska, opanował on do perfekcji sztukę lawirowania na scenie politycznej od lewa do prawa. Lider KO to przede wszystkim przezroczysty populista, który kroi swój program pod oczekiwania społeczne. Owszem, jeszcze w latach 80. i 90. był ideowym liberałem integralnym. Oznaczało to, że optował za emancypacją jednostki względem religii i narodu oraz rozwiązaniami rynkowymi, premiującymi przedsiębiorczych indywidualistów. W pierwszej dekadzie XXI w. dokonał jednak zwrotu – z liberalizmem integralnym skończył. Miał w pamięci niezadowolenie społeczne, które wywoływały w Polsce lat 90. brutalne reformy kapitalistyczne. Gdy zaś po raz pierwszy został premierem, zaczynał się globalny kryzys finansowy. Ujawniła się zatem ciemna strona rozwiązań deregulacyjnych. Podważony został królujący w świecie od lat 80. neoliberalny paradygmat ekonomiczny. To również wpłynęło na Tuska. Choć jednocześnie kreował się on na polityka reprezentującego polską klasę średnią – mieszczan z aspiracjami, gardzącymi osobami, które nie nadążają za tempem rozwoju gospodarczego i oczekują od państwa pomocy. Wbrew dzisiejszej propagandzie Koalicji Obywatelskiej w roku 2015 politycy tej formacji – wtedy jeszcze pod szyldem Platformy Obywatelskiej – kpili z PiS, gdy partia ta zapowiadała, że po dojściu do władzy wdroży program „Rodzina 500+".

Oczywiście dziś można się zastanawiać nad tym, czy po wyborach parlamentarnych w roku 2027 arytmetyka sejmowa nie zmusi Tuska do szukania porozumienia z innymi siłami niż te, z którymi aktualnie tworzy gabinet. Nie brak opinii, według których KO zawrze układ z Konfederacją. Tyle że dla samej Konfederacji byłby to ruch mocno ryzykowny. Jej wyborcy jednak są do Koalicji Obywatelskiej nastawieni wrogo. Znamienne, że zdecydowana ich większość w wyborach prezydenckich w roku 2025 zagłosowała na Karola Nawrockiego i nie dała się nabrać na wspólne piwo Rafała Trzaskowskiego i Radosława Sikorskiego ze Sławomirem Mentzenem. Wyborcy Konfederacji mogliby się masowo od niej odwrócić, gdyby jej politycy dali się zaprosić do rządu tworzonego przez KO.

Trzeba jeszcze wyjaśnić jedną kwestię. W kręgach prawicowych Tusk uchodzi za polityka związanego z lewicowymi i liberalnymi salonami warszawskimi. Tymczasem w przeszłości żywił on – jako „prowincjusz" z Trójmiasta – wobec nich sporą rezerwę. Obca mu była mentorska wyniosłość polityków pokroju Bronisława Geremka, z którymi zresztą w latach 1994–2001 był w jednym ugrupowaniu – Unii Wolności. Poniekąd to też przyczyniło się do jego rozstania z nimi.

Niemniej Koalicja Obywatelska nie może lekceważyć „warszawki". Choć „Gazeta Wyborcza" mocno straciła na znaczeniu w polskiej debacie publicznej, to jednak jej poparcia nie opłaca się odtrącać. Dotyczy to też stosunków KO z innymi liberalnymi mediami.

A swoją drogą już raz Donald Tusk miał wykonać woltę w prawo. Było to w roku 2005, kiedy ubiegając się o prezydenturę, pozował na konserwatystę i zapowiadał, że jego formacja utworzy rząd razem z Prawem i Sprawiedliwością. Tyle że wtedy – tak samo jak dziś – to też była gra wizerunkowa. I ostatecznie Tusk okazał się oponentem prawicy. Dlaczego więc miałoby być inaczej teraz?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 430f3f0d50



Z Janem Krzysztofem Ardanowskim, przewodniczącym Rady Rolnictwa i Obszarów Wiejskich przy Prezydencie RP, byłym ministrem rolnictwa

rozmawia Ryszard Gromadzki

Larum dla rolnictwa



FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

RYSZARD GROMADZKI: Szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, komentując wejście w życie z dniem 1 maja umowy o wolnym handlu między Unią Europejską a krajami MERCOSUR, powiedziała, że już widać korzyści, które ta umowa przynosi Unii. Jakie korzyści ma polski rolnik czy polski konsument z umowy Mercosur?

JAN KRZYSZTOF ARDANOWSKI: Ocena pani von der Leyen może być prawdziwa w odniesieniu do gospodarki niemieckiej. Podpisując tę umowę w stolicy Paragwaju Asuncion, przewodnicząca von der Leyen wykonała polecenie, które otrzymała z Berlina. Z punktu widzenia Polski praktycznie nie widzę żadnych korzyści z tej umowy. Niektórzy naiwni twierdzą, że firmy, które są „podczepione" pod firmy niemieckie, będą mogły liczyć na większe zyski z powodu tego, że Niemcy będą mogli więcej eksportować, więc polscy podwykonawcy będą mogli na tym trochę więcej zarobić. To dość ryzykowne założenie, bo de facto zarabia ten, kto wytwarza produkt finalny, czyli np. niemieccy producenci samochodów. Umowa Mercosur była negocjowana ponad 20 lat; co znamienne, rozmowy zdecydowanie przyspieszyły w momencie, kiedy w Niemczech pojawiła się recesja, a niemiecki rząd i koła przemysłowe doszły do wniosku, że zwiększony eksport do krajów Ameryki Południowej może pobudzić gospodarkę. Polska nie ma rozpoznawalnych globalnych marek ani produktów, które mogłyby być eksportowane do Ameryki Południowej.

A nabiał i produkty mleczarskie? Podobno polscy producenci wiązali nadzieję, że uda się je wyeksportować do Latynosów. Ale szybko okazało się, że pojawiły się bariery dostępu dla naszych wyrobów na rynku brazylijskim.

Państwa, które wchodzą w skład grupy Mercosur, to potężne kraje rolnicze, dysponujące ogromnymi powierzchniami użytków rolnych, mające sprzyjający klimat i odpowiednią ilość wody w glebie. Brazylia, Argentyna, Urugwaj czy Paragwaj są ogromnymi producentami żywności, praktycznie w każdym segmencie rynku. Z sygnałów, które mam od naszych producentów zrzeszonych w Polskiej Izbie Mleka, wynika, że już w pierwszych dniach obowiązywania umowy Mercosur widać jak na dłoni, że kraje skupione w tym bloku bronią dostępu do swoich rynków, stosując skomplikowane procedury biurokratyczne. Podobną taktykę do perfekcji opanowały Chiny.

Trzeba powiedzieć jasno: Ameryka Południowa nie jest zainteresowana importem żywności z Europy, a więc i z Polski. Ich priorytetem jest transfer technologii i zaawansowanych produktów przemysłowych. Reasumując, z punktu widzenia polskich interesów umowa Mercosur jest całkowicie szkodliwa. Tym bardziej że te grupy produktów, które są marką krajów Mercosur, są tożsame, z tymi, na które w ostatnich latach stawiała Polska. Mam na myśli produkcję zbóż czy mięsa drobiowego i jaj, w które nasi producenci zainwestowali ogromne nakłady. Dodajmy do tego zestawu cukier, bo Polska jest nadal liczącym się producentem cukru z buraków cukrowych. Ale nasz cukier nie jest w stanie wytrzymać konkurencji z cukrem z trzciny cukrowej wytwarzanym przede wszystkim w Brazylii, a także w innych krajach Ameryki Południowej. Podobnie rzecz ma się, jak wspomniałem, z mięsem drobiowym, którego największym producentem na świecie jest Brazylia.

Kolejny przykład to bioetanol, wykorzystywany jako dolew do benzyny, którego jesteśmy poważnym wytwórcą, ale jesteśmy bez szans w konkurencji z bioetanolem z Brazylii. Próbowaliśmy w Polsce rozwijać hodowlę bydła mięsne-

eprasa.pl 430f3f0d50

go, wykorzystując sprzyjające warunki w postaci 2 mln ha trwałych użytków zielonych, które mogłyby być naturalną bazą paszową właśnie dla bydła mięsnego. Koszty jego hodowli też nie są przeszkodą nie do sforsowania. Zapotrzebowanie na wołowinę na świecie jest duże, przede wszystkim ze strony krajów muzułmańskich. Jednak i w tym wypadku konkurencja z Ameryki Południowej jest zdecydowanie tańsza.

Polska jest krajem z istotną nadwyżką produkowanej żywności. Nasi producenci lokują ją tam, gdzie najbliżej, czyli na rynkach Unii Europejskiej. Czy otwarcie unijnego rynku na tanią żywność z krajów Mercosur, a w perspektywie także z Australii oznacza wyrok dla polskich eksporterów żywności? O tym, że jest to realny scenariusz, można było się przekonać, kiedy Unia zaczęła otwierać swój rynek na produkty rolno-spożywcze z Ukrainy.

To wszystko się już dzieje. Wśród krajów Unii nie ma jednolitej strategii. Są kraje o trwałym deficycie żywności, jak np. Włochy. Sześćdziesięciomilionowa populacja własna, stale zasilana dziesiątkami tysięcy migrantów, a do tego drugie tyle zagranicznych turystów i pielgrzymów każdego roku. Tych wszystkich ludzi trzeba wyżywić. Nic dziwnego, że Włosi patrzą na import taniej żywności z Ameryki Południowej inaczej niż my. Polska jest krajem nadwyżek żywności. Około 40 proc. żywności, którą wytwarzamy, musimy eksportować. Do tej pory, jak pan zauważył, 80 proc. tego eksportu lokowaliśmy w Unii Europejskiej. Z unijnych rynków już jesteśmy wypychani zarówno przez żywność z Ameryki Południowej, jak i ukraińską. To w oczywisty sposób przełoży się na upadek polskich gospodarstw.

Trzeba zwrócić uwagę na jeszcze jeden fakt. Umowie Mercosur towarzyszyły uspokajające wypowiedzi różnych „ekspertów", choć raczej należałoby ich nazwać „pożytecznymi idiotami", którzy przekonywali, że nie ma mowy o rozregulowaniu europejskiego rynku rolnego przez masowy napływ żywności z Ameryki Południowej, bo przecież import będzie oparty na ustalonych kontyngentach.

Ale czy ktoś jest to w stanie sprawdzić? Przy tak ogromnej skali obrotu wydaje się to niemożliwe.

To jest niemożliwe do sprawdzenia ani pod względem ilościowym, ani jakościowym, w sensie bezpieczeństwa sprowadzanej żywności. Praktycznie każdego tygodnia dowiadujemy się, że w produktach żywnościowych z Ameryki Południowej znajdowane są pozostałości pestycydów, hormony wzrostu, wykorzystywane do hodowli zwierząt czy antybiotyki, których nie wolno stosować w Europie. Przywołani wcześniej eksperci uspokajali, że ilość żywności sprowadzanej z Ameryki Południowej jest zbyt mała, żeby wpłynąć na rolnictwo europejskie. Tak nie jest. Jeżeli na rynku nasyconym żywnością, a polski rynek do takich należy, pojawiają się dodatkowe ilości żywności, to nawet jeśli mówimy o kilkuprocentowych wolumenach, drastycznie spadają ceny płacone w Polsce rolnikom za płody rolne. Prawidłowość jest taka, że spadek ceny jest znacznie większy niż procentowy udział napływającej żywności w naszym rynku. Przerobiliśmy to już u nas na przykładzie zboża z Ukrainy. Wpuszczenie na nasz rynek kilku milionów ton ukraińskiego zboża, co odpowiadało ok. 10 proc. całego polskiego rynku zboża, rozsadziło ten rynek, powodując, że ceny zboża dyktowane rolnikom spadły o ponad 60 proc. To samo czeka nas w przypadku żywności sprowadzanej z krajów Mercosur czy Ukrainy. Nawet jeżeli nie będą to duże ilości, to będą radykalnie obniżały ceny płacone polskim rolnikom.

Mówił pan o tym, że jest wiele sygnałów wskazujących na to, iż żywność z krajów Mercosur, która trafia do Unii, a więc i do Polski, często skażona jest pestycydami, antybiotykami czy hormonami wzrostu. Minister rolnictwa Stefan Krajewski ogłosił, że Polska wprowadzi system kontroli żywności importowanej z Ameryki Południowej. To może zadziałać, kiedy – jak słychać – brakuje sieci odpowiednio wyposażonych laboratoriów i ludzi do ich obsługi?

To fikcja. Kolejna zasłona dymna, która ma uspokoić konsumentów. Podobnie jak zapowiedzi rządu Tuska, że Polska będzie budować mniejszość blokującą przeciw umowie Mercosur czy złoży skargę na tryb procedowania tej umowy do TSUE. To wszystko są bajki na użytek publiki w Polsce. Unia Europejska obiecywała z kolei, że stworzy europejski system kontroli żywności. Już się z tego wycofała. Każdy kraj ma zrobić to we własnym zakresie. Prawda jest taka, że służby odpowiedzialne za bezpieczeństwo żywności w Polsce po prostu nie są w stanie skontrolować każdej przesyłki spośród setek tysięcy ton żywności, która będzie do nas napływała. To niemożliwe. Uwierzyłbym ministrowi Krajewskiemu, jeśli poza podpisaniem rozporządzenia, które moim zdaniem niczego nie rozwiązuje, poszłyby realne pieniądze na system inspekcji żywności, zatrudnienie ludzi, wyposażenie laboratoriów i powołanie nowych. Byliśmy też karmieni propagandą, przede wszystkim ze strony polityków PSL, że wśród producentów żywności w Ameryce Południowej będą stosowane tzw. klauzule lustrzane, które miałyby zapewnić, że spełni ona wymogi, które obowiązują unijnych producentów. Kraje grupy Mercosur oświadczyły na to twardo, że żadnych „klauzul lustrzanych" spełniać nie zamierzają, bo mają swoje standardy i Europa się na to zgodziła.

Co robić, żeby obronić polskie rolnictwo i polskich konsumentów? Żebyśmy mieli co jeść i żeby to, co będziemy jeść, nie było toksyczną paszą?

Przygotowuję obecnie w ramach Rady Rolnictwa i Obszarów Wiejskich przy Prezydencie RP, której mam zaszczyt przewodniczyć, nie tylko ocenę stanu polskiego rolnictwa, lecz także plan działań ratunkowych. One są niemożliwe do zrealizowania siłami samych rolników, bez zaangażowania rządu i społeczeństwa. Uważam, że polskie rolnictwo wciąż można uratować. Po pierwsze, część produkcji rolniczej trzeba przekierować na cele nieżywnościowe, czyli na energię i biopaliwa. Po drugie, na rynku rolnym potrzebna jest aktywna rola państwa i nie chodzi o to, żeby – jak to było za komuny – komitet centralny partii określał maksymalne ceny zbóż czy sznurka do snopowiązałek. Idzie o rolę regulacyjną. Temu służyć miała Krajowa Grupa Spożywcza, pod warunkiem że nie będzie traktowana przez rządzących wyłącznie jako bank synekur. Taką platformą przygotowywania rozwiązań ratunkowych dla polskiego rolnictwa mogłoby być także stowarzyszenie Polski Chleb, które powołałem do życia. Duże perspektywy ma w Polsce produkcja żywności premium. Mamy wiele atutów, żeby ją rozwijać. Najważniejsza z tego wszystkiego jest jednak odpowiedzialność klasy politycznej za rolnictwo zamiast traktowania go wyłącznie w kategorii synekur w administracji i spółkach państwowych, czy – jak mówi się często na wsi – w kategorii „koryta".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 430f3f0d50



Piotr Semka

Skromny pracownik winnicy Pańskiej z Zambrowa

Jest coś symbolicznego w tym, że abp Józef Michalik (1941–2026) odszedł do Domu Ojca właśnie 3 maja – w święto Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej. Był kapłanem, który bardzo wiele miejsca w swoich kazaniach poświęcał mądremu rozumieniu patriotyzmu. Nie wstydził się zaznaczać nieprzemijającej wagi znaczenia wartości związanych z triadą Bóg – Honor – Ojczyzna



FOT. GRAŻYNA MYŚLIŃSKA/FORUM

W jednym z wywiadów abp Józef Michalik mówił: „Zdrowy patriotyzm to jednocześnie zobowiązanie do szacunku dla własnej historii i kultury, ale jednocześnie i otwarcie na drugiego człowieka, na narody sąsiadujące z Polską. Tylko otwarcie na innego człowieka innej nacji zabezpiecza przed tym niebezpiecznym typem nacjonalizmu, który stawia własny naród ponad inne, a to zwykle prowadzi do łamania Bożych przykazań”.

BRZEMIĘ HISTORII

Były w tych słowach przemyślenia hierarchy, który rodził się w strasznych latach wojny, na ziemi łomżyńskiej, która była miejscem mordów na tle waśni narodowościowych i potwornych represji zarówno ze strony okupantów sowieckich, jak i hitlerowskich. I na tych terenach koniec wojny nie oznaczał spokoju. To właśnie tam, w okolicach jego rodzinnego Zambrowa, NKWD i UB prowadziły obławy na leśnych żołnierzy oddziałów niepodległościowych. Gdy w roku 2014 zbierałem relacje do mojej książki pt. „My, reakcja”, poprosiłem abp. Michalika o swoje wspomnienia z tamtych lat. Hierarcha wspominał: „W domu niejednokrotnie mówiono o partyzantach. A to że jakiś posterunek milicji zdobyli albo że wcześniej napadli jakichś sąsiadów, a to że zatrzymali autobus na trasie z Łomży do Kolna i wyciągnęli z niego kogoś, kto

eprasa.pl 430f3f0d50

donosił władzy […]. Zambrów był jakby wyspą w morzu terenów, na których działało wiele najprzeróżniejszych grup. A mieszkańcy miasta, nieufni wobec oficjalnych wersji, milczeli i mogli się tylko domyślać, kto jest kim".

Pogranicze ziemi łomżyńskiej i Mazowsza wydało wielu wybitnych hierarchów, zaczynając od samego prymasa Stefana Wyszyńskiego, poprzez abp. Romualda Jałbrzykowskiego, a kończąc na bp. Stanisławie Stefanku. W wypadku Józefa Michalika zauważyć można było jego głębokie przywiązanie do tradycji szlacheckiej. Wywodził się z drobnej szlachty z okolic Zambrowa. Gdy w 1986 r. w Bazylice św. Piotra w Rzymie był wyświęcany przez Jana Pawła II na biskupa zielonogórsko-gorzowskiego, asystujący w tej uroczystości abp Henryk Gulbinowicz upominał go: „Pieczętujesz się herbem szlacheckim, wpisałeś go w swój herb biskupi i to cię zobowiązuje!". Istotnie w herbie biskupim na jednym z pól znalazł się herb rodziny arcybiskupa, herb Boża Wola należący do rodziny arcybiskupa familii Komorowskich – przedstawiający podkowę zwieńczoną krzyżykiem. Ale ten awans na biskupa gorzowskiego był ukoronowaniem rzymskiego etapu w życiu ks. Józefa Michalika. Od 1978 r. do 1986 r. był rektorem Papieskiego Kolegium Polskiego w Rzymie. Była to szacowna instytucja założona jeszcze w 1582 r. dla polskich księży studiujących w Rzymie. Nominacja ks. Michalika na rektora Kolegium nieprzypadkowo zbiegła się z wyborem Jana Pawła II na papieża, który notabene był absolwentem Kolegium w II połowie lat 40. w czasie studiów w Rzymie.

Jeden z księży, który był absolwentem rzymskiej placówki, wspomina: „Ta funkcja znaczyła wtedy bardzo wiele. Arcybiskup Michalik był częstym gościem Jana Pawła II. Miał z nim na tyle silne relacje, że nawet szeptano, że ściągnęło to na niego niechęć ks. Stanisława Dziwisza, który nie lubił, gdy ktoś miał kontakt z papieżem poza jego kontrolą. Jan Paweł II często i chętnie rozmawiał z ks. Michalikiem, bo on mając pod sobą dziesiątki kleryków ze wszystkich diecezji polskich, dowiadywał się z pierwszej ręki, jak wygląda sytuacja w polskich diecezjach, uzyskując wiedzę „od dołu". Efektem tej znajomości była nominacja na pierwsze stanowisko biskupie do Gorzowa".

PATRON OPOZYCJI I PRAWICY

Gorzów Wielkopolski był w latach 80. jednym z ważniejszych punktów na opozycyjnej mapie ówczesnego PRL. To tu działał bardzo silny ośrodek antykomunistycznego Ruchu Młodej Polski, skupiającego tak znane potem nazwiska jak Marek Jurek, Krzysztof Nowak, Bogusław Kiernicki czy, najmniej chlubnie dziś się kojarzący, Kazimierz Marcinkiewicz. Marek Jurek wspomina: „Gdy bp Michalik objął swoją diecezję, my jako grupa RMP poprosiliśmy o audiencję. Pomógł nam przeprowadzić z podziemia pismo inteligencji katolickiej »Aspekty« i wydawać je jako czasopismo archidiecezji". Inny Gorzowianin z RMP Bogusław Kiernicki wspomina: „Słynna była wtedy w Gorzowie odprawa, jaką otrzymali esbecy, którzy odwiedzili biskupa i wypytywali się, kto pod pseudonimem pisuje w »Argumentach«. Arcybiskup miał wybuchnąć: »Czy chcecie ze mnie zrobić donosiciela?!«. Pamiętam jego zaproszenia do redakcji, na których przegadywaliśmy długie godziny. Był wspaniałym gospodarzem. Słuchał, dyskutował, był ciekaw tego, co mamy do powiedzenia. I traktował nas bardzo serio, mimo że niekiedy byliśmy zadziorni jak koguciki. Pamiętam jeden fakt. Wiosną 1986 r. przypadała 30. rocznica wprowadzenia w PRL ustaw pozwalających na zabijanie dzieci nienarodzonych. Napisałem list do biskupa, czy nie należałoby w związku z tą rocznicą ogłosić ten dzień dniem postu i modlitwy. Nie odpisał nic i uznałem, że sprawa nie przykuła jego uwagi. Jakie było moje zaskoczenie, kiedy usłyszałem w swoim kościele odczytywany list Episkopatu, w którym ogłoszono wezwanie do modlitwy z okazji tej rocznicy. I to był cały bp Michalik. Jeśli uznał coś za słuszne, to reagował bardzo konkretnie i szybko".

Kontakty z gorzowską opozycją zaowocowały zaangażowaniem bp. Michalika w czasie stworzenia jednej z pierwszych legalnych partii prawicowych, Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego. W październiku 1989 r. użyczył domu parafialnego sanktuarium w Rokitnie koło Międzyrzecza na ziemi lubuskiej dla spotkania założycielskiego ZChN. Marek Jurek wspomina: „Siedzieliśmy wtedy już po założeniu partii na spotkaniu w sali kominkowej z księdzem biskupem, zastanawiając się, jak podjąć sprawę ochrony życia poczętego w nowej rzeczywistości III RP".

Biskup Michalik bardzo wyraźnie patronował nowo tworzącej się partii, co nie było wówczas w Episkopacie takie oczywiste. Część hierarchów dała się sterroryzować dogmatowi frakcji liberalnej w Episkopacie, która głosiła, że Kościół musi się trzymać z dala od wszystkich partii. Biskup Michalik dobrze rozumiał, że taki dogmatyzm preferuje silne, już istniejące środowiska, jak np. ówczesny liberalno-lewicowy ROAD czy postkomunistów, a nie pozwala się rozwinąć małym partiom prawicy, które dopiero rozpoczynały działalność. W 1991 r. bp Michalik uczestniczył we Mszy przed wiecem Wyborczej Akcji Katolickiej, która na czele z ZChN skupiała mniejsze organizacje chrześcijańskie. To wówczas w trakcie Mszy padły wielokrotnie krytykowane później słowa ówczesnego biskupa gorzowskiego: „W wyborach obowiązkiem katolika jest głosować na katolika, tak jak obowiązkiem Żyda jest głosować na Żyda, komunisty na komunistę, a masona na masonów". Był to cytat jednej z publikacji Romana Dmowskiego i oczywiście odnosił się do sytuacji sprzed wojny, a arcybiskup przytoczył go jedynie po to, by przypomnieć, że wybór partii odwołującej się do zasad katolickiej jest w wypadku katolików czymś naturalnym. Jednak „Gazeta Wyborcza", a w ślad za nią inne media liberalne zrobiły z tych słów niemal wezwanie do pogromów. I od tego czasu bp Michalik stał się już stałym „czarnym charakterem" w obrębie polskiego Kościoła.

Gdy bp Michalik stał się jednym z nie tak wielu wówczas biskupów wzywających do ustawowej ochrony życia poczętego, liczba ataków medialnych na niego znacznie wzrosła. W 2004 r., po kolejnych przedłużanych kadencjach przewodniczenia Episkopatowi Polski przez prymasa Józefa Glempa, pojawiła się kwestia jego następstwa. I znów na łamach „Gazety Wyborczej" prowadzona była swoista kampania na rzecz któregoś z biskupów uważanych za przedstawicieli skrzydła liberalnego – abp. Tadeusza Gocłowskiego, abp. Józefa Życińskiego czy abp. Henryka Muszyńskiego. Silny zwolennik frak-

eprasa.pl 430f3f0d50

cji liberalnej, bp Tadeusz Pieronek, z tajemniczą miną zapowiadał zaprzyjaźnionym dziennikarzom, że „wkrótce wejdzie słońce". A jednak biskupi wybrali na nowego szefa Episkopatu już arcybiskupa przemyskiego Józefa Michalika. Niezadowolony z tej decyzji bp Pieronek kąśliwie komentował ten wybór słowami: „Zamiast słońca wyszedł księżyc".

Mniej więcej w tym samym też czasie uwagę Polaków przykuło referendum w sprawie przystąpienia Polski do Unii Europejskiej, które Polacy rozstrzygnęli na korzyść akcesu do wspólnoty. Już po ogłoszeniu zwycięstwa zwolenników akcesji abp Michalik udzielił wywiadu kwartalnikowi „Christianitas". Pytany w nim o to, „czy potrafimy (jako Polska) wnieść coś pozytywnego do tej instytucji?", odpowiadał: „Jestem raczej optymistą i człowiekiem, który nie boi się UE, ale też i tak bardzo jej nie ufa. I nie liczę, że ona rozwiąże wszystkie problemy. Co więcej, uważam, że ona tych problemów jeszcze przymnoży. Ale też trzeba będzie szukać na nie rozwiązania. Tkwi ono w nas, człowieku roku 2003. Powtórzę to, co mówiłem przed referendum: że zarówno wejście, jak i niewejście jest równie trudne i równie ciężkie. Moje stanowisko było takie, żeby nie zachęcać i nie zniechęcać. Niech zdecyduje naród, bo to jest typowo polityczna sprawa. I naród zdecydował. Ale teraz trzeba przypominać o wartościach, także o patriotyzmie – o którym mówi się czasami, że obumiera".

PO KRĘTYCH ŚCIEŻKACH

Arcybiskup Michalik od 1999 r. do 2004 r. był wiceprzewodniczącym Konferencji Episkopatu Polski. W latach 2004–2014 był jego przewodniczącym. Oznacza to, że przez tych 15 lat stał na czele polskiego Kościoła. Nic więc dziwnego, że krytykowany jest za wszystko to, co w tym okresie budziło kontrowersje. Najwięcej gromów spadło na niego po jego niefortunnej wypowiedzi o sytuacjach, w których „dziecko szuka miłości. Ono lgnie, ono szuka. I zagubi się, samo jeszcze tego drugiego człowieka wciąga". Wypowiedź tę uznano za pośrednie usprawiedliwianie przypadków pedofilii, tym bardziej że to właśnie na terenie archidiecezji przemyskiej doszło do czynów sprzecznych z prawem ks. Michała M. z Tylawy. Równie ostro krytykowano bierność abp. Michalika wobec pierwszych sygnałów o czynach lubieżnych abp. Juliusza Paetza wobec poznańskich seminarzystów.

Na pewno stwierdzić można jedno. Arcybiskup Michalik nie doceniał skali rażenia afer pedofilskich dla prestiżu Kościoła. Jego obrońcy tłumaczyli to wieloletnim przyzwyczajeniem ludzi Kościoła do traktowania oskarżeń kapłanów o pedofilię jako element ataków na Kościół. Ale w wypadku sprawy ks. Michała M. z Tylawy sąd uznał jego sprawstwo w molestowaniu sześciu dziewczynek i zdeprawowany kapłan został skazany na dwa lata w zawieszeniu na pięć lat. Dopiero w sierpniu 2020 r. nałożono na niego zakaz odprawiania Mszy z udziałem dzieci oraz zakaz prowadzenia katechezy.

Arcybiskup Michalik jako metropolita przemyski robił bardzo wiele, aby łagodzić antagonizmy polsko-ukraińskie. To on wraz z abp. Światosławem Szewczukiem i arcybiskupami Mieczysławem Mokrzyckim i Janem Martyniakiem złożył swój podpis pod historycznym dokumentem: polsko-ukraińską deklaracją Kościołów z okazji 70. rocznicy zbrodni wołyńskiej, podpisaną 27 czerwca w 2013 r. W tekście tego orędzia czytamy: „Przeproszenie i wzajemne wybaczenie jest niezbędne, gdy błędy czy zbrodnie z przeszłości tworzą barierę nieufności i obciążają wzajemne relacje. Tak więc do naszego pokolenia należy przekraczanie tych barier. Towarzyszy nam świadomość, że tylko małe – w sensie moralnym – narody zajadle i przez odwet dochodzą rachunku swych krzywd. Natomiast narody wielkie potrafią zdobyć się na przebaczenie, które jest warunkiem odbudowania jedności. Pojednanie i przebaczenie to nie puste słowa, ale mają głęboką treść. Przebaczenie jest tym bardziej wartościowe, im głębsze jest uświadomienie winy".

DO DOMU OJCA

Arcybiskup Michalik nie trzymał się fotela metropolity. Od 2014 r. dwukrotnie prosił o przyjęcie rezygnacji, choć miał osiągnąć wiek emerytalny dopiero w kwietniu 2016 r. W liście do diecezjan z lipca 2015 r. napisał, że prosi papieża o nieprzedłużanie czasu do jego odejścia, gdyż „misja ta potrzebuje nowego człowieka". Tak samo w rozmowie z jednym z dziennikarzy stwierdził w tym samym czasie, że „przyszedł czas na młodszych, by oni przejęli ster". Ostatnie lata spędzał w małym, skromnym domku w Krasiczynie.

Wbrew dobrym obyczajom zagończycy frakcji liberalnej w Kościele nie zdobyli się, by przyjąć śmierć hierarchy choćby milczeniem. Znana blogerka „Kościoła otwartego" Monika Białkowska swój krytyczny komentarz o życiu arcybiskupa zatytułowała: „O zmarłych tylko dobrze?". Inny krytyk Kościoła, były zakonnik Stanisław Obirek, ogłosił, że abp Michalik „zabetonował polski katolicyzm na długie lata".

Wbrew dobrym obyczajom zagończycy frakcji liberalnej w Kościele nie zdobyli się, by przyjąć śmierć hierarchy choćby milczeniem

Te głosy pokazują, jak głęboką niechęcią obdarzany był metropolita przemyski przez zwolenników radykalnych zmian w Kościele.

Jeden z komentatorów, Maciej Henryk Górny, występując w obronie abp. Michalika, napisał: „Łatwo nie docenić kogoś, kto powstrzymywał złe zmiany. Bardziej zwraca się uwagę na to, co się zmieniło, a nie na to, co udało się zachować". Jeden z byłych arcybiskupów, który ściśle współpracował z abp. Michalikiem, tak podsumował sylwetkę hierarchy z Zambrowa: „To był spokojny człowiek, a równocześnie bardzo odważny i kiedy trzeba, uparty".

Sam metropolita przemyski senior dwa lata przed śmiercią mówił w wywiadzie: „Nie boję się śmierci, chociaż jestem świadomy moich słabości i grzechów, to się jej nie boję. Czekam na śmierć. Modlę się i każdego dnia myślę o tym. Nawet tęsknię za tym dniem. Nigdy nie spodziewałem się, że będę żył tak długo" […]. Nie wiem, jaka to będzie śmierć, ale mam nadzieję, że przejdę to godnie i że będę właściwie przygotowany. Przecież jest to dla mnie czekanie na nową rzeczywistość. Przecież ja po to żyję".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 430f3f0d50

Statystyka nie kłamie



Michał Murgrabia

Czyny kryminalne popełniane masowo przez cudzoziemców przestają być w Europie tematem tabu. Świadczą o tym informacje podawane przez instytucje rządowe i media głównego nurtu

Katalog przestępstw popełnionych przez imigrantów w Unii Europejskiej stale rośnie. Bez wątpienia widać korelację pomiędzy zwiększającą się liczbą imigrantów w poszczególnych krajach Europy a wzrostem przestępczości. Choć wydaje się to oczywiste, to zawsze znajdą się jacyś krytycy i manipulatorzy, którzy zbagatelizują całą sprawę, sprowadzając ją do banału w stylu: „No ale przecież Polacy też kradną". To, że wśród Polaków, jak i w każdym innym narodzie, zdarzają się osoby, które łamią prawo, nie oznacza, że sytuacją pożądaną jest, gdy do swoich własnych problemów dokładamy kolejne.

A może jednak nie jest tak, że wzrost imigracji wpływa na wzrost przestępczości? Sprawdźmy to! Na stronie Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego możemy przeczytać: „Co prawda, liczba dokonywanych przez cudzoziemców przestępstw rośnie, ale jednocześnie rośnie liczba cudzoziemców w Polsce". To dość zaskakujące stwierdzenie, biorąc pod uwagę to, gdzie ta informacja się znajduje. Uniwersytet Warszawski nie słynie bowiem z tego, że zarówno jego studenci, jak i wykładowcy sprzyjają konserwatywnym poglądom. Jest wręcz odwrotnie. Skoro zatem nawet tutaj pojawia się taka, a nie inna informacja, to znaczy, że mamy już pewną namiastkę dowodu, który potwierdza to, że więcej imigrantów oznacza więcej przestępstw.

Z kolei Warsaw Enterprise Institute podaje: „W Niemczech cudzoziemcy stanowili w 2024 r. ok. 17 proc. populacji, ale odpowiadali już za ponad 40 proc. przestępstw". Myślę, że 40 proc. to dość spory wynik. Co ciekawe, zaznaczono, że „skłonność do łamania prawa przez cudzoziemców spada wraz ze zwiększaniem inwestycji w porządek publiczny oraz wraz ze wzrostem ryzyka deportacji". Wniosek nasuwa się samoistnie: im surowsze prawo wobec imigrantów – tym mniej problemów. Obyśmy to wreszcie zrozumieli.

WEI nie jest osamotnione w ocenie sytuacji, ponieważ nawet Deutsche Welle przywołuje dane, które podważają sens obecnej polityki imigracyjnej Niemiec, mówiące o tym, że w 2024 r. doszło do 18 tys. ataków nożem dokonanych przez cudzoziemców. Niemieckie media stronią raczej od nagłaśniania tego typu zdarzeń i unikają podawania narodowości sprawców, co w tym przypadku świadczy o wadze problemu. Jak to dla nas brzmi? Chyba dość egzotycznie i to dlatego z wielką łatwością przechodzimy nad tym do porządku dziennego, zupełnie tak, jakbyśmy przed chwilą tej informacji w ogóle nie przeczytali. Rozkładając to na czynniki pierwsze, otrzymujemy jednak prawie 50 ataków z użyciem noża dziennie, codziennie (!), przez cały 2024 r. Nie bez powodu powstała strona messerinzidenz.de, która w jednym miejscu gromadzi wszelkie informacje dotyczące tego typu przestępstw.

Ataki z użyciem ostrych narzędzi to niejedyna zmora Niemców. Do tego dochodzą przestępstwa na tle seksualnym, w tym gwałty, których cudzoziemcy dopuszczają się kilka razy częściej niż rodowici mieszkańcy kraju. Jeśli przyjrzeć się danym poświęconym przestępczości wśród imigrantów z lat 2015–2023, to nie dostrzeżemy w nich znaczącej różnicy. Zdecydowanie wyróżniali się oni bowiem na tle ogółu populacji. W Austrii sytuacja wygląda podobnie. Liczba gwałtów popełnianych przez imigrantów ciągle wzrasta od kilkunastu lat.

Holandia znajduje się w podobnym położeniu. Z badań przeprowadzonych przez CBS (Holenderski Urząd Statystyczny) możemy się dowiedzieć, że „osoby o pochodzeniu migracyjnym spoza Europy ponad trzykrotnie częściej popełniają przestępstwa". Z kolei dr Edwin Kruisbergen, specjalista do spraw przestępczości w Ministerstwie Sprawiedliwości i Bezpieczeństwa, poinformował Holendrów, że analiza poziomu przestępczości w różnych grupach pochodzenia doprowadziła ich do wniosku, że „osoby o pochodzeniu migracyjnym spoza Zachodu są nadreprezentowane w statystykach dotyczących przestępczości".

Z informacji WODC (Centrum Badań Naukowych i Dokumentacji działające przy holenderskim Ministerstwie Sprawiedliwości i Bezpieczeństwa) wynika, że niemal co drugi cudzoziemiec posiadający narodowość algierską (44 proc.) jest podejrzewany o popełnienie przestępstwa. Podobnie wysoko plasują się Marokańczycy i Tunezyjczycy, bo aż 31 proc. z nich jest podejrzewanych o łamanie prawa. Przykłady płynące z kolejnych państw można by mnożyć.

Na koniec przenieśmy się jeszcze na polskie podwórko. Weźmy dla przykładu przestępstwa drogowe. Okazuje się bowiem, że w Polsce w 2023 r. wśród wszystkich zatrzymanych za prowadzenie po spożyciu alkoholu aż 70 proc. stanowili Ukraińcy. Kartoteki policyjne pełne są spraw dotyczących cudzoziemców nagminnie łamiących prawo, chociażby w kwestii przestrzegania przepisów na polskich drogach. Skąd to wiem? Spędziłem wiele godzin, przeglądając policyjne komunikaty z ostatnich lat. Powie ktoś, że to wyłącznie nagonka z mojej strony i szczuję Polaków na Bogu ducha winnych przybyszów, a policja, chyba do spółki ze mną, uwzięła się na tych biednych ludzi i postawiła sobie za cel sfałszować statystyki, które przywołałem powyżej. Rzeczywistość jest taka, jaka jest, a ja nie potrafię na pstryknięcie palcami jej zmienić. Można wprawdzie udawać, że to wszystko się nie dzieje. Tylko po co? Lepsza gorzka prawda niż słodkie kłamstwa. ©℗

eprasa.pl 430f3f0d50



Katarzyna Kasia i Grzegorz Markowski – prowadzący program „Kwiatki polskie"
FOT. TVP

Nieśmiesznie i niesmacznie



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Satyra na polską rzeczywistość społeczno-polityczną czy utrwalanie podziału na „fajno-Polskę" i „ciemnogród"? Program „Kwiatki polskie" wzbudza coraz większe kontrowersje

Wybraliśmy się do miejsca, w którym wszystko się zaczęło, czyli Konstytucja 3 Maja została podpisana – do Zamku Królewskiego w Warszawie. Tam próbujemy znaleźć odpowiedź na pytanie: co nam dała konstytucja?" – tak materiał wyemitowany w „Kwiatkach polskich" w Święto Narodowe Trzeciego Maja zapowiedziała prowadząca Katarzyna Kasia. Widzowie TVP Info zobaczyli na ekranie mężczyznę z rozpiętą w znanym z historii geście koszulą, leżącego przed obrazem „Rejtan – Upadek Polski" Jana Matejki z 1866 r. „Co nam dała Konstytucja? Konstytucja dała nam wolność, majówkę. A jak ją Polak, prawdziwy Polak, wyraża? Polak wyraża wolność przez grilla. Ale jakiego? Jakiego grilla? Polskiego grilla, bez bakłażana, bez papryki i innych weganistycznych świństw. Po moim trupie! A jak już umrę, to z mojej krwi zróbcie prawdziwą kaszankę" – recytował ów człowiek, wijąc się po podłodze. Po chwili uśmiechnięci prowadzący, w swoim ironicznym tonie, odnieśli się do „skeczy". „Źle to wyszło" – stwierdził Grzegorz Markowski. „Mateusz Lewandowski, nasz wstańczyk z kolan, leżał w pozie Rejtana. Tym razem nie wstanie w ogóle" – dodała Katarzyna Kasia. „Ja chcę tę kaszankę" – żartował Markowski, a jego koleżanka wskazała: „Ja jestem wegetarianką, nie jem kaszanek".

KPINY Z PATRIOTYZMU

Miało być lekko i zabawnie, a wyszło – nomen omen – niesmacznie. Po emisji programu Internet zalała fala oburzenia – od polityków po komentatorów. „Przypominają się wczesne lata dwutysięczne, gdy mainstream próbował budować »europejską« tożsamość na nienawiści do polskości, czekoladowym orle na kupie czegoś brązowego, wbijaniu polskiej flagi w psie g... i wyrzucaniem z programów za »jakieś patriotyzmy bogoojczyźniane«" – ocenia poseł Paweł Jabłoński z PiS. „TVP w likwidacji strzela tu więc sama do siebie (choć pewnie o tym nie wie) [...]. Poza wszystkim – to jest po prostu nieśmieszne. A jeśli kogoś śmieszy – wyrazy współczucia; nie mamy ze sobą nic wspólnego" – dodał. Poseł Konfederacji Krzysztof Szymański komentuje: „Tak wygląda Telewizja »Polska« za rządów Tuska – kpienie z Polaków i miałki humor. Przypominam, że Uśmiechnięta Koalicja obiecała likwidację TVP, ale oczywiście nie dotrzymała tej, jak i wielu innych obietnic". Publicystka „Rzeczpospolitej" Estera Flieger pyta z kolei: „Który mamy rok? Bo w TVP zatrzymali się na wczesnych dwutysięcznych, kiedy salony piętnowały Polaków za grillowanie. A udział społeczeństwa w wypoczynku jest swoją drogą sprzężony z rozwojem kraju, gosp. I oni się potem dziwią, że przegrywają wybory prezydenckie". Filip Memches z „Do Rzeczy" wskazuje, że Kasia to „jeden z najbardziej przeszacowanych umysłów w polskiej debacie publicznej', a Markowski – „przereklamowany marny satyryk". „I ten trzeci, odium obciachu, jakim było żenujące szyderstwo z Reytana, zostanie z nim na zawsze. A wszystko za pieniądze, które miały pójść na onkologię" – zauważa publicysta.

Postępowanie wyjaśniające dotyczące „Kwiatków polskich" z 3 maja br. wszczęła Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji. Do KRRiT napłynęły skargi od widzów.

eprasa.pl 430f3f0d50

„Odbiorcy wskazują na treści odnoszące się do Tadeusza Rejtana, które w ich ocenie miały charakter kpiarski i uderzający w symbol patriotyzmu. Widzowie oceniają program jako przekroczenie granic dopuszczalnej satyry, co ich zdaniem godzi w interes publiczny i polską rację stanu" – podano w komunikacie. Wszczęcie postępowania oznacza, że KRRiT przeanalizuje materiał i oceni, czy doszło do naruszenia standardów ustawowych. Przewodnicząca Rady, dr Agnieszka Glapiak, może przyjąć do wiadomości wyjaśnienia nadawcy, upomnieć go lub nałożyć grzywnę.

USTAWKA Z MARSZAŁKIEM CZARZASTYM

Trzeciomajowe wydanie programu dobrze oddało jego ogólny przekaz. Po naigrywaniu się z narodowych symboli przyszedł czas na rozmowę z udziałem polityka koalicji rządowej. W studiu pojawił się marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty. „Dobry wieczór państwu. Przyszedłem do was dlatego, że dziś mam urodziny" – ogłosił szybko. „Ooo, no to sto lat, to w ogóle wow" – stwierdziła (rzekomo) zaskoczona Katarzyna Kasia. „Ludzie intuicyjnie wyczuwają, że to jest wielkie święto, i proszę zobaczyć, co się od rana dzieje. Flagi, pochody, dlaczego?" – pytał lider Lewicy. „Dla pana" – odpowiedziała prowadząca. „Konstytucja oczywiście, ale poza tym" – dodał, wskazując na siebie Czarzasty. Wtedy Grzegorz Markowski ogłosił odśpiewanie „Sto lat" politykowi, a następnie zespół zaintonował pieśń urodzinową na cześć Czarzastego. Scenka ta przypomniała inną, sprzed lat, gdy w programie Tomasza Lisa, również w TVP, chóralnie odśpiewano „Sto lat" premierowi Donaldowi Tuskowi.

Ten symbol upolitycznienia mediów publicznych ma się, jak widać, dobrze. Usprawiedliwieniem mógłby być jeszcze fakt, że cała sytuacja była spontaniczna – Czarzasty chwali się, że ma urodziny, a ekipa „Kwiatków…" postanawia uczcić ten dzień. Sęk w tym, że była to ustawka. Informacja o tym wyszła od szefowej klubu Lewicy Anny Marii Żukowskiej, jednej z najbliższych osób z otoczenia Czarzastego. Okazuje się, że 3 maja marszałek nie mógł być w TVP, ponieważ tego dnia przebywał w Kopenhadze, do której wybrał się dzień wcześniej. „Na spotkanie z szefem parlamentu Danii […]. Program »Kwiatki polskie« nie był nadawany na żywo, został nagrany w zeszłym tygodniu" – przyznała Żukowska w jednym z wpisów na X. Popularny w serwisie użytkownik o nicku Chrzanik skomentował: „Czekaj, czekaj… czyli Czarzasty poszedł do TVP i powiedział, że ma DZIŚ urodziny, zrobiono całą ustawkę i śpiewano mu sto lat tydzień przed urodzinami, żeby wyemitować piękną laurkę urodzinową dla Czarzastego? Brawo TVP, czuję się znakomicie, wiedząc, że zamiast na onkologię, moje pieniądze idą na takie ustawki". Komentator Wiktor Świetlik nie krył oburzenia: „Program »Kwiatki polskie« i dwoje koszmarnych propagandzistów z TVP w likwidacji ordynujących »sto lat« na rzecz Czarzastego. Dzień jak co dzień".

Jak wynika z danych Nielsena, od początku roku program TVP Info „Kwiatki polskie" ogląda 160 tys. widzów. To o ponad 30 tys. mniej niż w analogicznym okresie ubiegłego roku

DOPING DLA MINISTRA ŻURKA

„Kwiatki polskie" są emitowane w TVP Info od września 2024 r. Pomysłodawcami audycji są Katarzyna Kasia i Grzegorz Markowski, którzy przeszli do mediów publicznych z TVN24, gdzie wcześniej prowadzili „Szkło kontaktowe". Dziś obok nich współprowadzącymi są Magdalena Kasperowicz, Dominika Sitnicka, Mirosław Oczkoś, Klaudiusz Slezak i Dariusz Ćwiklak. „Czujemy gigantyczny komfort, bo jesteśmy w sytuacji, w której nasze pomysły mogą się już realizować, i to w 100 procentach. Nagle okazuje się, że można mieć instytucjonalne wsparcie poważnej telewizji, nasze plany przekształcają się w konkret, a zespół ludzi jest w pełni zaangażowany i otwarty na zmiany, nowe pomysły, wspólną zabawę przy tworzeniu programu" – tak o pracy w TVP mówił niedawno Wirtualnym Mediom Markowski.

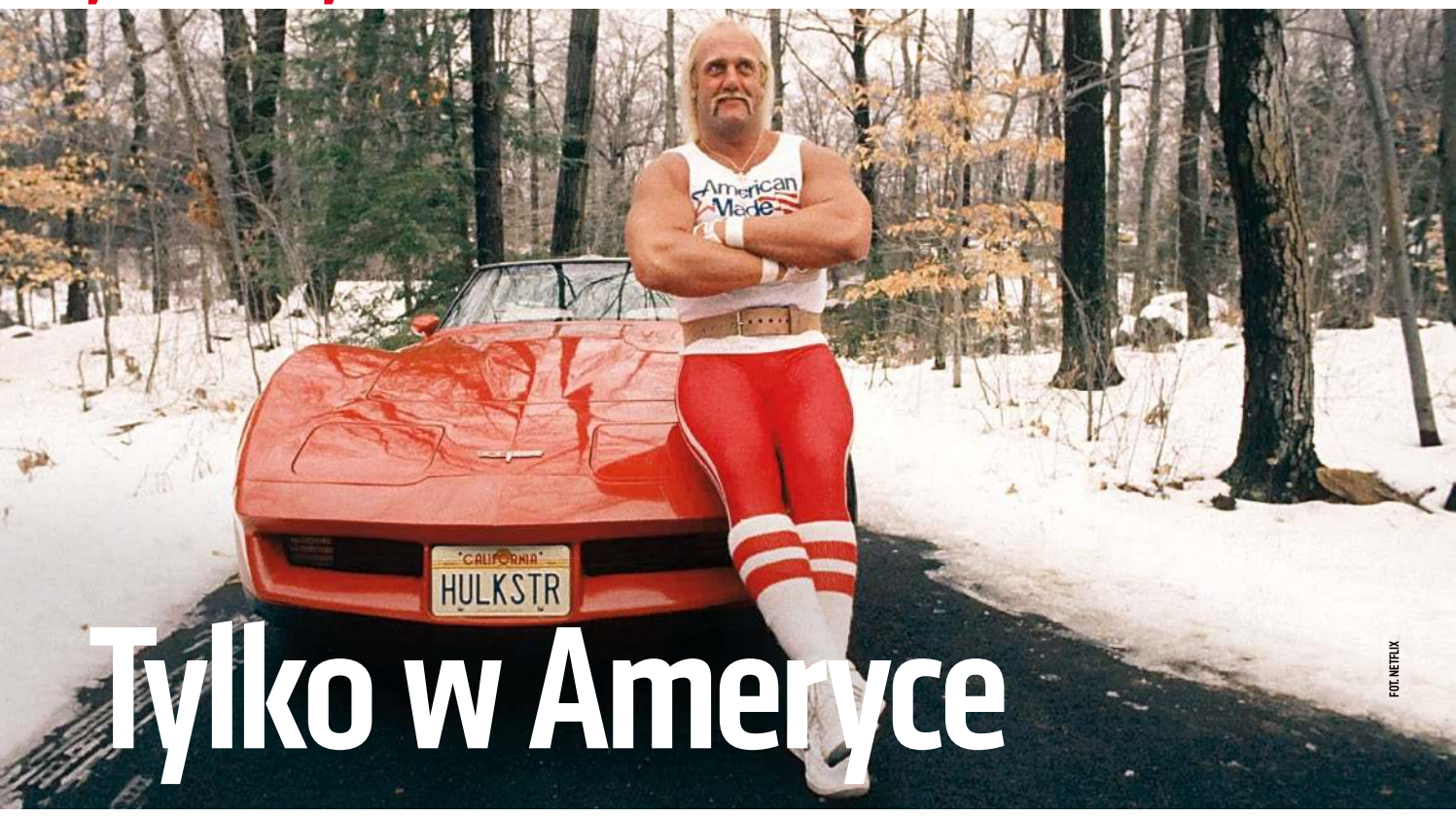
Jakie pomysły proponują autorzy programu? W czerwcu ubiegłego roku zaprezentowano widowni rapowy utwór, przedrzeźniający Andrzeja Dudę. „Sam bywałem na stadionie Cracovii, w punkcie najbardziej zapalnym. Byłem wtedy bardzo młody, bardzo, bardzo nastoletni. Byłem w miejscach, gdzie się bito, byłem wtedy bardzo młody. Dlatego musisz być twardy, twardy, twardy. Nie możesz pozwolić na to, że cię rozbije jakaś sytuacja, acha" – rapowała wykonawczyni. W jednym z lipcowych wydań Katarzyna Kasia przedstawiła „teorię na temat Agaty Kornhauser-Dudy". „Jest jednak wielką inspiracją dla pana prezydenta Andrzeja Dudy, ponieważ on cytaty z jej milczenia często wplata w swoje wypowiedzi" – stwierdziła. „On ciszą oddaje głos żonie" – dodał Markowski. Gospodarze „Kwiatków…" upodobali sobie też kpiny z nowego prezydenta. Latem Kasia wskazała, że będąc na wakacjach, zauważyła „trudne do przegapienia" podobieństwo między Karolem Nawrockim a maskotką Labubu, którą można kupić na straganach. „Wykonałam zestawienie, niech państwo zobaczą, że podobieństwo jest" – żartowała, a na ekranie pokazano zdjęcie prezydenta i maskotki. „Identyczni. To są bracia bliźniacy" – dopowiedział Markowski.

W grudniu przewodniczący partii Zieloni Michał Suchora wręczył Markowskiemu i Ćwiklakowi „kalendarz adwentowy". „Wręczę panom prezent, bo my już niedługo zaczynamy adwent, a adwent to jest czas radosnego oczekiwania. Przyniosłem kalendarz adwentowy. To jest radosne oczekiwanie wielu Polek i Polaków, którzy oczekują na, wreszcie na sprawiedliwość. Na to, żeby politycy i polityczki prawicy wreszcie odpowiedzieli za swoje bezeceństwa […]. Można np. wziąć pisak i nie wiem, np. polityków, którzy już mają akty oskarżenia, sobie zaznaczyć na niebiesko, a takich, którzy np. ukrywają się na Węgrzech, oznaczyć na czerwono. Mam nadzieję, że minister Żurek nie da nam długo czekać i wszyscy łącznie z tą gwiazdeczką na szczycie choinki – Zbigniewem Z. – za kratki trafią" – stwierdził. „Matko boska, co za złośliwość" – odparł z trudną do ukrycia satysfakcją Markowski.

Jak wynika z danych Nielsena, od początku roku program TVP Info „Kwiatki polskie" ogląda 160 tys. widzów. To o ponad 30 tys. mniej niż w analogicznym okresie ubiegłego roku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 430f3f0d50



FOT. NETFLIX

Tylko w Ameryce



Piotr Gociek

Historia Hulka Hogana to pasjonujące dzieje Ameryki i jej masowej kultury ostatniego półwiecza

Dla Polaków nie jest to oczywiste, ale Hulk Hogan był jednym z symboli Ameryki Ronalda Reagana i lat 80. Tych bohaterów było zresztą wielu, od Arnolda Schwarzeneggera po Sylvestra Stallone'a czy nawet – schodząc w dół piramidy sławy – Chucka Norrisa.

Sława Hogana nie docierała do nas, bo żyliśmy za żelazną kurtyną. A nawet gdy ktoś widział zdjęcie czy (potem już dzięki kasetom VHS) klip z łysawym blondwłosym olbrzymem, to i tak przekonany był, że ogląda jakiś cyrk. Wrestling? A cóż to, u diabła, jest ten wrestling? Minąć musiało jeszcze wiele lat, nim reżyser Darren Aronofsky uczłowieczył postać wrestlera w filmie „Zapaśnik" (2008), gdzie dał mu twarz Mickeya Rourke'a.

Tymczasem Hulk Hogan u szczytu sławy ogłosił nawet, że kandyduje na prezydenta USA. Po paru miesiącach się wycofał. Dlaczego? „Bo wystraszyłem się, że wygram!" – odpowiada po latach w czteroczęściowym dokumencie Netflixa „Hulk Hogan: Amerykanin z krwi i kości" („Hulk Hogan: Real American"). Gabinet prezydenta raczej nie, ale powiedzmy, fotel w Izbie Reprezentantów albo i gubernatora stanowego pewnie były w zasięgu Hogana. Skoro Kalifornią mógł rządzić Arnold Schwarzenegger…

Dlaczego zatem olbrzym z tlenionym wąsem zrezygnował z politycznej kariery? Będę się upierał, że miał niewłaściwych znajomych. Schwarzenegger wżenił się we wpływowy ród z elity Partii Demokratycznej. Hogan był kumplem Donalda Trumpa w czasach, gdy jeszcze ten ostatni o polityce nie marzył. Arnold prócz sławy i pieniędzy pragnął prestiżu, no i faktycznie coś tam o polityce wiedział. Hulkowi wystarczyły sława i pieniądze, a wszystko inne traktował jako rozbudowany publicity stunt. Donald Trump zresztą występuje w dokumencie o Hoganie. „To mój przyjaciel, więc kiedy mnie poprosił, pomyślałem: a czemu nie!" – wyjaśnia urzędujący prezydent, którego wypowiedzi nagrywane zresztą są w Białym Domu.

KRAINA IMIGRANTÓW

Historia Hulka Hogana to opowieść o współczesnej Ameryce i o Ameryce mitycznej zarazem. Po kolei: oto kraina imigrantów. Tak, zgadza się. Hulk Hogan naprawdę nazywał się Terry Gene Bollea, urodził się w rodzinie włoskich imigrantów jako syn budowlanego majstra i nauczycielki tańca. Artystyczny pseudonim „Hulk Hogan" dostał od innego imigranta w trzecim pokoleniu, Vince'a McMahona, czyli amerykańskiego Irlandczyka. Jakże często przedstawiciele pogardzanych przez WASP-ów mniejszości wybijali się w Ameryce dzięki karierze w sztukach jarmarcznych czy to wrestlingu, czy cyrku, czy kinie, czy kabarecie: Włosi, Irlandczycy, a w tych ostatnich przede wszystkim Żydzi.

Bollea vel Hogan za młodu jest trochę zabawnym przerośniętym grubaskiem, który miał pewnie największe szanse na to, by skończyć tak jak jego starszy brat Allan, który nie dożył nawet czterdziestki, bo najpierw skumał się z gangiem motocyklowym, a potem przedawkował

eprasa.pl 430f3f0d50

narkotyki. Są powody, że mogło to być także maksimum ekscytującego życia, na jakie mógł liczyć i Terry: nieudany zawodowy sportowiec, kiepski basista, mało atrakcyjny chłopak z prowincji.

Łut szczęścia oraz wielki upór sprawiły jednak, że stało się inaczej. Terry trenuje, nabiera muskulatury, ale zamiast ku pokazom kulturystycznym ciągnie go ku wrestlingowi, tej charakterystycznej dla Ameryki miksturze sportu i kabaretu. Jako sport jest to działalność wątpliwa, bo nie ma tu jakichś ustalonych reguł, walki są ustawiane, choreografia wcześniej opracowywana, więc bardziej pasowałoby słowo „spektakl". Jako widowisko wrestling rozwijać się zaczął tak naprawdę dopiero wtedy, gdy rodzina McMahonów wzięła w swoje ręce sprawy promocyjne i wyprowadziła zabawę z prowincjonalnych salek do wielkich hal i na stadiony.

Walny udział w przemianie miał zarówno Hulk Hogan, jak i Hollywood. Zacznijmy od Hollywood: niespodziewanie w 1982 r. mało znany szerokiej publiczności Hogan występuje u boku Sylvestra Stallone'a w filmie „Rocky III". Gra wrestlera o pseudonimie Thunderlips. No i dzieje się: piorun uderza! Film okazuje się jednym z największych hitów roku w Ameryce i na całym świecie (drugie miejsce w światowym box office). I nagle wszyscy znają pyskatego wielkoluda, którego znakiem rozpoznawczym jest ostra gadka. Gambit popłaca – Hogan skłócił się podczas produkcji z McMahonem, który zakazywał mu udziału w filmie, bo kolidowało to z zaplanowanym wcześniej występem. A teraz triumfował, bo w ciągu kilku dni stał się światową gwiazdą i wszyscy nagle chcieli robić z nim interesy.

Szczegóły kariery McMahona pominę, zobaczycie je w serialu o wrestlingu „Mr. McMahon" (Netflix 2024). Nie zamierzam też szczegółowo streszczać serialu „Hulk Hogan: Amerykanin z krwi i kości", zapraszam do oglądania. Warto natomiast wskazać, dlaczego ta produkcja tak trafnie pokazuje Amerykę i to, co się w niej wydarzyło w ostatnim półwieczu.

Ameryka jako szansa – tak, historia Hulka Hogana jest kolejną opowieścią „od pucybuta do milionera". Człowiek znikąd, człowiek bez jakichś szczególnych umiejętności, obdarzony za to wielkim uporem może dokonać wielkich rzeczy – i będzie za to doceniany, będzie oklaskiwany.

Ameryka jako spektakl – nikogo nie oklaskuje się i nie ceni tak jak gwiazd wielkich spektakli: bokser, piosenkarka, aktor, wrestler. Nigdzie szczyty, na które może wynieść cię dobry spektakl, nie są tak wysokie jak w Ameryce.

Ameryka jako fasada – nie może przydarzyć ci się nic gorszego od pomieszania ról: publicznej i prywatnej. Takie wzloty zwykle kończą się tragicznie. Jako gwiazda, jako osoba publiczna, jesteś własnością wszystkich i masz być taki, za jakiego cię owi nowi właściciele uważają. Prawda nie jest ciekawa. Wspomnijcie Marilyn Monroe skarżącą się, że nie potrafi już oddzielić siebie od tej, którą widzą kinomani na srebrnym ekranie. Hogan zarobił wielkie pieniądze na telewizyjnym reality show, w którym pokazywał życie swojej rodziny, ale ostatecznie, mimo początkowych sukcesów, zniszczyło to i jego rodzinę, i jego karierę.

SYMBOL POTĘGI

Ameryka jako duma – kiedy kariera Hulka Hogana nabrała przyspieszenia? Kiedy zaczął występować owinięty amerykańską flagą, mówić o dumie z bycia Amerykaninem, a jego głównym przeciwnikiem w ringu został osobnik o pseudonimie Żelazny Szejk – pękaty i wąsaty osobnik w arafatce, który symbolizował znienawidzony po oblężeniu ambasady w Teheranie rząd Iranu. To właśnie wtedy Hulk Hogan pozuje wraz z amerykańskimi pilotami myśliwców, podpisuje się na lotniczych bombach, staje się symbolem odradzającej się potęgi Ameryki.



„HULK HOGAN. AMERYKANIN Z KRWI I KOŚCI"
NETFLIX 2026

Ameryka wartości – można to nazwać hipokryzją, ale wciąż w USA jedną z najgorszych zbrodni dla osoby publicznej jest kłamstwo. Dlaczego bliski utraty urzędu był prezydent Bill Clinton? Nie dlatego, że zażywał przyjemności z Monicą Lewinsky, ale dlatego że powszechnie uznano, że kłamał na ten temat. Ameryka kreuje bohaterów, obala bohaterów, pozwala im znów się podnieść, nawet gdy nisko upadli. Co było największym ciosem dla kariery Hulka Hogana? Nie ujawnienie faktu, że brał sterydy, tylko chwila gdy publicznie skłamał, że nigdy tego nie robił. A wydarzyło się to przecież, gdy był idolem milionów amerykańskich dzieciaków, jeździł w ramach akcji charytatywnych po hospicjach i szpitalach dla dzieci. Był ich supermanem. Lepszym od tego z komiksu, bo prawdziwym. Spójrzcie zresztą na kadry z filmu „Rocky III" – Hogan jest o połowę większy od Stallone'a i wygląda trzy razy bardziej imponująco.

HISTORIA KULTURY MASOWEJ

Ameryka jako nieustanna zmiana – historia Hogana to także historia wrestlingu, a historia wrestlingu to także historia Ameryki i jej kultury masowej. W latach 70. Hulk Hogan walczy w niewielkich salkach dla niemal wyłącznie męskiej publiki. W latach 80. jest wielkim amerykańskim bohaterem uosabiającym na ringu dobro w zwycięskiej walce ze złem. W drugiej połowie lat 90. nie ma już popytu na herosów, więc Hogan zmienia sceniczny wizerunek i staje się „tym złym", który dba tylko o siebie. Publika szaleje. Pierwsza dekada XXI w. to ów nieszczęsny reality show – to już epoka Internetu, to już świat przemielony przez „Big Brothera", to wkrótce Ameryka Baracka Obamy, która zaczęła przepisywanie i cancelowanie własnej przeszłości i dawnych bohaterów.

W finale, po wszystkich tych przygodach, sędziwy olbrzym wybiera się na jeszcze jeden bój. Podczas pierwszej kampanii prezydenckiej Trumpa w roku 2016 Hogan milczał. W roku 2024, po zamachu na Trumpa, uznał, że jego obowiązkiem jest publiczne wsparcie przyjaciela. Co oczywiście wywołało burzę: dawni patriotycznie nastawieni fani chcieli nosić go na rękach, przeciwnicy zaś zaczęli głosić narrację, że „polityką unieważnia swój dawny dorobek" (skąd my znamy tę pokrętną argumentację). Obejrzyjcie uważnie dokumentalną opowieść o Hoganie – dowiecie się wielu rzeczy o tym, co napędza Amerykę. Jest to także pożegnanie bohatera, jego ostatni występ przed kamerą. Zmarł wkrótce po zakończeniu zdjęć, 24 lipca 2025 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 430f3f0d50



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

tv+

Wyspa przeklęta



★★★★★★

SEZON 1
„WDOWIA ZATOKA” („WIDOW'S BAY”)
USA 2026

wyst. Matthew Rhys, Kate O'Flynn, Stephen Root

Skoro już wszystkie historie zostały opowiedziane, to trzeba opowiadać je na nowo, tylko trochę inaczej. Serial „Wdowia zatoka” to zarówno pastisz motywów znanych z niezliczonych opowieści grozy, jak i hołd dla ich twórców. Pierwszy odcinek nowej produkcji Apple TV+ wprost odwołuje się do słynnej „Mgły” Johna Carpentera; w kolejnych mamy inne czytelne aluzje.

Oto mała wyspa u wybrzeży Nowej Anglii – dziura zabita dechami, jak w „Sztormie stulecia” Stephena Kinga. Wszystko się sypie: i domy, i drogi. A mogłoby być pięknie, jak w kurortach typu Martha's Vineyard. Miejscowy burmistrz organizuje więc wizytę reportera z prestiżowej gazety: niech przyjedzie i opisze, jakiejż to nieznanej perły turystyki nie doceniają Amerykanie. Reporter przyjeżdża, owszem, ale pierwsze, co słyszy, to opowieści w miejscowym muzeum na temat kanibalizmu.

Burmistrza gra Matthew Rhys i jest to chyba jego najlepsza rola od czasu, gdy błyszczał w serialu „Zawód: Amerykanin”. Jego urok everymana czyni go idealnym do tej roli (to zresztą czyniło go świetnym sowieckim szpiegiem w serialu) – ot, typowy średniak, ani zbyt przystojny, ani wybitnie mądry. Serialowy burmistrz Tom Loftis opętany jest jednak ideą, a idee, jak wiadomo, przechodzą ciężkie próby podczas zderzenia z rzeczywistością.

Rzeczywistość jest zaś taka, że od dnia przybycia na wyspę reportera dzieją się na niej rzeczy dziwne i niewytłumaczalne. Miejscowi opowiadają sobie niesamowite historie i mruczą coś o klątwie, no i przede wszystkim tu i ówdzie pada trup. Odpowiedź Loftisa jest jedna: wyparcie, odmowa przyjęcia do wiadomości, że może dziać się coś niepokojącego. Burmistrz nie tylko w to wierzy, lecz także wie, że musi w to wierzyć, inaczej zostanie z pustymi rękami naprzeciw tłumu wierzącego w zabobony i żyjącego w głębokim fatalizmie: nic się nigdy nie uda, na pewno nie tu, na pewno nie dziś ani jutro.

Oczywiście sprawia to, że jest postacią naprawdę zabawną, choć chwilami tragiczną i godną współczucia. Zatem ciągnie Matthew Rhys ten pastisz w górę, choć niektóre żarty są sitcomowe. Z drugiej strony my też jesteśmy pewni: tu naprawdę dzieją się złe rzeczy. Ale jakie i dlaczego? Trzeba poczekać do odcinka 10., który będzie ostatni. ©℗

GRA TYGODNIA: „DIABLO 4: LORD OF HATRED”

Jednym wystarczył powrót paladyna, by sięgnąć po dodatek, innych nie przekona już nic, aby dać tej grze kolejną szansę. Nie ma sensu przekonywanie przekonanych, faktem jest jednak, że od dawna prawidłowość tej serii jest jedna: z dodatku na dodatek „Diablo” staje się lepszą grą. Tak jest i tym razem. Finał fabuły może się podobać, podobnie jak nowy obszar do odkrycia, odświeżone drzewko umiejętności, wzbogacenie endgame'u i nowe-stare klasy postaci – obok wspomnianego paladyna dostajemy także czarnoksiężnika. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

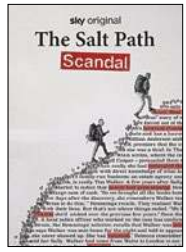
Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *RPG akcji, hack and slash*
- ***Platforma:*** *PS5, XSX, PC*
- ***Producent, wydawca:*** *Blizzard Entertainment*

eprasa.pl 430f3f0d50

Anatomia oszustwa

sky SHOWTIME



★★★☆☆☆
REŻ. JOSIE BESBRODE
„THE SALT PATH SCANDAL"
WIELKA BRYTANIA 2025

Najdłuższy i najbardziej malowniczy pieszy szlak Wielkiej Brytanii. Do przejścia 1014 km. Wyzwanie dla młodych i zdrowych, a cóż dopiero dla podupadłych na zdrowiu starszaków. Z początkiem roku wymądrzałem się na tych łamach o „Ścieżkach życia", ekranizacji sentymentalno-dramatycznych memuarów Raynor Winn. Historia pary, która serię życiowych katastrof odreagowuje, wędrując wzdłuż zachodniego wybrzeża UK, poruszyła wielu czytelników. Polecana jako proza podnosząca na duchu i „niepodważalnie szczera" sprzedała się w 2 mln egzemplarzy – wynik mówi sam za siebie.

Filmowcy jeszcze podkręcili emocje, eskapada spauperyzowanych małżonków nabrała epickiego rozmachu, stając się czymś w rodzaju świeckiej wersji Camino de Santiago. Nagrodą były sława, pieniądze i szacunek. Tego już nie zdzierżyli ludzie znający prawdę. Anonimowy donos, który trafił na biurko dziennikarki „Observera", okazał się kamykiem poruszającym lawinę. Żurnalistka temat dostała na tacy, lecz następne pół roku spędziła, konfrontując strona po stronie treść książki z rzeczywistością. Prawdziwą bombę zachowała na koniec.

Wiarygodność „The Salt Path" runęła niczym domek z kart. Raynor i Moth (a tak naprawdę Sally i Tim) objawili się światu jako zgrany duet złodziei i patologicznych kłamczuchów. Zgubiła ich chciwość. Gdyby wybrali konwencję fabularną, nie byłoby się do czego przyczepić. Wiedząc, że literatura faktu ma większe wzięcie niż staromodne powieści, Walkerowie poszli jednak na całość. Założenie, że publiczność potraktuje serio kompilację półprawd i zmyśleń, było trafne. Poza tym większość ludzi uwielbia szczęśliwe zakończenia. Gotowa jest uwierzyć w bajkę o cudownym uzdrowieniu, spowodowanym długimi spacerami tudzież kontemplacją piękna natury. Krótko mówiąc, chce być oszukiwana.

Demaskatorski reportaż sprawił, że „Słone ścieżki" wróciły (!) na listy bestsellerów. Wydawca nabrał wody w usta, a Sally i Tim wytrwale unikają spotkania z prawdą. Książka przetłumaczona na 25 języków (w tym na polski) nie może wszak być humbugiem. A film dokumentalny w starciu ze sprawnie zrealizowanym wyciskaczem łez jest z góry skazany na porażkę. ©℗

Wiesław Chełminiak

ZADZIWIAJĄCA SUBTELNOŚĆ

Na początku XX w. Maurice Ravel popełnił utwór fortepianowy „Zwierciadła". Jedną z części zadedykował malarzowi – impresjoniście. Film Christiana Petzolda też jest impresjonistyczny: królują w nim subiektywne odczucia, ulotne nastroje i jasne barwy. Główna bohaterka to – dla odmiany – postać na wskroś współczesna. Notorycznie rozkojarzona, nie wie, czego chce od życia. Wypadek samochodowy daje Laurze, początkującej pianistce z Berlina, okazję do resetu. Zamieszka na wsi, w domu kobiety, którą uzna za siostrzaną duszę. Ciąg dalszy można przewidzieć, nawet będąc na bakier z historią sztuki. Film zadziwia subtelnością, o jaką zachodnich sąsiadów raczej nie podejrzewaliśmy. Efekt byłby jeszcze lepszy, gdyby Petzold obsadził w kluczowej roli aktorkę młodszą od swej muzy. ©℗



KINO

★★★★☆☆
REŻ. CHRISTIAN PETZOLD
„MIROIRS III. BARKA NA OCEANIE"
NIEMCY 2025

wyst. Paula Beer, Barbara Auer, Matthias Brandt



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Dwanaście pieśni

GDZIE? ***Muzeum Pana Tadeusza we Wrocławiu***
KIEDY? ***do 31 maja***

Więc skończyłem wczora właśnie. Pieśni ogromnych dwanaście!" – tymi słowami w liście do swojego przyjaciela Edwarda Odyńca obwieścił Adam Mickiewicz ukończenie „Pana Tadeusza". Do końca maja pierwsze piętro stałej wystawy w Muzeum Pana Tadeusza zajmuje wystawa czasowa „Zanim »Pan Tadeusz« stał się epopeją", która pozwala poznać proces, który doprowadził do powstania kanonicznego utworu literatury polskiej.

Skonstruowana jest wokół oryginalnego ossolińskiego rękopisu „Pana Tadeusza", ale prezentuje wiele innych obiektów, w tym rzadko prezentowane publiczności. Po raz pierwszy publicznie zaprezentowana zostanie, odnaleziona zaledwie kilka lat temu we lwowskim archiwum, karta z ostateczną, zapisaną ręką wieszcza wersją „Inwokacji". Z Zamku Królewskiego w Warszawie wypożyczono listy Mickiewicza do Odyńca, ściągnięto do Wrocławia także rozproszone na co dzień po świecie manuskrypty oraz osobiste przedmioty Adama Mickiewicza z warszawskiego Muzeum Literatury. A oś narracyjną wystawy stanowią cytaty ze wspomnień przyjaciela poety Józefa Bohdana Zaleskiego. ©℗



FOT. ANDRZEJ NIEDZWIECKI/MUZEUM PANA TADEUSZA

eprasa.pl 430f3f0d50



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Nie zabijaj!

Padają w tej książce słowa ciężkie jak kamienie: „Po kurwę nędzę zabiłem wszystkich tych ludzi, te staruszki, te dziewczynki? Dla tych piżmaków łysych, którzy myślą, że są patriotami, bo szczują po swojej ojczystej ziemi, szukając zdrajców wokół siebie? Dla tych małpiszonów, które przez trzydzieści lat nie naprawiły wind, odmalowały tylko kilka domów, zaczęły się śmiać, rozkoszować, zastanawiać, kiedy wejdziemy do Europy, żebyśmy wreszcie mogli żyć jak ludzie? I teraz ja, no proszę, zbrodniarz wojenny, zabiłem tamtych ludzi, a ci w tej samej sprawie stworzyli mafijne państewko, gdzie jest dziesięciu bogaczy, a reszta to niewolnicy patrioci z krzyżami na lusterkach wstecznych i półksiężycami nalepionymi na tablicach samochodów”.

Autor tego cytatu z książki „To za dużo dla mnie”, Darko Cvijetić, nazywający siebie pisarzem postjugosławiańskim, przyszedł na świat w Prijedorze, a więc w Republice Serbskiej funkcjonującej w ramach Bośni i Hercegowiny, na tamtejszym pograniczu. Ojciec jego był Serbem, matka – Chorwatką z żydowskimi korzeniami. W rzeczywistości, w której żyje, oprawcy zamieszkują te same bloki co ofiary, sąsiadują ze sobą o ścianę. Tak też działo się w nagrodzonej w zeszłym roku Angelusem powieści „Winda Schindlera”. Ale w gruncie rzeczy ma to wszystko drugorzędne znaczenie, gdyż jedni i drudzy identycznie odpowiadają na fundamentalne pytanie, będące tytułem innej powieści Cvijeticia: „Czemu na podłodze śpisz?”. Bo cóż z tego, że wojna się skończyła, skoro po niej nie ma już żadnego „potem”. Tak że naprawdę wojna wciąż trwa



FOT. DRAGAN MUJAN

dopóty, dopóki nosimy ją w sobie, a nieść już będziemy ją zawsze.

W „To za dużo dla mnie” roi się od odniesień literackich, począwszy od nazwiska bohatera książki, zbrodniarza wojennego powracającego do rodzinnego kraju po odbyciu kary 20-letniego więzienia. Witany jest jak bohater i tak też wygląda ten „Powrót Filipa Latinovicia”, ale już nie Miroslava Krleży, a Darka Cvijeticia. Mamy także Raskolnikowa – i tego zapożyczonego od Dostojewskiego, i drugiego, już całkiem z Bośni i Hercegowiny. A w więzieniu norweskim Latinović siedzi razem z Andersem Breivikiem. Tu wszystko jest kreacją, ale i wszystko prawdą. Tak jak prawdziwa jest wojna, wszystko jedno, czy toczona na Bałkanach, Ukrainie czy jeszcze gdzie indziej.

Zbrodniarz skazany w Hadze przez Międzynarodowy Trybunał Karny dla Byłej Jugosławii odbył zasądzoną mu karę, ale w żaden sposób nie ulżył swemu sumieniu. Ani nie uzyskał przebaczenia, choćby matczynego: „No i włożyłam żałobę po tobie. Jakbyś dla mnie nie żył. A potem się przyzwyczaiłam. Już jej nie zdjęłam.

Bo jesteś martwy. Czy ty jesteś martwy. Skąd w tobie tyle śmierci, że rozsiewałeś ją wokół siebie na dzieci? Skąd jej w tobie tyle było?

My tyle śmierci nie mieliśmy, ani ojciec, ani ja. Gdzie ją znalazłeś i jak?”.

Na te pytania nie ma odpowiedzi, bo jeśli nawet takie się znajdą, to niczego one nie tłumaczą. Pozostaje problem winy i kary i tu trafiamy na takie słowa:

„Każdy powinien nieść kości tego, kogo zabił. Aż do swojej śmierci. To doskonała kara […]. Skoro mogłeś zabić – teraz nieś, niech wszyscy zobaczą, i obyś czym prędzej się zmęczył. I przekonał, jak to jest cudze kości dźwigać. Twoje też ciążą, starzejesz się, spowalniasz krok, skulony, ale wszystko ci jedno, musisz je nieść. Żadnej kostki nie możesz zgubić. Wszystko trzeba oddać, odebrałeś Bogu jego dzieło, teraz musisz je zwrócić, właśnie ty”.

A jak wyglądało życie Latnovicia po powrocie z więzienia, już na tzw. wolności, zanim strzeli sobie z Brauninga „prosto w czoło albo w skroń”? „Oczywiście, widuję innych zbrodniarzy wojennych. Ośmiu każdego dnia. Spotykamy się w knajpach, na zebraniach chórów kościelnych, na uroczystościach ku czci patrona rodziny, na rocznicach oddziału. Szacowni, spokojni ludzie, z nadciśnieniem i zaburzeniami snu. Porządni, pięknie mnie witają, pełni szacunku dla mordercy, niewiniątka.

[…] Ośmiu zbrodniarzy wojennych spotkać jednego dnia w jednym mieście.

To za dużo dla mnie”.

W takim świecie Puszkin staje się bardziej Putinem niż Puszkinem i może wydawać się, że Bóg opuścił człowieka. Trzeba się zgodzić z tym, co wielokrotnie powtarza pisarz: „Być Filipem Latinoviciem to coś naprawdę strasznego”. ©℗



★★★★★★

DARKO CVIJETIĆ „TO ZA DUŻO DLA MNIE” NOIR SUR BLANC, WARSZAWA 2026

eprasa.pl 430f3f0d50



POCZYTANKI

Upojenie

PIOTR GOCIEK

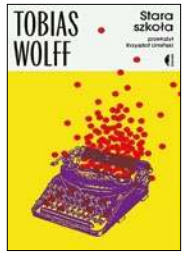
Wielu rzeczy dowiadujemy się o bohaterze „Starej szkoły", nie znamy jednak jego imienia. Zabieg ten podkreśla fakt, że mamy do czynienia z Nikim, który chciałby być Kimś. Różnie rozwijają się kariery: przez naśladownictwo, podglądanie, obracanie się w odpowiednich kręgach. Tu wszystkie te sposoby mieszają się ze sobą, zgodnie z tytułem trafiamy do świata minionego, do czasów, kiedy słowo pisane coś znaczyło. A w każdym razie tak wydawało się bohaterom powieści Tobiasa Wolffa.

Trafiamy bowiem do snobistycznej szkoły w Nowej Anglii, mamy rok 1960, w telewizji Nixon debatuje z Kennedym, nikt nie podejrzewa, że szykuje się jakaś wojna w Wietnamie, a stare dobre czasy mają twarz szacownych pisarzy odwiedzających szkołę. Raz jest to Robert Frost, innym razem Ayn Rand, największy entuzjazm wzbudza jednak zapowiedź wizyty Ernesta Hemingwaya. Nie chodzi jedynie o radość z okazji do wysłuchania wykładu noblisty.

Szkoła słynie z kształcenia ludzi pióra. Wizycie każdej pisarskiej osobistości towarzyszy konkurs. A to na napisanie wiersza, a to opowiadania czy eseju. Jurorem jest zaproszony gość, a jego decyzja wiele znaczy. Nagrodą dla autora opowiadania, które wyróżni Ernest Hemingway, jest np. stypendium na Uniwersytecie Columbia. Emocje zatem sięgają zenitu. Nie zdradzając wiele: będą też w tej walce brudne chwyty o dalekosiężnych skutkach.

Wolff sięga głęboko do własnych doświadczeń, uczył się w podobnej szkole, w podobnym okresie. I najprawdopodobniej – skoro został potem wziętym i nagradzanym pisarzem – zakochany był już wtedy w literaturze tak mocno, jak bohaterowie „Starej szkoły". W sercu jego powieści zwykle są dylematy moralne bohaterów; nie inaczej jest w tej książce. Styl jest elegancki, czasem nieco gawędziarski, jak u Salingera, czasem chłodny, jak w „Stonerze" Johna Williamsa.

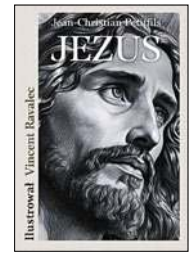
Jest to list z innej epoki, nie wiem, czy znajdzie dziś wielu adresatów. Wizualna kultura pierze nasze mózgi każdego dnia, tymczasem Wolff prawi o czasach, kiedy młodzi ludzie upajali się literaturą, a wraz z atmosferą szkoły przyswajali „system wartości, który nie cenił niczego, oprócz osobistych dokonań". Ale nie byle jakich dokonań – tylko takich, które pochwalą Frost albo Hemingway. I komu to przeszkadzało? ©℗



★★★★★★

TOBIAS WOLFF „STARA SZKOŁA" CZARNE 2026

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE



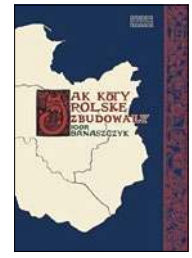
Najpierw była obszerna biografia Jezusa wydana we Francji w 2011 r. Potem autor przygotował wersję krótszą, ilustrowaną przez Vincenta Ravaleca, w formie „opowieści graficznej". I ta właśnie książka ukazuje się po polsku.

JEAN-CHRISTIAN PETITFILS „JEZUS" ZYSK I S-KA



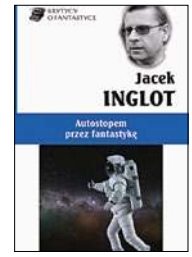
Od Piastów i wikingów po Paderewskiego, od średniowiecza, przez II RP, po skandale czasów PRL – charakterystyczna dla popularnych prac autora znanego z „Do Rzeczy" mikstura fascynujących historii i ciekawostek.

SŁAWOMIR KOPER „ASCEZA, ROZPUSTA, ZBRODNIA" FRONDA



Zbiór edukacyjnych opowieści z historii Polski z kotami może nie w roli głównej, ale czasem decydującej. Fantazja, humor, tradycja (jest opowieść o św. Stanisławie) – dobry pomysł na oderwanie dziecka od smartfona.

IGOR BANASZCZYK „JAK KOTY POLSKĘ ZBUDOWAŁY" CENTRYFUGA



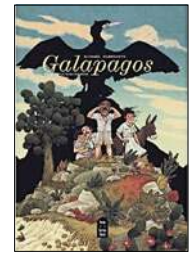
Rozszerzone wznowienie tomu esejów i recenzji o literaturze fantastycznej, ale są tu też ciekawe oceny tego, co dzieje się z cywilizacją Zachodu i jej kulturą. Inglot to jeden z lepszych polskich pisarzy SF. Krytyk równie dobry.

recenzuje Piotr Gociek

JACEK INGLOT „AUTOSTOPEM PRZEZ FANTASTYKĘ" STALKER BOOKS

KOMIKS TYGODNIA:
GROZA UTOPII

Widzieliśmy niedawno tę historię na ekranie – zakończona tragedią wyprawa kolonistów na Galapagos pod wodzą doktora Rittera była tematem filmu Rona Howarda „Eden". Za wersję komiksową odpowiada ceniony grafik belgijski, nominowany zresztą za swe dzieło do prestiżowej nagrody literackiej Boon.



MICHAEL OLBRECHTS „GALAPAGOS" DOM LITERATURY 2026

W każdej wersji jest to historia ponura i kompromitująca niemieckich utopistów.

Piotr Gociek

eprasa.pl 430f3f0d50



Czy Polska potrzebuje nowej konstytucji?

FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP



Łukasz Warzecha

Może zamiast kreślić śmiałe plany stworzenia nowej konstytucji, rozsądniej i bezpieczniej byłoby, gdyby prezydent Karol Nawrocki zaproponował jedynie modernizację istniejącej w takim zakresie, w jakim mogłyby się co do tego pogodzić przeciwne obozy polityczne?

Trzeba przyznać, że prezydent Nawrocki nie jest przesądny. Gdyby był, to planu stworzenia projektu nowej konstytucji zapewne nie ogłaszałby 3 maja na Placu Zamkowym. To samo zrobił dziewięć lat temu w tym samym miejscu jego poprzednik i skończyło się to dla niego dotkliwą porażką.

Andrzej Duda chciał, aby nowa konstytucja została przygotowana na 100. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości, czyli w 2018 r. Rok wcześniej zapowiedział, że zorganizuje referendum konsultacyjne, w którym zapyta Polaków, co chcieliby w niej znaleźć. Referendum miało być dwudniowe i odbyć się w dniach 10–11 listopada 2017 r. Pytania, które prezydent chciał w nim zadać, pojawiły się 20 lipca i mocno niektórych zaskoczyły. Było ich 10.

Były wśród nich dość oczywiste – np. to o wzmocnienie pozycji prezydenta albo o wybór systemu wyborczego (większościowy, proporcjonalny lub mieszany). Ale były też zadziwiające czy wręcz kuriozalne, takie jak wpisanie do konstytucji członkostwa w NATO i Unii Europejskiej albo zapisanie konkretnego wieku emerytalnego (60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn) czy nawet świadczenia „500+” (obecnie „800+”).

Jednak zaledwie kilka dni po przedstawieniu listy pytań zaczęła się największa awantura polityczna w całej prezydenturze Andrzeja Dudy, gdy ten postanowił zawetować dwie przygotowane przez PiS ustawy sądowe spośród trzech: o Sądzie Najwyższym i o Krajowej Radzie Sądownictwa. Od tamtego momentu stosunki między PiS a prezydentem Dudą radykalnie się ochłodziły. Tymczasem art. 125 konstytucji mówi, że jeśli referendum zarządza prezydent, to zgodę na nie musi wyrazić Senat bezwzględną większością głosów. Do głosowania doszło we wrześniu. Izba wyższa była w tamtym czasie zdominowana przez PiS – i Andrzej Duda w ramach odwetu za swoje weta dostał bolesnego prztyczka: wniosek o referendum został odrzucony. Historię nieudanego podejścia do zmiany konstytucji sprzed blisko dekady warto zachować w pamięci, zastanawiając się nad obecną inicjatywą.

WADA CZY ZALETA?

Występując na Placu Zamkowym, prezydent Nawrocki podkreślił, dlaczego uważa, że obecna ustawa zasadnicza powinna zostać zmieniona: przede wszystkim dlatego, że tworzy dualizm ośrodków władzy, rozdzielając ją pomiędzy rząd i prezydenta, mającego bardzo

eprasa.pl 430f3f0d50

mocny mandat demokratyczny. Zaznaczył także, że nie przesądza, czy zmiana powinna iść w kierunku systemu prezydenckiego czy kanclerskiego. Zapewne uważa, że w automatyczny sposób większość Polaków władzę „silną", której pragną, kojarzy z systemem prezydenckim, nie trzeba im zatem tego nawet sugerować. W kwestii podziału władzy Karol Nawrocki ma rację – faktycznie mówimy o dwóch ośrodkach o podobnej sile. W debatach pokutuje jednak chybiony mit, że prezydent RP nie ma prawie żadnych kompetencji poza negatywną: możliwością wetowania ustaw lub kierowania ich do Trybunału Konstytucyjnego w ramach kontroli prewencyjnej albo następczej. To nieprawda – kompetencje głowy państwa są znacznie większe. Prezydent powołuje sędziów – zarówno na pierwsze, jak i na późniejsze stanowiska sędziowskie, powołuje prezesa Naczelnego Sądu Administracyjnego, I prezesa Sądu Najwyższego, prezesa i wiceprezesa TK, prezesa Narodowego Banku Polskiego; nadaje określone w ustawie stopnie wojskowe oraz w służbach (generalskie i oficerskie); ratyfikuje umowy międzynarodowe i może je kierować do TK, a także powołuje swoich przedstawicieli do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji i Rady Polityki Pieniężnej. Ponadto dysponuje prawem łaski oraz nadaje najwyższe odznaczenia państwowe. Dodatkowo sprawuje ogólny nadzór nad polityką zagraniczną i jest najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych.

A to jedynie kompetencje konstytucyjne, są bowiem jeszcze wynikające z ustaw np. konieczność uzyskania zgody prezydenta na odwołanie prokuratora krajowego, wynikające z ustawy Prawo o prokuraturze. Prezydent RP ma zatem wielki wpływ na kształt państwa, tyle że nie tak jak rząd w polityce bieżącej, ale bardziej poprzez strategiczne kształtowanie instytucji przede wszystkim za sprawą nominacji na ważne stanowiska w tychże.

O ile napięcia nie są ogromne w czasie, gdy władzę sprawuje bliska prezydentowi formacja – choć i tutaj, jak pokazały prezydentury Andrzeja Dudy czy Aleksandra Kwaśniewskiego, możliwe są zadrażnienia – o tyle faktycznie mogą przyjąć postać drastyczną, gdy dochodzi do kohabitacji, czyli współistnienia w ramach dwóch ośrodków władzy przeciwnych sił politycznych. Taką sytuację mieliśmy w latach 2007–2010 za prezydentury Lecha Kaczyńskiego, przez ok. półtora roku prezydentury Andrzeja Dudy, począwszy od wyborów w październiku 2023 r., oraz od początku prezydentury Karola Nawrockiego.

Konstytucja ogranicza grono inicjatorów referendum do Sejmu i prezydenta. To jedna z pierwszych rzeczy do zmiany

Na pozór zatem postulat prezydenta wydaje się wręcz oczywisty: dualizm paraliżuje państwo, prowadzi do konfliktów, więc pozbądźmy się go i będziemy mieli lepiej działający aparat państwowy. To błędna opinia. Paradoksalnie to, co Karol Nawrocki prezentuje jako słabość polskiego ustroju, można uznać wręcz za jedną z jego największych zalet. I to – znów paradoks – właśnie w czasach skrajnej polaryzacji, które powodują zarazem, że napięcie pomiędzy ośrodkami władzy jest największe.

Wyobraźmy sobie, jak wyglądałaby Polska, gdyby nie było tego irytującego dla niektórych podziału kompetencji. PiS biorąc władzę w 2015 r., po raz pierwszy w pełni zastosował sposób myślenia, niegdyś wyrażony przez Stefana Niesiołowskiego, który wysyczał w stronę będących wtedy w opozycji PiS-owców: „Jak weźmiecie władzę, to sobie będziecie robić, co wam się podoba". I tak właśnie PiS przez dwie kadencje działał. Skrajność polaryzacji oznacza, że po przejęciu władzy przez jedną ze stron, bez hamującego wpływu drugiego ośrodka władzy, rządzący potraktowaliby przeciwników politycznych oraz ich wyborców jako nieistniejących, nie szanując kompletnie wyznawanych przez nich wartości czy wrażliwości. Gdyby nie jednak mitygujący, choć bardzo nieśmiały, wpływ prezydenta Dudy w latach 2015–2023, PiS posunąłby się w zawłaszczaniu państwa jeszcze dalej. Gdyby nie opór prezydenta Karola Nawrockiego po 2023 r., Polska zmieniłaby się w kopię Sánchezowskej Hiszpanii. Zatem to, co prezydent opisuje jako największą wadę polskiego ustroju, można uznać za jego największą siłę. Lepiej dobrze się zastanowić, zanim stwierdzimy, że naprawdę chcielibyśmy systemu, w którym jednym ruchem wyborczym jedna strona radykalnego sporu politycznego bierze absolutnie wszystko.

TO DO ZMIANY

Warto było się przysłuchać wystąpieniu prezydenta również po to, żeby odnotować, czego w nim zabrakło. A zabrakło w zasadzie wszystkiego, co poza kwestią dualizmu ośrodków władzy mogłoby stanowić dla obywateli zachętę do zainteresowania się propozycją zmiany ustawy zasadniczej. Można oczywiście powiedzieć, że było to jedynie zasygnalizowanie zamiaru i że dopiero powołana właśnie Rada Nowej Konstytucji ma ustalić detale. Jednak to tłumaczenie słabe. Skoro zadanie inicjuje prezydent, to on powinien właśnie w tym pierwszym, niejako programowym wystąpieniu zasygnalizować, z jakich powodów i po co jego zdaniem warto konstytucję zmieniać. Sam wątek konsolidacji władzy w jednym ośrodku to za mało; w dodatku można go odczytywać jako próbę umocnienia własnej pozycji prezydenta.

A przecież niemało jest spraw, których obecna konstytucja nie reguluje lub reguluje je źle. Ot, choćby bardzo restrykcyjnie potraktowana sprawa referendum, co poważnie ogranicza wpływ obywateli na państwo pomiędzy wyborami do parlamentu i przyczynia się do widzenia go jako obcego konstruktu. Artykuł 125 obecnej konstytucji absurdalnie wysoko stawia próg, od którego wynik referendum jest wiążący: musi to być frekwencja przynajmniej na poziomie połowy uprawnionych. Nie ma też mowy o tym, w jaki sposób ma się zamanifestować to, że wynik byłby wiążący. Skoro przedmiotem referendum nie musi być konkretny projekt ustawy, to oznacza to w praktyce, że parlament może całkowicie zlekceważyć odpowiedź udzieloną przez obywateli na ogólnikowe pytanie, nawet gdyby frekwencja wyniosła ponad 50 proc. – i nie będzie żadnych konsekwencji. Na dodatek konstytucja ogranicza grono inicjatorów referendum do Sejmu i prezydenta.

To jedna z pierwszych rzeczy do zmiany. Próg, od którego wynik referendum jest wiążący, powinien zostać radykalnie obniżony, np. do 30 proc. uprawnionych (tak jak to było w referendum konstytucyjnym

eprasa.pl 430f3f0d50

w 1997 r.) albo jeszcze lepiej do określonego odsetka osób, które wzięły udział w ostatnich wyborach parlamentarnych lub prezydenckich. Byłoby to rozwiązanie podobne do tego z ustawy o referendum lokalnym, gdy idzie o odwołanie organu gminy. Wiążący rezultat powinien być obowiązkowo realizowany przez parlament, bez możliwości uchylenia się od tego obowiązku. Wreszcie do grona inicjatorów referendum powinna być dodana grupa obywateli np. milion osób. Dotychczas bowiem wszystkie wnioski o referendum, kierowane nawet z ogromną liczbą podpisów do Sejmu, były po prostu odrzucane.

Inna sprawa, którą warto się zająć, to zmiana systemu wyborczego. Obecny proporcjonalny system wyborów do Sejmu sprawia, że partie, zwłaszcza te największe, stają się bezwolnymi maszynkami w rękach swoich liderów. To oni mogą upychać na listach swoich spadochroniarzy i sterować możliwością dostania się do Sejmu poprzez roszady na listach w okręgach. Na dodatek największym konkurentem jest kolega z listy, a nie rywal z innej partii.

Dobrze byłoby zastanowić się nad rezygnacją z konstytucyjnego umocowania niektórych instytucji. Po co w ustawie zasadniczej np. KRRiT? Z kolei w przypadku Trybunału Konstytucyjnego należałoby wymusić szerokie porozumienie w Sejmie, precyzując, że sędziowie wybierani są konkretną większością, np. dwóch trzecich.

Konstytucja z 1997 r. skasowała bardzo pożyteczny, istniejący wcześniej instrument w postaci ustaw konstytucyjnych, który dobrze byłoby przywrócić. To coś pośredniego pomiędzy ustawą zasadniczą a zwykłymi ustawami. Regulują one sprawy wyjątkowej wagi, ale takie, które nie powinny znajdować się w konstytucji – mogłoby to być np. istnienie KRRiT – a do ich przegłosowania potrzeba większości kwalifikowanej, np. trzech piątych ogólnej liczby posłów.

Rozczarowujące jest, że prezydent o żadnej z tych spraw nie wspomniał. Mówił natomiast o konstytucji nowej generacji. Prace ma prowadzić Rada Nowej Konstytucji. Jej podstawowy skład to Piotr Andrzejewski, Marek Jurek, prof. Zdzisław Krasnodębski, prof. Ryszard Legutko, prof. Anna Łabno, prof. Jacek Majchrowski, prof. Ryszard Piotrowski, Barbara Piwnik, Julia Przyłębska i Józef Zych. Ten ostatni zbliża się do dziewięćdziesiątki (88 lat). Średnia wieku wymienionych osób (rocznikowo) to ponad 74 lata. Czy naprawdę Karol Nawrocki nie widział w radzie miejsca dla ludzi w wieku 40–50 lat? Złośliwi nie bez powodu pytają, jak konstytucję „nowej generacji" mają opracować blisko 90-letni stary działacz PSL czy 67-letnia Julia Przyłębska, której jedynymi zawodowymi osiągnięciami były podporządkowanie TK Prawu i Sprawiedliwości i trwała na razie degradacja tego gremium? Nie znaczy to, że źle się stało, że w tym gronie znalazły się osoby naprawdę intelektualnie wybitne, jak prof. Legutko czy Marek Jurek. Niezrozumiałe jednak jest, dlaczego nie ma tam również w ogóle przedstawicieli młodszego pokolenia – osób choćby takich jak Paweł Musiałek, prezes Klubu Jagiellońskiego, czy dr Michał Sopiński, były rektor Akademii Wymiaru Sprawiedliwości.

Zamiast jasnego, możliwie precyzyjnego aktu moglibyśmy dostać przegadaną, długą konstytucję z mnóstwem szczegółowych regulacji dotyczących różnych grup

Można także zadać sobie pytanie, czy otwieranie debaty o nowej konstytucji, gdyby miała ona wymiar realnej zmiany, nie będzie oznaczać otwarcia puszki Pandory. Wróćmy do niedoszłego referendum konsultacyjnego, które chciał zorganizować prezydent Duda. Przecież wsadzanie do konstytucji sztywnych zapisów o uprawnieniach socjalnych, jak „500+" czy konkretny wiek emerytalny, byłoby świadectwem skrajnej nieodpowiedzialności. To kwestie, których nie powinny nawet regulować wspomniane wyżej ustawy konstytucyjne, ale jedynie ustawy zwykłe i te, które są uzależnione od bieżącej sytuacji demograficznej czy finansowej państwa. Nie ma jednak wątpliwości, że gdyby zmiana konstytucji stała się realna, projekt obsiedliby najróżniejsi lobbyści, począwszy od tych w ścisłym znaczeniu słowa, poprzez przedstawicieli związków zawodowych (szczególnie wyjątkowo wpływowej w PiS Solidarności), na reprezentantach różnych środowisk społecznych skończywszy. Każdy próbowałby do ustawy zasadniczej dorzucić swoje trzy grosze i trwale zagwarantować sobie przywileje albo korzyści. Ostatecznie zamiast jasnego, możliwie precyzyjnego aktu, regulującego jedynie najważniejsze w państwie kwestie i przede wszystkim gwarantującego wolności obywatelskie, moglibyśmy dostać przegadaną, długą konstytucję z mnóstwem szczegółowych regulacji dotyczących różnych grup, a więc potencjalnie coś znacznie gorszego niż konstytucja obecna.

PARA W GWIZDEK?

Tak się jednak najpewniej nie stanie, bo do zmiany ustawy zasadniczej potrzeba co najmniej dwóch trzecich głosów w Sejmie (czyli przy pełnym składzie izby minimum 307) w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów oraz bezwzględnej większości w Senacie w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby senatorów. Prezydent mówi o konstytucji na 2030 r., co oznacza, że już w Sejmie wybranym w przyszłorocznych wyborach musiałaby się znaleźć konstytucyjna większość. Żadne sondaże nie pokazują, że jeden blok polityczny mógłby taką uzyskać, a trudno sobie wyobrazić w obecnych warunkach i przy obecnych podziałach ponadpartyjne porozumienie w sprawie całkowicie nowej ustawy zasadniczej.

W takim razie może błędem jest kreślenie wielkich planów? Może rozsądniej i bezpieczniej jest zaproponować jedynie – jak również wspominał Karol Nawrocki – modernizację istniejącej konstytucji w takim zakresie, w którym mogłyby się co do tego pogodzić przeciwne obozy polityczne? Być może warto by zacząć choćby od spraw referendum. Dotyczy go tylko jeden artykuł, a trudno będzie przecież uzasadnić odrzucenie wyposażenia obywateli w większe kompetencje weryfikacji kierunku, w którym zmierza państwo.

Czasami lepiej myśleć kategoriami małych, ale realnych zmian niż planów wielkich, z których nic nie wyniknie. A gdyby nawet wynikło, to rezultat mógłby być dużo gorszy niż to, co mamy dzisiaj.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 430f3f0d50



Z ks. Davide'em Pagliaranim, przełożonym generalnym Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X
rozmawia Wojciech Golonka

Między Bractwem św. Piusa X a Watykanem

WOJCIECH GOLONKA: 2 lutego br. ogłoszono, że dojdzie do konsekracji biskupich w Bractwie św. Piusa X. Dlaczego ta zapowiedź wzbudziła tak liczne reakcje?

KS. DAVIDE PAGLIARANI: Dotykamy tu niezwykle wrażliwej w życiu Kościoła kwestii, a motywy tej decyzji są obiektywnie bardzo poważne: w grę wchodzi dobro dusz – sprawa najwyższej wagi. Dyskusja, którą wywołał ten komunikat, ma więc – logicznie rzecz ujmując – znaczny zasięg, co jest pozytywne, a opatrznościowo odpowiada bardzo aktualnej potrzebie. W ostatnich latach środowiska konserwatywne i tradycjonalistyczne sprawiały niekiedy wrażenie, że ograniczają się do kręgu komentatorów, którzy formułują analizy oraz wyrażają oczekiwania i frustracje, często uzasadnione, lecz które z trudem przekładają się na realistyczne i konsekwentne stanowiska. W tym kontekście decyzja o konsekracjach okazała się nie tyle kolejną deklaracją, ile znaczącym posunięciem, zmuszającym do uchwycenia rzeczywistej powagi obecnych problemów i do zajęcia konkretnego stanowiska. Nie ma dziś nic pilniejszego. Bractwo, choć tego nie szukało, stało się narzędziem zbawiennego wstrząsu. Opatrznościowo dano nam możliwość przyczynienia się do czegoś, czego Kościół potrzebuje dziś bardziej niż kiedykolwiek, dla swego dobra i odnowy.

Dziś stawką w grze nie są opinia, wrażliwość, preferencja czy niuanse w interpretacji tekstów – chodzi o wiarę i moralność, które katolik musi znać, wyznawać i praktykować, aby zbawić swą duszę i osiągnąć Niebo. Innymi słowy, wobec Wieczności i niebezpieczeństwa utracenia Nieba gadanie, rozprawy i dialog muszą ustąpić miejsca rzeczywistości.

Jakiej rzeczywistości?

Chodzi o konieczność ponownego afirmowania, głoszenia i wyznawania praw Chrystusa Króla nad duszami i nad narodami: trzeba mieć odwagę głosić, że Kościół katolicki jest jedyną arką zbawienia dla każdego człowieka, bez wyjątku; trzeba wierzyć w Odkupienie, w sakramenty, w zniszczenie grzechu; trzeba przypominać ludzkości, że Kościół został ustanowiony, aby wydrzeć dusze z błędu, ze świata, od szatana i od piekła. Trzeba przestać wmawiać tym, którzy żyją na co dzień w grzechu, którzy nawet chwalą się swym grzechem przeciw naturze, że Bóg zawsze i wszędzie wszystko przebacza bez prawdziwego nawrócenia, bez skruchy, bez pokuty, bez wymagania gruntownej zmiany; trzeba bez ogródek uznać, że udział papieża w rytuale ku czci Pachamamy w ogrodach Watykanu jest szaleństwem i skandalem nie do opisania; wreszcie i przede wszystkim trzeba przestać oszukiwać dusze i ludzkość, wmawiając im, że wszystkie religie czczą tego samego Boga pod różnymi imionami. Jednym słowem: trzeba przestać przepraszać świat za to, że próbowano go nawracać, schrystianizować i potępiano błędy na przestrzeni wieków. W tym tragicznym kontekście ktoś musi być w stanie powiedzieć: „Dosyć!" – nie tylko słowami, lecz także konkretnymi czynami.

Wśród krytyków waszej decyzji widnieją konserwatywni kardynałowie krytyczni wobec pontyfikatu papieża Franciszka, jak kard. Gerhard Müller czy kard. Robert Sarah. Jak ksiądz postrzega ich krytykę?

Tego pokroju duchownych dręczy głębszy, typowo współczesny niepokój: nie potrafią pogodzić wymogów wiary z wymogami prawa kanonicznego. Wiara bowiem żąda, aby czynić wszystko, co możliwe, dla jej wyznawania, zachowania i przekazywania. Jednocześnie jeśli interpretuje się prawo dosłownie, abstrahując od obecnych okoliczności, to konsekracja biskupów bez zgody papieża wydaje się niemożliwa. Ci kardynałowie, jak i inni, żyją w rodzaju permanentnej dychotomii, która grozi zniweczeniem ich dobrych intencji: zestawiają te dwa wymogi obok siebie na modłę kartezjańską i czują się jakby zmiażdżeni lub przytłoczeni pozorną sprzecznością.

Bractwo uważa natomiast, że te dwa postulaty powinny być uszeregowane hierarchicznie, z jednym podporządkowanym drugiemu. W Kościele bowiem czystość i wyznawanie wiary poprzedzają wszelkie inne względy, ponieważ wszystkie pozostałe elementy życia Kościoła zależą od samej wiary: Magisterium istnieje, aby nauczać wiary – nie po to, aby ją wymyślać; prawo istnieje,

eprasa.pl 430f3f0d50

aby ją chronić i zapewniać warunki konieczne do życia chrześcijańskiego, które winno z niej wypływać. To pierwszeństwo wynika z faktu, że sam Pan Jezus, wcielając się, objawia światu przede wszystkim wieczną Prawdę; a jako Prawodawca wskazuje w Ewangelii środki do poznania tej samej Prawdy i pozostania jej wiernym. Istnieje logiczne pierwszeństwo między pierwszym a drugim elementem. Prawo służy właśnie temu, a nie utrudnianiu lub potępianiu tych, którzy chcą pozostać katolikami, czyli tych, którzy chcą żyć z wiary.

Dlaczego to typowo współczesna postawa?

Człowiek współczesny ma trudności z harmonijnym uporządkowaniem różnych elementów rzeczywistości, w której żyje, oraz wiedzy, która je analizuje. Ma on skłonność do nominalistycznego klasyfikowania elementów otaczającej go rzeczywistości: nakłada na każdy z nich powierzchowne etykiety, nie starając się dotrzeć do sedna problemów, a zatem nie będąc w stanie uchwycić ich w całej złożoności, implikacjach i wzajemnych powiązaniach. Stąd w naszym przypadku zastosowanie prawa jest całkowicie oderwane od rzeczywistości, którą prawo to ma chronić. Właśnie z tej dysocjacji między prawem a rzeczywistością rodzą się ideologiczne podejścia, typowo współczesne, zarówno w dziedzinie religijnej, jak i cywilnej.



Konsekracje czterech biskupów dla Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X, Ecône, 30 czerwca 1988 r. FOT. FSSPX.NEWS

U tych, którzy cierpią na tę dychotomię i stają przed tym dylematem – jak to może mieć miejsce w środowiskach konserwatywnych – prowadzi ona do fatalizmu i zniechęcenia, gdyż człowiek czuje się uwięziony, sparaliżowany, niezdolny do działania w sposób adekwatny i zgodny z obiektywnymi wymogami Prawdy i Dobra. Ten, kto stale żyje w tej egzystencjalnej sprzeczności, ostatecznie staje się jej ofiarą i myli fatalizm z ufnością w Opatrzność Bożą. Z kolei u tych, którzy sprawują władzę, grozi to nieodwracalnym zaślepieniem i zatwardziałością serca – nieuniknionymi skutkami podejścia ideologicznego: „prawo jest prawem", niezależnie od okoliczności, konkretnych wymogów czy dobrych intencji. To właśnie z tego powodu Pan Jezus potępił u faryzeuszy tę postawę w bardzo mocnych słowach (J 9, 39–41).

Trzeba przestać oszukiwać dusze i ludzkość, wmawiając im, że wszystkie religie czczą tego samego Boga pod różnymi imionami. Trzeba przestać przepraszać świat za to, że próbowano go nawracać i schrystianizować. Ktoś musi być w stanie powiedzieć: „Dosyć!" – nie tylko słowami, lecz także konkretnymi czynami

Czy nauczanie Ewangelii naświetla ten dylemat?

Pan Jezus jest doskonałym przykładem posłuszeństwa prawu Mojżesza, niemniej czyni cuda nawet w dzień szabatu, wywołując legalistyczną, ślepą reakcję faryzeuszy. Jezus szanuje prawo, a zarazem uznaje istnienie wyższego dobra, które może dyspensować od przestrzegania litery prawa. Jego słowa są warte więcej niż tysiąc traktatów: „Któż z was, jeśli jego syn albo wół wpadnie do studni, nie wyciągnie go zaraz, nawet w dzień szabatu?" (Łk 14, 1–6). Te boskie słowa nie wymagają żadnego komentarza: my również musimy uczynić wszystko, co w naszej mocy, aby wydobyć dusze ze studni, nawet jeśli żyjemy w niekończącym się szabacie. Pan Jezus nie był ani legalistą, ani nominalistą, ani kartezjaninem: był Dobrym Pasterzem.

W ostatnich miesiącach pojawiły się głosy wspierające Bractwo, m.in. bp. Athanasiusa Schneidera.

Wielu księży wyraziło nam swą wdzięczność i zachęty, a także kilku biskupów. Chcę im wszystkim podziękować, szczególnie bp. Josephowi Strickandowi za jego mocne, jasne i odważne orędzie. I oczywiście bp. Schneiderowi: ten biskup wykazał się wielką odwagą i wolnością słowa, co świadczy, że mamy do czynienia z mężem Bożym, bezinteresownym, naprawdę troszczącym się o dobro dusz. Sądzę, że jego wsparcie i wszystko, co powiedział w ostatnich miesiącach, przejdzie do historii. To obiektywny znak nadziei: jego słowo pokazuje, że Opatrzność może w każdym czasie wzbudzić głosy, które mówią prawdę z odwagą i stanowczością, nie

eprasa.pl 430f3f0d50



bojąc się ewentualnych osobistych konsekwencji.

Czy wciąż ksiądz ma nadzieję na spotkanie z papieżem?

Oczywiście, choć jestem zaskoczony, że ze strony Ojca Świętego nie było dotychczas żadnej odpowiedzi ani osobistej reakcji. Zanim być może ogłosi się za schizmatyckie stowarzyszenie liczące ponad tysiąc członków i które stanowi punkt odniesienia dla setek tysięcy wiernych na całym świecie, byłoby pożądane, aby osobiście poznał tych, którzy mają być osądzeni. Sankcja, o której mowa, nie dotyczy tylko instytucji – która zresztą nie istnieje w oczach Stolicy Apostolskiej – lecz i osób, i to osób głęboko przywiązanych do papieża i do Kościoła. Przyznam, że z trudem rozumiem to milczenie, podczas gdy tak często przypomina się nam o konieczności słuchania krzyku ubogich, peryferii, a nawet Ziemi…

Za to miał ksiądz sposobność spotkać się z papieżem Franciszkiem.

Papież Franciszek potrafił na swój sposób uznać dobro, jakie Bractwo czyni duszom. Z tego dostrzeżenia zrodziła się wobec nas forma tolerancji, która zaskoczyła co bardziej powierzchownych obserwatorów, a niekiedy głęboko irytowała środowiska konserwatywne. Wiele decyzji Franciszka pogrążyło Kościół w smutku, lecz byłoby niesprawiedliwe oskarżanie go o bycie osobą sztywną i schematyczną w ocenie osób, z którymi miał styczność, lub w stosowaniu prawa. Jego postawa często to ilustrowała. Jest to zapewne szczegół, ale gdy poprosiłem o możliwość spotkania się z nim w Watykanie, w ciągu 24 godzin otrzymałem u niego audiencję i okazał mi szczególną życzliwość.

Czy Bractwo mogłoby skorzystać z głoszonej przez Watykan zasady otwartości dla złożonych przypadków?

Zastosowanie każdego prawa – dobrego czy złego – zależy w ostateczności od woli prawodawcy. To do niego należy określenie, w jaki sposób zamierza traktować Bractwo. Niemniej nie można pragnąć otwartości, jaką okazał Watykan, dla niej samej – ta otwartość usprawiedliwia nawet absurdy w postaci błogosławienia par żyjących w grzechu przeciw naturze lub uroczystego zobowiązania się do nienawracania wyznawców innych religii – a to tylko dwa przykłady. Mamy tu do czynienia z ideologiczną i totalitarną dyktaturą tolerancji.

Tradycja Kościoła, którą Bractwo stara się ucieleśniać, sama w sobie stanowi potępienie tych odchyleń, nie do zniesienia dla tych, którzy promują taką tolerancję. Sankcje – przeszłe czy przyszłe – skierowane przeciwko Bractwu nie tyle stygmatyzują jakiś akt nieposłuszeństwa, ile żywe potępienie, jakie stanowi Bractwo, obecnej linii kościelnej. Rola, jaką Opatrzność zdaje się przeznaczać Bractwu, jest rolą znaku sprzeciwu, co w praktyce oznacza cierń w stopie reformatorów. A szczególność tego ciernia polega na tym, że im bardziej stara się go usunąć, tym głębiej się on wbija: to nie samo Bractwo wywołuje ten skutek terapeutyczny, lecz dwa tysiące lat Tradycji, którą ono ucieleśnia i reprezentuje. Bractwo może być poddane sankcjom, Msza trydencka może być zakazana… ale nie da się wymazać tych dwóch tysięcy lat. Oto prawdziwa przyczyna, dla której, pomimo dawnych potępień, Bractwo nigdy nie przestało być głosem, który nie pozostawia Kościoła obojętnym; i oto dlaczego nie jest tak łatwo być tolerancyjnym wobec niego.

Słyszy się, że nadchodzące konsekracje biskupie spowodują schizmę. Jednak niektórzy w Kościele uważają, że Bractwo już jest schizmatyckie.

Widać tu rzeczywistą sprzeczność, ujawniającą swego rodzaju „płynną" jurysprudencję ze strony Watykanu. Papież Benedykt XVI zdjął ekskomuniki ciążące na jego biskupach, lecz nie cofnął deklaracji schizmy z 1988 r. Jednocześnie Bractwo nie zmieniło swego stanowiska i zachowało dokładnie to samo uzasadnienie konsekracji biskupich – przeszłych i przyszłych, uznając konsekwentnie za nieważne kary, które na nie spadły. Z tych powodów „rygorystyczni" kanoniści, jak kard. Raymond Burke, uważają je nadal za schizmatyckie. Przeciw tej interpretacji występował kard. Dario Hoyos, postać znacznie bardziej elastyczna, a przede wszystkim papież Franciszek, który nigdy nie traktował Bractwa jako schizmatyckiego i który wyraźnie nam powiedział, że nigdy go nie potępi. W rzeczywistości można również włączyć do tej listy kard. Victora Fernándeza i samego papieża Leona XIV: skoro obecnie starają się uniknąć schizmy, to oznacza to, że nie uważają nas już za schizmatyków. Tak samo jest z kardynałami i biskupami, którzy obecnie starają się odwieść nas od święceń biskupich, aby uniknąć schizmy. W takim razie nasuwają się jednak dwa pytania: po pierwsze, jeśli taka jest ich obawa, to nie sposób zrozumieć, kiedy, jak i dlaczego przestaliśmy być schizmatykami w ich oczach. Po drugie, jeśli sama Stolica Apostolska nie uważa w praktyce uroczystej deklaracji

W ostatnich latach uderzyła mnie gorzka i systematyczna reakcja pewnych środowisk konserwatywnych, nieco krótkowzrocznych, które bardzo personalnie atakowały postać papieża Franciszka, zamiast Soboru i ciągłości jego stosowania doktrynalnego aż do naszych dni

eprasa.pl 430f3f0d50

schizmy z 1988 r. za wiążącą, to jaką wartość mogłaby mieć nowa deklaracja schizmy, wypowiedziana z powodów i w okolicznościach całkowicie równoważnych?

Poza Bractwem wielu dziś uznaje kryzys w Kościele, zwłaszcza w dziedzinie wiary, zarzucając jednocześnie Bractwu samoizolację.

Wielu zgadza się, że istnieje kryzys w Kościele i że kryzys ten dotyka wiary, lecz nie można ograniczać się do opłakiwania skutków, nie sięgając do ich prawdziwych przyczyn: trzeba mieć odwagę pójść dalej i uznać, że kryzys ten ma swe źródło w oficjalnym nauczaniu, często dwuznacznym, a niekiedy wyraźnie zrywającym z Tradycją. W praktyce trzeba zdać sobie sprawę, że obecny kryzys ma tę specyfikę, iż dotyka hierarchii Kościoła w nauczaniu, którego ona udziela. W takiej sytuacji nie można nie mówić tego, co zachodzi: błędy muszą być jasno uznane i potępione przez tych, którzy są w stanie to uczynić. Nie wystarczy udawać, że się ich nie widzi, lub mieć nadzieję, że z czasem znikną. Treści takie jak „Amoris laetitia" czy „Fiducia supplicans" wywołały niemałe oburzenie; ale potem wszystko ucichło, przeszło się do innych spraw i prawie nikt o nich nie mówi. Lecz decyzje i błędy w nich zawarte pozostają w mocy.

Bractwo istnieje, aby o tym przypominać – wiernym i hierarchii. Uważa, że jest to jego obowiązek, nie w duchu wyzwania czy nieposłuszeństwa, lecz jako przysługa oddana Kościołowi. W tym sensie nie jest słuszne twierdzenie, że Bractwo się izoluje: mówi ono wobec całego Kościoła i zwraca się do wszystkich zagubionych katolików, bez wyjątku. Dla tego, kto podchodzi do tych kwestii bez ideologicznego uprzedzenia, narzuca się następująca konstatacja: rozłam nie pochodzi od Bractwa św. Piusa X, lecz z rażącej rozbieżności między oficjalnym nauczaniem a Tradycją i stałym Magisterium Kościoła.

Jak oficjalne nauczanie Kościoła mogłoby zawierać błędy?

Pytanie to jest niezwykle wrażliwe i złożone, i tylko Kościół będzie mógł kiedyś dostarczyć zadowalającego i ostatecznego wyjaśnienia tego, co się wydarzyło i co nadal się dzieje. To, co pewne, to to, że błąd nie może być nauczany przez Magisterium Kościoła we właściwym znaczeniu. Tymczasem fakty są oczywiste: niestety stajemy wobec nauczania niektórych bardzo poważnych błędów. Jednak czy chodzi o teksty Soboru, który chciał być niedogmatyczny, czy o zwykłe adhortacje duszpasterskie, homilie lub okolicznościowe deklaracje – a nawet o dialog ze światem, improwizowane przemówienia w samolocie czy rozmowy z dziennikarzami – gdy elementy niedogmatyczne są przedstawiane jako takowe, nie może to odpowiadać autentycznemu Magisterium. Dla przykładu: pewien szanowany prałat rzymski niedawno wyjaśnił mi, że Deklaracja z Abu Zabi nie powinna być uważana za należącą do Magisterium, ponieważ jest to zwykły tekst okolicznościowy. Sądzę, że pewnego dnia, z pewną elastycznością i ze zdrowym rozsądkiem, jakiś papież powie coś podobnego – i publicznie – na temat całej serii problematycznych tekstów, które nie mogą być uważane za magisterialne w sensie technicznym. Kuria Rzymska dysponuje niezrównanym doświadczeniem i subtelnością do ustalania koniecznych rozróżnień – brakuje jej jedynie woli, aby to uczynić. W każdym razie ostateczne wyjaśnienie należy do samego Kościoła, a nie do Bractwa. Nasza rola ogranicza się do wiernego odrzucania wszystkiego, co jest w sprzeczności z Tradycją i stałym Magisterium. Czyniąc tak, Bractwo pozostaje w doskonałej łączności ze wszystkimi papieżami w historii, bez wyjątku, w tym, co mają między sobą wspólnego: wiernie przyjętym, zachowanym i przekazywanym przez wieki depozytem wiary.

Dlaczego Bractwo zasadniczo mówi o błędach, a nie o nadużyciach, które są rzeczą wręcz pospolitą?

Oczywiście istnieją nadużycia, które wykraczają poza same reformy; Bractwo przyznaje to bez trudności. Lecz stała retoryka o „nadużyciach", szczególnie modna za pontyfikatu papieża Benedykta XVI, nie wystarcza do wyjaśnienia kryzysu. Tworzy ona wręcz systematyczny pretekst, który uniemożliwia dotarcie do sedna problemów. Reforma liturgiczna np. zawiera trudności, które z pewnością wynikają z samych jej zasad, niezależnie



Arcybiskup Marcel Lefebvre wraz z czterema nowo konsekrowanymi biskupami dla Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X, Ecône, 30 czerwca 1988 r. FOT. FSSPX.NEWS

eprasa.pl 430f3f0d50

Każda dusza dobrej woli winna rozważyć wobec Boga, na modlitwie, konkretne pytania, szukając nadprzyrodzonej odpowiedzi, dyktowanej nie przez pozytywne lub negatywne wrażenia ani przez ideologiczne uprzedzenie, lecz przez rozum oświecony wiarą: czy Msza Pawła VI może w pełni wyrażać i karmić wiarę katolicką?

od ewentualnych nadużyć. Modlitwy ekumeniczne i międzyreligijne, by podać inny przykład, są wyrazem błędu teologicznego, nawet jeśli stara się ona unikać wyraźnych aktów synkretyzmu, aby uniknąć tego, co mogłoby uchodzić za nadużycie.

Przede wszystkim retoryka o „nadużyciach liturgicznych" lub „nadużyciach w interpretacji tekstów" zmierza do obarczania winą osób uważanych za odpowiedzialne za te nadużycia lub niezdolnych do ich powstrzymania zamiast błędnych zasad, które leżą u źródeł obecnej katastrofy. Tymczasem to właśnie te zasady zasługują na potępienie. Przyznam, że w ostatnich latach uderzyła mnie gorzka i systematyczna reakcja



pewnych środowisk konserwatywnych, nieco krótkowzrocznych, które bardzo personalnie atakowały postać papieża Franciszka, zamiast Soboru i ciągłości jego stosowania doktrynalnego aż do naszych dni. Taka postawa sprawia, że przy każdej elekcji nowego papieża oczekuje się – przynajmniej przez kilka miesięcy – naprawy kryzysu, bez podawania w wątpliwość nowych zasad, jakby wszystko zależało od osobistej woli nowego papieża, mniej lub bardziej zdecydowanego potępiać lub powstrzymywać nadużycia.

Czy nie jest przesadą twierdzenie przez Bractwo, że autentyczne życie chrześcijańskie jest dziś niemożliwe w zwykłych parafiach? Czy stan „konieczności" odpowiadający temu stwierdzeniu jest tak oczywisty?

Bractwo jest w pełni świadome tragicznego i bolesnego charakteru tego stwierdzenia i jest to rozważanie niezwykle poważne, które wymaga dobrego zrozumienia. Przede wszystkim nie chodzi o kwestionowanie, że pomimo wszystkich problemów i braków, z jakimi borykają się zwykłe parafie, dobrzy księża i dobrzy wierni mogą się uświęcać i zbawić swą duszę. Pomimo zasadniczo niekorzystnych okoliczności łaska Boża może dotknąć dusze i takie przypadki nie są nam obce. Dla wielu zresztą rzeczywiste cierpienie z powodu ich położenia staje się prawdziwym źródłem uświęcenia, które często pcha ich ku poszukiwaniu Tradycji.

Niemniej to, co twierdzi Bractwo, musi być rozumiane na płaszczyźnie obiektywnej, a nie subiektywnej. Aby prawdziwie ocenić sytuację tych parafii, każda dusza dobrej woli winna rozważyć wobec Boga, na modlitwie, konkretne pytania, szukając nadprzyrodzonej odpowiedzi, dyktowanej nie przez pozytywne lub negatywne wrażenia ani przez ideologiczne uprzedzenie, lecz przez rozum oświecony wiarą: Czy Msza Pawła VI może w pełni wyrażać i karmić wiarę katolicką? Czy przekazuje w sposób wystarczający znaczenie sacrum, transcendencji, nadprzyrodzoności, boskości? Czy ten obrządek pozwala uchwycić prawdziwy sens katolickiego kapłaństwa? W zwykłej parafii lub centrum duszpasterskim, czyli tam, gdzie głosi się kazania zgodnie z obecnymi orientacjami doktrynalnymi, czy naucza się jeszcze wiary katolickiej w całej jej integralności? Czy katechizacja dzieci jest jeszcze katolicka i zdolna uformować ich na całe życie? Czy bardzo wrażliwe i aktualne kwestie moralności małżeńskiej lub dostępu do Eucharystii w związkach nieuregulowanych są jeszcze traktowane zgodnie z prawem Kościoła? Czy sakrament pokuty jest jeszcze udzielany z rzeczywistym znaczeniem Odkupienia i grzechu, jego ciężkości i konsekwencji? A bardziej ogólnie: Jakie owoce przyniosły powszechnie reformy w konkretnym życiu wiernych?

Na wszystkie te pytania i im podobne Bractwo odpowiada jasno i konsekwentnie; a następnie, wychodząc z tej analizy, ponieważ rzeczywistość się nam narzuca, dochodzi do stwierdzenia „stanu konieczności". Stwierdzenie Bractwa jest zatem wynikiem zdrowego realizmu, a nie ideologicznego a priori, a tragiczny charakter tej konstatacji jest po prostu miarą tragedii rzeczywistości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wersja wywiadu przygotowana specjalnie dla tygodnika „Do Rzeczy" we współpracy z portalem fsspx.news. Całość rozmowy jest dostępna pod linkiem: https://news.fsspx.pl/2026/04/kto-rozdziera-tunike-chrystusa/.



Ksiądz Davide Pagliarani *jest przełożonym generalnym Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X. Na kapłana został wyświęcony w roku 1996. Święceń udzielił mu poprzedni generalny przełożony Bractwa, bp Bernard Fellay. Prowadził apostolat w Rimini, a następnie w Singapurze. Był przełożonym włoskiego dystryktu Bractwa, potem zaś rektorem Seminarium pw. Najświętszej Maryi Panny Współodkupicielki w Moreno.*

eprasa.pl 430f3f0d50



Paweł Chmielewski



Sarah Mullally, która od marca 2026 r. piastuje urząd anglikańskiego arcybiskupa Canterbury, u papieża Leona XIV

FOT. ABACA/ABACA PRESS/FORUM

Jedność zamiast prawdy

Pod koniec kwietnia Ojca Świętego odwiedziła Sarah Mullally, która od marca 2026 r. piastuje urząd anglikańskiego arcybiskupa Canterbury – najważniejszą funkcję w Kościele Anglii. Wizyta pani Mullally w Rzymie jak w soczewce skupia problemy ze współczesnym ekumenizmem, pokazując też, jak papież Leon jest głęboko zakorzeniony w posoborowym modelu Kościoła

Tak zwany Kościół Anglii narodził się w XVI w., kiedy jedność z papieżem zerwał król angielski Henryk VIII. Choć początkowo rzecz miała charakter buntu politycznego, to szybko przerodziła się w religijną herezję. W Anglii zaczęły przyjmować się poglądy protestanckie, zwłaszcza te szerzone przez Jana Kalwina. Tak powstała nowa religia, anglikanizm – z perspektywy Rzymu po prostu fałszywa. Relacje pomiędzy Kościołem katolickim a protestanckim Kościołem Anglii były przez długie wieki bardzo trudne; katolików prześladowano i dyskryminowano. Odwilż przyszła dopiero w XIX w. Katolicy zyskali w Anglii więcej praw, pojawiały się coraz częstsze konwersje, czego przykładem jest przejście do Kościoła Johna Henry'ego Newmana, niedawno ogłoszonego doktorem Kościoła. Z drugiej strony w 1896 r. papież Leon XIII rozstrzygnął autorytatywnie długą debatę dotyczącą święceń kapłańskich w Kościele Anglii – na niekorzyść anglikanów. Uznał, że przerwano tam sukcesję apostolską, więc w ścisłym sensie anglikanie nie mają księży ani biskupów. Dopiero po drugiej wojnie światowej, na fali szerokiego ruchu ekumenicznego, kontakty katolicko-anglikańskie zaczęły się naprawdę intensyfikować. Punktem przełomowym stało się w 1966 r. spotkanie papieża Pawła VI z anglikańskim arcybiskupem Canterbury, Michaelem Ramseyem. Od tej pory takich spotkań było już całe multum.

Problem w tym, że od strony formalnej sytuacja nie stała się wcale lepsza. Wprost przeciwnie, w ostatnich dekadach anglikanie gwałtownie oddalili się od Kościoła katolickiego. Zaakceptowali antykoncepcję, złagodzili krytykę aborcji, pogodzili się z ideologią homoseksualną. Co więcej, wprowadzili też ordynację kobiet. Najpierw na diakonisy, później na księży, wreszcie na biskupów… Pod koniec 2025 r. Kościół Anglii podał, że arcybiskupem Canterbury zostanie Sarah Mullally, dotąd anglikańska biskup Londynu. Wywołało to furię licznych anglikanów z krajów Globalnego Południa, popychając ich aż do decyzji o zerwaniu więzi z Anglią. Londyn się jednak nie cofnął i w marcu Mullally objęła nowy urząd. To wszystko mogłoby doprowadzić Stolicę Apostolską do dość jednoznacznej konkluzji: z anglikanami nie da się porozumieć, bo zamiast zbliżenia z Kościołem wybierają zbliżenie z lewicową rewolucją. Watykan postanowił działać jednak zupełnie inaczej.

WYMIANA UPRZEJMOŚCI

Sarah Mullally odwiedziła Wieczne Miasto pod koniec kwietnia. Potraktowano ją ze wszelkimi honorami, wyraźnie sygnalizując jakiegoś rodzaju uznanie dla jej urzędu „arcybiskupiego”. Mullally zaprowadzono np. do Krypty Klementyńskiej w podziemiach Bazyliki św. Piotra. Tam udzieliła błogosławieństwa – tak

eprasa.pl 430f3f0d50

jakby naprawdę była biskupem. Obok niej stał ważny watykański urzędnik i hierarcha, abp Flavio Pace z Dykasterii do spraw Ekumenizmu. Pochylił głowę i zrobił znak krzyża, przyjmując błogosławieństwo od przywódczyni Kościoła Anglii. Później pani arcybiskup spotkała się z samym Ojcem Świętym. Wymienili wszystkie przepisowe uprzejmości, odbyli rozmowę – a później wspólnie się modlili. Mullally odwiedziła też katolicki Kościół św. Ignacego z Loyoli. Odprawiła w nim anglikańskie nabożeństwo. W obrzędzie uczestniczył kard. Luis Antonio Tagle – jeden z faworytów Franciszka, przymierzany zresztą na jego następcę. Purpurat pełni prestiżowy urząd proprefekta Dykasterii do spraw Ewangelizacji. Podczas anglikańskiej ceremonii wygłosił kazanie.

Ktoś powie: gesty, jakich wiele od Soboru Watykańskiego II. To prawda, ale trudno zaprzeczyć ich szczególnej wymowie w kontekście osoby nowej arcybiskup Canterbury. Wprawdzie spotkania papieży z protestanckimi liderami zawsze budziły wątpliwości i ostrą krytykę wielu katolików, ale w tym wypadku rzecz jest ewidentnie bardziej rażąca. W końcu Kościół katolicki kategorycznie odrzuca kapłaństwo kobiet. Wyrazy uznania i szacunku dla posługi Mullally tę kategoryczność podważają. Papież, który zdaje się traktować na równi ze sobą panią „przebraną" za biskupa…

DLACZEGO TAK JEST?

Dlaczego tak się dzieje? Co kieruje Stolicą Apostolską i kolejnymi papieżami? Dlaczego Watykan brnie w dialog ekumeniczny, który nie przynosi dosłownie żadnych rezultatów w kwestii faktycznej jedności pomiędzy Kościołem katolickim a protestantami? Sądzę, że odpowiedź kryje się tak naprawdę w nowym rozumieniu istoty Ewangelii.

Kościół katolicki traktował własne nauczanie jako całość. Pewne prawdy mogły być ważniejsze od innych, ale wymagano, by przyjmować je wszystkie. Człowiek musi zaakceptować, że Bóg wcielił się w Jezusie Chrystusie, umarł i zmartwychwstał dla naszego zbawienia. Musi jednak zarazem wierzyć, że Chrystus założył Kościół na św. Piotrze, który ma prawo w imieniu Boga ogłaszać nieomylne nauczanie moralne. Przyjęcie tylko pierwszego z tych elementów postrzegano jako niewystarczające: kto odrzuca kolejne, ten błądzi, a czyniąc to świadomie, wyklucza się z przestrzeni zbawienia, którą daje tylko Kościół. Wierzono, że tego wymaga sam Pan Bóg.

Dziś jest inaczej. Ewangelia została zredukowana do znacznie węższych treści. Dotyczy to przede wszystkim przykazania miłości bliźniego. Właśnie to przykazanie uznano za fundament, który daje zbawienie. Wszystko inne to dodatki: przydatne i potrzebne, ale bynajmniej niekonieczne. Nowe rozumienie Ewangelii przejawia się w różnym stopniu zależnie od kontekstu i konkretnej wypowiedzi biskupów czy papieży. Jest jednak stałym elementem wystąpień współczesnych hierarchów.

Po wyborze Mullally na urząd arcybiskupa Canterbury Leon XIV przesłał jej krótkie gratulacje, gdzie nazywał ją siostrą, wspominał o wspólnocie chrzcielnej, wzywał do pracy na rzecz dobra rodziny ludzkiej. Podczas spotkania w Rzymie mówił wprawdzie o trudnej drodze do jedności, ale deklarował, że trzeba razem „głosić Chrystusa". Tę myśl powtórzył aż dwukrotnie. W 2023 r. papież Franciszek pojechał do Afryki razem z poprzednikiem Sary Mullally, arcybiskupem Canterbury Justinem Welbym. Robili właśnie to, o czym pisał Leon: wspólnie głosili. Co to jednak tak właściwie znaczy? Kim jest Chrystus, którego mogą głosić wspólnie katolicy i anglikanie? Czy Chrystus akceptuje różnorodność doktrynalną i moralną? Czy Chrystusowi jest obojętny kształt kapłaństwa? Czy wystarcza Mu fakt udzielania chrztu? Taka wydaje się być optyka papieży. Inne rzeczy mogą być ważne, „ale"…

Analogiczną postawę Leon XIV przyjął jeszcze w dwóch innych kwestiach. W kwietniu został zapytany o swoją ocenę praktyki błogosławienia par jednopłciowych w Niemczech. Za Odrą udziela się bardzo uroczystych błogosławieństw, inaczej, niż przewidział to Franciszek w słynnej deklaracji „Fiducia supplicans". Leon zdystansował się od działań Niemców, jednocześnie jednak podkreślił, że są inne, ważniejsze tematy – takie jak sprawiedliwość, równość czy wolność ludzi. Innymi słowy, według papieża może i jest jakiś problem z niemieckim rozumieniem moralności seksualnej, ale tak naprawdę nie ma o czym mówić, bo to sprawa drugorzędna. Czy nie przypomina to postawy wobec protestanckiego Kościoła Anglii? Jedności nie ma, różnimy się, niemniej jednak są ważniejsze rzeczy, jak „wspólne głoszenie Chrystusa". Podobna nuta wybrzmiewała w stosunku Leona XIV do… muzułmanów. Kiedy papież odwiedził w 2025 r. Turcję i Liban, mówił pozytywnie o modlitwach, jakie wznoszą się do nieba z meczetów razem z modlitwami wznoszonymi w kościołach. Podczas odwiedzin wielkiego meczetu w Algierii w 2026 r. stwierdził z kolei, że ta islamska świątynia jest przestrzenią należącą do Boga.

NIEOFICJALNE CREDO

Te wypowiedzi oczywiście w ogóle nie zaskakują. To rzecz właściwa dla wszystkich papieży od czasów Soboru Watykańskiego II, nawet dla Benedykta XVI. Trzeba się zastanowić, jakie są tego konsekwencje. Otóż stawiam tezę, że ostatecznie prowadzi to wszystko do absolutyzacji charytatywnego wymiaru chrześcijaństwa. Mówiąc krótko, to miłość bliźniego staje się ostatecznym czy nawet jedynym kryterium oceny autentycznej pobożności innych. Nieważne, czy chodzi o anglikanów, luteranów, prawosławnych; żydów, muzułmanów, hinduistów – ich przekonania doktrynalne i moralne, sposób rozumienia Boga i świata, to wszystko schodzi na drugi plan, o ile tylko ludzie ci akcentują miłość bliźniego, wyrażaną w gotowości do posługi charytatywnej, dziś zresztą zwłaszcza na rzecz imigrantów. W ten sposób slogan typowy dla współczesnego nowego pogaństwa – „wystarczy być dobrym człowiekiem" – staje się myślą własną Kościoła, nieoficjalnym credo, które zasłania wszystko inne.

Jest prawdą, że miłosierdzie to kluczowy element przepowiadania Chrystusa, co dobitnie podkreśla przypowieść o dobrym Samarytaninie. Niemniej jednak konsekwentne redukowanie chrześcijaństwa do tego wymiaru, zwłaszcza podczas spotkań ekumenicznych i dialogowych, może budzić zrozumiałe wątpliwości. Czym będziemy różnić się od empatycznych ateistów, jeżeli skupimy się tylko na posłudze charytatywnej? Kościół domagał się zawsze całej prawdy. Trudno zrozumieć, dlaczego dzisiaj miałby z tego zrezygnować w imię czysto doczesnej jedności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu Pch24.pl.

eprasa.pl 430f3f0d50

Powiedz mi, co jesz



Dariusz J. Gwiazdowicz

Życie na każdym poziomie ewolucyjnego rozwoju potrzebuje do egzystencji energii. Dla jednych organizmów wystarczy energia słoneczna, a dla innych musi być ona dostarczona w postaci pożywienia. Człowiek, aby przeżyć, musi jeść, a to, co spożywa, bywa przedmiotem licznych dyskusji



FOT. ADOBE STOCK

W świecie przyrody są organizmy samożywne, które samodzielnie przeprowadzają biosyntezę złożonych związków organicznych w procesie fotosyntezy, np. rośliny. Natomiast w królestwie zwierząt, do którego należy także człowiek, nie ma takiej możliwości i wszystkie gatunki są cudzożywne, to znaczy, że zjadają one inne organizmy. Oczywiście jest duże zróżnicowanie i np. jedne odżywiają się tylko roślinami, drapieżniki zjadają mięso, a gatunki wszystkożerne (pantofagi) nie wykazują specjalizacji pokarmowej i odżywiają się zarówno pokarmem mięsnym, jak i roślinnym, i to żywym lub martwym.

Człowiek rozumny czyli Homo sapiens jest gatunkiem wszystkożernym, inaczej omnivora („omnis" – wszystko, „vorare" – pożerać). Wszystkożerność jest doskonałym przystosowaniem ewolucyjnym pozwalającym odżywiać się tym, co akurat jest dostępne. Jest to możliwe dzięki specyficznej budowie układu pokarmowego, który trawi każdy rodzaj zjedzonego pożywienia. W sytuacji, gdy żywności jest pod dostatkiem, a nawet jest jej nadmiar, wszystkożercy mają możliwość wyboru i mogą jeść to, na co mają ochotę. To właśnie ta możliwość wyboru jest przedmiotem dyskusji, w myśl zasady XIX-wiecznego francuskiego pisarza Jeana Anthelme'a Brillata-Savarina, który powiedział „pokaż mi, co jesz, a powiem ci, kim jesteś".

Wszyscy musimy jeść, aby przeżyć, ale skoro mamy możliwości wyboru, to możemy kształtować kryteria ułatwiające podejmowanie takiej decyzji. Dziś w krajach wysokorozwiniętych nie ma czynników ograniczających dostęp do pożywienia, bo w sklepie jest praktycznie wszystko. Możemy zatem komponować swoją dietę, uwzględniając m.in. możliwości finansowe, preferencje smakowe, względy zdrowotne, religijne czy ideologiczne. Ta możliwość wyboru jest podstawą dyskusji, czy nawet sporu, o to, co powinniśmy jeść, a czego należałoby unikać.

Zwolennicy diety wegańskiej (których według Insight Lab z 2022 r. jest ok. 3 proc. społeczeństwa) argumentują, że ich preferencje żywieniowe ograniczają ryzyko zmian miażdżycowych w naczyniach krwionośnych i rozwój choroby niedokrwiennej serca. Ponadto dieta roślinna zmniejsza otyłość i zachorowalność na cukrzycę typu II, obniża ryzyko hipercholesterolemii, a także redukuje ryzyko raka żołądka i jelita grubego, choroby uchyłkowej okrężnicy i kamicy nerkowej. Tymczasem ich oponenci przekonują, że dieta mięsna dostarcza do organizmu m.in. niezbędną witaminę B12, żelazo hemowe, kreatynę, a dieta wegańska prowadzi do niedoborów jodu. Ponadto przypominają, że kwasy omega-3 – eikozapentaenowy (EPA) oraz dokozaheksaenowy (DHA) – nie występują w diecie roślinnej. W konsekwencji ich zdaniem niedobory pokarmowe będące skutkiem diety roślinnej mogą prowadzić m.in. do niedorozwoju układu nerwowego, skutkującego pogorszeniem funkcji poznawczych i pamięci operacyjnej oraz spadkiem ilorazu inteligencji (IQ) nawet o 10–15 punktów, a także rozwojem chorób psychicznych.

Analizując tę dyskusję i przedstawiane w niej argumenty, można bardzo łatwo dojść do ogólnych konkluzji. Człowiek jest gatunkiem wszystkożernym, więc do prawidłowego rozwoju i funkcjonowania potrzebuje zróżnicowanej diety obejmującej zarówno składniki roślinne, jak i zwierzęce. Rzecz jednak w tym, aby dbać o „umiarkowanie w jedzeniu i piciu" czyli wystrzegać się jednego z siedmiu grzechów głównych, co zapewne wielu z nas pamięta z filmu pt. „Siedem" Davida Finchera.

IDEOLOGIA WKRACZA DO KUCHNI

Niestety, w ostatnich latach dyskusja pomiędzy „omniworianami" i weganami wykracza coraz częściej poza ramy merytorycznego sporu dotyczącego żywności i przybiera dość brutalny obraz walki pomiędzy „padlinożercami" i „trawożercami", jak siebie nawzajem nazywają. W analizach naukowych zwraca się uwagę, że weganizm nie jest wyłącznie ofertą dietetyczną, a postulaty wykluczenia z jadłospisu produktów pochodzenia zwierzęcego niosą za sobą przede wszystkim ogromny ciężar ideologiczny. Dieta wegańska ma być pierwszym krokiem do wprowadzenia nowego porządku świata, ochrony naszej planety, dbałości o to, by każde zwierzę miało prawo do życia. Jak wierzą weganie,

eprasa.pl 430f3f0d50

w ten sposób wejdziemy na wyższy poziom rozwoju cywilizacyjnego, w wyższe sfery wartości moralnych.

W jednej z kampanii medialnych aktywiści wegańscy zamieścili zdjęcie małej dziewczynki jedzącej mięso i opatrzyli je komentarzem „Dzieci poznają smak przemocy nie poprzez filmy lub gry komputerowe, lecz poprzez posiłki, które podają im rodzice". Oczywiście nie ma badań naukowych potwierdzających tezę, że ludzie jedzący mięso są bardziej agresywni czy bardziej skłonni do przemocy wobec innych. Taka kampania to ewidentna próba manipulacji opinią społeczną, niestety dosyć skuteczna, a ofiarami są właśnie dzieci. Wszyscy pamiętamy wstrząsające relacje z połowy grudnia 2024 r., gdy do szpitala w Zielonej Górze trafiła 3,5-letnia Helenka. Dziecko ważyło zaledwie 8 kg, choć prawidłowa waga dla dzieci w tym wieku wynosi ok. 12–18 kg. Lekarze określili stan pacjentki jako bardzo poważny, gdyż niewydolność wielonarządowa spowodowana nieodpowiednim odżywianiem zagrażała jej życiu. Wszystko dlatego, że dziewczynka była karmiona jedynie mlekiem matki i winogronami. W ocenie śledczych działanie rodziców nosiło znamiona przestępstwa znęcania się nad dziewczynką, dlatego usłyszeli oni zarzuty prokuratorskie. Z przykrością należy stwierdzić, że podobnych sytuacji na świecie było sporo. Na przykład 29 sierpnia 2022 r. sąd Stanu Floryda skazał matkę weganką Sheilę O'Leary na karę dożywotniego więzienia za doprowadzenie do skrajnego wyczerpania i śmierci z niedożywienia własnego syna. Wyniki badań naukowych dotyczących restrykcyjnej diety wegańskiej jednoznacznie udowadniają jej negatywny wpływ na rozwój płodu, szczególnie w trzecim trymestrze ciąży i podczas pierwszych dwóch lat życia dziecka. W tym krytycznym okresie intensywnie rozwija się mózg, dzieci poznają otoczenie, uczą się stawać, potem chodzić, a także mówić, intensywnie rosną i rozwijają się. Dieta roślinna jest dietą niedoborową, o czym wspominano powyżej, dlatego należy o tym pamiętać, przygotowując posiłek dla naszych dzieci.

RATOWANIE PLANETY I PRAWA ZWIERZĄT

A co w takim razie z ochroną planety? Przecież wycina się lasy tropikalne, by na tych terenach tworzyć pastwiska i hodować bydło, które generuje ogromną ilość gazów cieplarnianych – argumentują weganie. Otóż największy kompleks lasów tropikalnych znajduje się na terytorium Brazylii, która jest liderem w produkcji soi na świecie (ponad 160 mln ton rocznie). Soja, choć bywa w niektórych krajach główną paszą dla zwierząt, jest także podstawą wyżywienia u wegan (średnio 20 proc. w ich diecie), o czym warto przypominać. Prawdą jest, że chów zwierząt gospodarskich przyczynia się do emisji gazów cieplarnianych, a najbardziej w tym względzie jest uciążliwa hodowla bydła. Głównymi gazami pochodzącymi z chowu bydła są metan (44 proc.) oraz podtlenek azotu (54 proc.). Aby jednak zmniejszyć ilość metanu w hodowli zwierząt, realizowane są projekty badawcze, w których testuje się różne pasze dla krów. Ponadto uczeni poznali ostatnio mikroorganizmy jelitowe powiązane z mniejszymi emisjami metanu, można zatem powiedzieć, że przyszłość może nam przynieść rozwiązanie istniejących problemów. Warto w tym miejscu przywołać także inne ciekawe wyniki badań, które przedstawili niedawno naukowcy z uniwersytetu w Auckland w Nowej Zelandii, którzy badali objętość i skład gazów jelitowych u ludzi w zależności od spożywanej diety. Zaobserwowali oni różnice w zależności od ilości błonnika w układzie pokarmowym, a co za tym idzie, że weganie wytwarzają zdecydowanie więcej gazów cieplarnianych (np. dwutlenek węgla, wodór i metan) niż osoby zjadające mięso.

WEGANIZM WŚRÓD PSÓW I KOTÓW

W ostatnich latach ideologia wegańska nie tylko jest kierowana w stronę osób jedzących mięso, lecz także jej ofiarami są zwierzęta towarzyszące człowiekowi, jak psy i koty. Analizując literaturę z tego zakresu, można zauważyć, że w Wielkiej Brytanii 30 proc., a w Stanach Zjednoczonych 25 proc. wegan przenosi swoje upodobania pokarmowe na zwierzęta, którymi się opiekują. Jaka jest skala tego zjawiska w Polsce, trudno jednoznacznie powiedzieć, ale obserwując portale internetowe osób niejedzących mięsa, można uznać, że rozmiar tego problemu jest porównywalny. Dziko żyjące drapieżniki instynktownie komponują swoją dietę, w której skład wchodzi głównie mięso, a w przypadku niektórych gatunków także resztki roślinne znajdujące się w przewodach pokarmowych ich ofiar. Nie zmienia to jednak faktu, że anatomiczna budowa przewodu pokarmowego drapieżników oraz ich fizjologia są przystosowane do trawienia zasobnego w składniki odżywcze pokarmu pochodzenia zwierzęcego. Tymczasem zwierzęta towarzyszące człowiekowi jak psy i koty są całkowicie zależne od tego, co im zaserwują ich właściciele. Jeśli będzie to tylko karma bezmięsna, to pojawią się większe problemy zdrowotne niż te spotykane u człowieka. Psy i koty to typowe drapieżniki, a więc dieta wegańska stwarza u nich zagrożenie niedoborów, m.in. witaminy B12, Fe^{2+}, jodu, kreatyny, wielonienasyconych kwasów tłuszczowych omega-3, Zn^{2+}, witaminy D. Z kolei deficyt składników odżywczych ma wpływ na prawidłowy rozwój i funkcjonowanie układu nerwowego, narządów zmysłów, układu krążenia, układu krwiotwórczego, układu kostnego, odpowiedzi immunologicznej, reakcji na stan zapalny, a także zdrowia psychicznego. Dlatego prof. Jarosław Całka z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego z Olsztyna opisał trudną do zdiagnozowania jednostkę chorobową psów i kotów, nazywając ją wegepatią pokarmową. Naukowiec uzasadnia, że brak mięsa w diecie może prowadzić do wycieńczenia zwierzęcia, a nawet jego śmierci.

Ideologia wegańska opiera się na określonym systemie wartości, który nie zawsze jest poparty wiedzą naukową. Wybiórcze przekazywanie informacji, manipulowanie argumentami naukowymi, agresywna narracja, emocjonalny przekaz mający wzbudzić empatię do zwierząt sprawiają, że ofiarą takiej ideologii może być każdy z nas, a także będące pod naszą opieką zwierzęta towarzyszące. Dlatego należy przy każdej okazji przypominać, że dbanie o życie i zdrowie człowieka oraz odpowiedzialne opiekowanie się zwierzętami, m.in. poprzez podawanie im właściwego pożywienia, ma głębokie uzasadnienie prawne i moralne. To fundament naszego funkcjonowania, którego nie mogą podważyć krzyki aktywistów pozornie broniących praw zwierząt.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Prof. dr hab. Dariusz J. Gwiazdowicz jest wykładowcą Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu oraz przewodniczącym Komisji Naukowej Naczelnej Rady Łowieckiej.

eprasa.pl 430f3f0d50



Premier Wincenty Witos (na najniższym stopniu drugi z prawej) i ministrowie jego gabinetu, Warszawa, 11 maja 2026 r. FOT. NAC

Piłsudski kontra Witos



Lech Mażewski

Wincenty Witos zdawał sobie sprawę z tego, że ustrój odrodzonej Polski wymaga reformy. Uważał, że ludziom potrzeba „kagańca i moralnego bata". Chciał ukrócić sejmokrację. Używał retoryki, która niewiele się różniła od słów, których używał Józef Piłsudski po maju 1926 r.

Przeniesienie systemu parlamentarnego do powstałych po pierwszej wojnie światowej państw europejskich, w których nie było odpowiednich warunków społeczno-gospodarczych ani tradycji politycznych, pogłębiło tylko kryzys parlamentaryzmu ujawniony pod koniec XIX w. W Polsce spór w sprawie sposobu wyjścia z kryzysu parlamentaryzmu symbolizowało starcie między trzykrotnym premierem Wincentym Witosem a marszałkiem Józefem Piłsudskim, rozstrzygnięte w wyniku wojskowego rokoszu z 12–15 maja 1926 r.

Ostateczny kształt nadany systemowi rządów parlamentarnych w Konstytucji RP z 17 marca 1921 r. był rezultatem ścierania się dwóch odmiennych koncepcji ustrojowych, reprezentowanych przez lewicę i prawicę oraz nieufności Narodowej Demokracji do marszałka Piłsudskiego jako najpoważniejszego kandydata na stanowisko prezydenta Polski. Przywódcy sił reprezentowanych w Sejmie Ustawodawczym nie zdawali sobie sprawy, że słabość władzy wykonawczej ułatwia przewroty dyktatorskie, dla których uzasadnieniem była konieczność istnienia silnej władzy publicznej. Próbowali z tego skorzystać piłsudczycy, aby dojść do władzy zarówno po zabójstwie prezydenta Gabriela Narutowicza pod koniec 1922 r., jak i w efekcie zamieszek w Krakowie w listopadzie 1923 r. W obu przypadkach brak poparcia ze strony PPS uniemożliwił im realizację planów zbrojnego przejęcia władzy.

PRZECIW LEWICY I MNIEJSZOŚCIOM NARODOWYM

Po upadku pod koniec 1923 r. centroprawicowego rządu Chjeno-Piasta z Witosem w roli premiera zaczął on formułować program reformy ustroju państwa. W pierwszych dniach stycznia 1924 r. na pytanie „Ilustrowanego Kuriera Codziennego" przywódca PSL „Piast" mówił: „Konstytucja [...] postarała się o nadanie i zagwarantowanie wszelkich możliwych praw każdemu obywatelowi [...], zapomniała jednak niejednokrotnie o samym państwie". 16 stycznia na posiedzeniu klubu PSL „Piast" był dyskutowany problem wad ustawy zasadniczej. W przyjętej rezolucji stwierdzano: „Sejm przywłaszczył

eprasa.pl 430f3f0d50

sobie prawa władzy, zapominając, że jest instytucją ustawodawczą, a nie wykonawczą. One sprawiają, że Sejm jest niezdolny do wytworzenia większości, która jest warunkiem parlamentaryzmu w ogóle". Nie była w stanie zapobiec temu nawet ordynacja wyborcza oparta na systemie proporcjonalnym w wersji D'Hondta, która zazwyczaj przyczynia się do powstania parlamentarnej większości. Na zebraniu piastowej inteligencji w Krakowie Witos uznał za ograniczenie wolności wyborów głosowanie na listy, a nie na osoby, sugerując nawet wprowadzenie okręgów jednomandatowych. Na koniec stwierdził: „W Sejmie znajduje się wielu posłów, którzy idą przeciw państwu, po przyszłych wyborach może być ich w Sejmie jeszcze więcej". Miał na myśli reprezentantów mniejszości narodowych, tym bardziej że w wyborach w 1922 r. nie wzięli udziału Ukraińcy z Galicji Wschodniej. Tym samym liczba posłów reprezentujących mniejszości mogła wzrosnąć do 120, co stanowiłoby więcej niż jedną czwartą składu izby. Na zjeździe okręgowym PSL „Piast" w Poznaniu Witos określał prezydenta jako „człowieka bezwolnego i skrępowanego". I dodawał: „Sejm natomiast jest nieśmiertelny, albowiem jest panem swojego ja". I tak puentował: „Ludzie są ludźmi, potrzeba im kagańca i moralnego bata. Jeżeli by wiedziano w gronie Sejmu, że Prezydent może w każdej chwili rozpuścić go do domu, nie mielibyśmy tych eksperymentów". Słusznie podkreślał Andrzej Zakrzewski, świetny biograf Witosa, że słowa te niewiele różnią się od tych, których używał przywódca zwycięskiego rokoszu po maju 1926 r.

Program zmian ustrojowych zebrał Witos w broszurze zatytułowanej „Czasy i ludzie", która ukazała się w połowie marca 1926 r. Było to stanowisko zgodne z poglądami narodowej prawicy, zmierzające do zrównoważenia uprawnień władzy ustawodawczej i wykonawczej oraz ograniczenia wpływu mniejszości narodowych na funkcjonowanie parlamentu. Dla prawicy z pewnością sympatycznie brzmiała wypowiedź na temat równości prawa wyborczego: „Dzięki temu taki np. Poleszuk, mieszkający w lasach i szuwarach, niewychylający stamtąd przez całe życie głowy na świat Boży, niemający o nim często pojęcia, został w jednej chwili uprawniony do samodzielnego decydowania nie tylko o swoim losie i przyszłości państwa polskiego na równi z profesorem uniwersytetu". Nieźle jak na chłopskiego przywódcę. Profesor Jacek Bartyzel, znany legitymista, nie powstydziłby się tego.

Na przełomie lat 1925 i 1926 odtworzyła się centroprawicowa koalicja (Narodowa Demokracja, PSL „Piast", chadecja), do której po pewnym czasie dołączyła Narodowa Partia Robotnicza. Kluby centroprawicy w lutym i marcu 1926 r. zgłosiły projekty zmian ordynacji wyborczych do Sejmu i Senatu, w których postulowano m.in. powiększenie liczby posłów Polaków wybieranych w systemie kurialnym we wschodnich województwach. Mogłoby prowadzić to do powstania większości mającej w trwały sposób zagwarantowane oblicze centroprawicowe. W efekcie doszłoby do usunięcia niefunkcjonalności systemu parlamentarnego, wynikającej z braku większości uprawniającej do rządzenia państwem, a to wiodłoby do zwiększenia efektywności systemu parlamentarnego, a nie do jego zniweczenia. Było zrozumiałe, że protestowali przeciwko temu lewica i przedstawiciele mniejszości narodowych, gdyż tego rodzaju zmiana prawa wyborczego odbierałaby im szansę na rządzenie państwem dopóty, dopóki nie przeciągnęliby na swoją stronę partii politycznego centrum.

Pod koniec kwietnia 1926 r. kluby centroprawicy i NPR zaproponowały zmianę Konstytucji RP w zakresie sposobu skracania kadencji parlamentu. Według ich projektu prezydent uzyskałby prawo rozwiązania Sejmu bez konieczności zgody Senatu, jak było dotychczas. Jednocześnie Senat miał uzyskać równe z Sejmem prawo podejmowania decyzji o samorozwiązaniu. Odpowiednia uchwała Senatu powodowałaby rozwiązania Sejmu. W ten sposób system parlamentarny przeszedłby od modelu monistycznego, opartego na przewadze Sejmu, do bardziej zrównoważonego, w którym prezydent i Senat stawaliby się istotnymi ośrodkami władzy publicznej. To także nie prowadziłoby do zniszczenia systemu parlamentarnego, a jedynie do racjonalizacji tego modelu rządzenia.

ŻEBY LOKATOR SULEJÓWKA ZOSTAŁ TAM NA ZAWSZE

Znaczenie proponowanych zmian ustrojowych było oczywiste. Na gruncie nowego prawa wyborczego prawica i centrum, zapewniając sobie większość w Sejmie, sprawiłyby, że system rządów parlamentarnych mógłby zacząć poprawnie funkcjonować. Z kolei zmiany w uprawnieniach prezydenta i Senatu skutkowałyby powstaniem realnej możliwości odwoływania się do decyzji wyborców, gdyby większość sejmowa nie była w stanie poradzić sobie z rządzeniem państwem. Wejście w życie tych propozycji prawicy i centrum spowodowałoby, że nie tylko lewica i mniejszości narodowe utraciłyby swoją pozycję polityczną, lecz także marszałek Piłsudski już na zawsze pozostałby lokatorem Sulejówka. Jest oczywiste, że było to dla nich nie do przyjęcia, a szczególnie dla tego ostatniego.

9 maja 1926 r. krakowski „Piast" przedrukował fragmenty wypowiedzi protagonistów toczących się wydarzeń. Witos mówił: „Można rządzić w państwie albo ze społeczeństwem […]. Kto wie, czy obecnie ta druga forma nie jest bardziej wskazana". W bardzo podobny sposób wypowiadał się Piłsudski: „Zawsze twierdziłem […], że wszelkie próby ze strony rządów zdobycia sobie siły przez wysiłki zadowolenia wszystkich nigdy się nie udadzą. Siła bowiem zawsze chce być odpowiedzialna za siebie. Siła nie może liczyć się z tym, co się komu podoba, a co się nie podoba". Tego samego dnia ukazał się wywiad, którego premier udzielił redaktorowi Konradowi Wrzosowi z „Nowego Kuriera Polskiego", związanego z piłsudczykami. W rozmowie padły słowa, które nie zostały później opublikowane: „Mówią, że Piłsudski ma za sobą wojsko, jeśli tak, to niech bierze władzę siłą […], ja bym nie wahał się tego zrobić; jeśli Piłsudski nie zrobi tego, to zdaje się, nie ma tych sił za sobą". Sam Witos nie pisał o tym później w swoich wspomnieniach. Drwina z Marszałka była oczywista i nie mogła zostać bez odpowiedzi. W Polsce było miejsce tylko dla jednego silnego człowieka.

Próba realizacji zamierzeń ustrojowych Witosa doprowadziła do otwartego rokoszu wojskowego z Marszałkiem na czele. Centroprawicowa koalicja miała do dyspozycji wojska dowodzone przez austriackich generałów, którzy od czasu powstania Legionów Polskich w 1914 r. pozostawali w konflikcie z ówczesnym brygadierem Piłsudskim. Ten ostatni

eprasa.pl 430f3f0d50



Marszałek Józef Piłsudski (drugi z lewej) w otoczeniu współpracowników, Warszawa, 31 maja 1926 r. FOT. NAC

uzyskał wsparcie stronnictw lewicy, związków zawodowych, a nawet komunistów. Tym razem PPS stanęła do walki o rząd robotniczo-włościański i przeciwko chjenopiastowej reakcji, używając języka ówczesnej propagandy. Zapewne nowy premier liczył, że młodzież narodowa przeciwstawiłaby się piłsudczykowskiemu Strzelcowi i bojówkom PPS. Nie powtórzyły się jednak wydarzenia z końca 1922 r., endecy okazali się niezdolni do działania.

W walkach w stolicy w dniach 12–15 maja 1926 r. zwyciężyli przeciwnicy legalnej władzy. Z punktu widzenia ośrodka broniącego Konstytucji RP przebieg tych wydarzeń precyzyjnie opisał gen. Stanisław Haller w broszurze wydanej w Krakowie pod koniec 1926 r. Zduszenie rokoszan było w zasięgu ręki, bo wojska idące na pomoc legalnej władzy stały już pod Warszawą. Dalej walczyć chcieli oficerowie austriaccy, a nawet szef sztabu wojsk rządowych, ówczesny płk Władysław Anders z armii rosyjskiej, ale kierownictwo polityczne zadecydowało inaczej. Za zaprzestaniem dalszej walki był rząd z Witosem na czele, a także prezydent Stanisław Wojciechowski. W efekcie okazało się, kto jest tym silnym człowiekiem, który będzie sprawował władzę w oparciu o armię i swoją wolę, a nie zreformowany parlamentaryzm.

W maju 1926 r. doprowadzono do zmiany systemu politycznego – przy formalnym zachowaniu Konstytucji RP z 17 marca 1921 r. Z pewnością ułatwieniem dla rokoszan była rezygnacja z urzędu przez prezydenta Wojciechowskiego i złożenie dymisji przez rząd Witosa 14 maja 1926 r. Władysław Pobóg-Malinowski, piłsudczykowski historyk, napisał: „Marszałek Rataj nie zwlekał z powołaniem nowego rządu. Zamierzał początkowo utworzyć »rząd pojednania narodowego« z ludowcem J. Dębskim jako premierem, po rozmowie z Piłsudskim jednak powierzył tę misję prof. K. Bartlowi". Ta wypowiedź dobrze pokazuje przyszłą ewolucję ustroju państwa. Otóż to przywódca rokoszan, a nie zastępujący prezydenta marszałek Sejmu, rozstrzygnął o tym, kto miał zostać premierem. Wkrótce potem ten rząd uzyskał aprobatę izby, która jeszcze kilka tygodni wcześniej udzielała poparcia obalonemu właśnie zbrojnie gabinetowi Witosa. Stworzyło to sytuację zupełnie niezwykłą: zamach stanu został zaakceptowany i zalegalizowany przez tych, przeciwko którym został skierowany.

NARODOWI DEMOKRACI PRZEGRALI

W ostatnich dniach maja klub PSL „Piast" zajął stanowisko, że „postanowił nie przeciwstawiać się kandydaturze Marszałka Piłsudskiego na Prezydenta". Witos napisał we wspomnieniach, że w ten sposób spora część jego kolegów partyjnych „rozgrzeszyła Piłsudskiego z jego gwałtów i zbrodni". Wybór Piłsudskiego, do czego doszło 31 maja, oznaczał legalizację zamachu. Podobnie zachowali się piastowcy po odmowie Marszałka przyjęcia stanowiska prezydenta i wysunięcia kandydatury Ignacego Mościckiego na to stanowisko.

W maju 1926 r. centroprawica okazała swoją całkowitą bezsilność. 10 czerwca na łamach „Gazety Warszawskiej Porannej" Roman Dmowski wręcz piętnował tchórzostwo polityków, biegłych „w układach, kompromisach, paktach", ale cofających się przed osobistym ryzykiem. W niczym to jednak nie zmieniało sytuacji. Narodowi demokraci ostatecznie przegrali konflikt, który toczyli z piłsudczykami od 1904 r., kiedy na Placu Grzybowskim w Warszawie bojówka PPS zaczęła strzelać do kozaków, a następnie ukryła się w tłumie ludzi wychodzących z kościoła.

Często podkreśla się bezideowość dyktatury Piłsudskiego. Istotnie, nie miała ona ideologicznego zabarwienia w znaczeniu obietnicy zasadniczego przekształcenia świata. Nie była to dyktatura totalitarna, nie dążyła do podporządkowania państwu każdego obywatela ani poddania kontroli wszystkich ciał społecznych. Marszałek opowiadał się przeciw eksperymentom politycznym, zarówno w lewicowym, jak i prawicowym kierunku, i dowodził, że sytuacja Polski nie pozwala na daleko idące reformy społeczne. Wytycznymi programu ideowego były: myśl o wzmocnieniu władzy wykonawczej przy zachowaniu parlamentu pochodzącego z wyborów, brak monopartii, gospodarczy interwencjonizm, ale z utrzymaniem w ryzach inflacji, podkreślanie roli armii, akcentowanie idei państwowej jako ciągu dalszego ideologii niepodległościowej. Na tle dyktatur istniejących na wschód i zachód od nas brzmiało to dość łagodnie, o wręcz anachronicznym posmaku.

Stawką majowego zamachu stanu była odpowiedź na pytanie o dalszy sposób rządzenia Polską – czy ma to należeć do centroprawicy w oparciu o nowe prawo wyborcze i zmodyfikowany system parlamentarny, a może istnieje potrzeba ustanowienia porządku autorytarnego z Piłsudskim jako spiritus movens. Zwycięstwo wojskowego rokoszu przesądziło, że Polska dołączyła do innych państw środkowej i wschodniej Europy, z wyjątkiem Czechosłowacji do 1938 r., funkcjonujących w ramach wojskowych czy cywilnych dyktatur. Według Zakrzewskiego Witos tak widział tę sytuację: „Premier-chłop obalony siłą przez marszałka-szlachcica, przy akompaniamencie strzałów i wyszydzających tę jego chłopskość, ubiór, styl bycia ataków". Najgorsze, że marsz części chłopstwa na prawo został zatrzymany, pokazując przy tym całkowitą bezsilność centroprawicy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 430f3f0d50



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Czerwony patriotyzm

Pojęcie patriotyzmu w ostatnich latach jest pośpiesznie rozmywane i spłycane. Ogromną rolę odgrywają w tym media, szczególnie elektroniczne, bo do nich najchętniej sięgają najmłodsi. Kiedyś patriotą zostawało się za konkretne zasługi i nie każdego tym mianem obdarzano. Dziś jest inaczej, wystarczy długo i cierpliwie używać tego miana, a czytelnik sam się z tym oswoi.

Roman Dmowski określił kiedyś patriotyzm jako stosunek moralny jednostki do społeczeństwa. Kim jestem, co z siebie daję innym i krajowi swego pochodzenia, a ocenią mnie inni. Ocenią, a nie bezwiednie powtórzą za innymi. Dziś patriotów mamy dostatek, to miano rozdawane jest na lewo i prawo, bez żadnego sensu, w dodatku często osobom, które absolutnie na taki tytuł nie zasługują.

W kreacji prokomunistycznej propagandy brylują przede wszystkim resortowe dzieci i – szerzej – rodziny prominentów Polski Ludowej. Ich opinie, że PRL była krajem w sumie suwerennym i prawie niepodległym, zyskują poklask i uznanie. W takiej wizji polskim patriotą jest np. Władysław Gomułka, funkcjonariusz KPP i sowiecki agent po szkoleniach w Moskwie w okresie istnienia II RP. Jakie są przesłanki tak pozytywnych dla niego ocen? Może te, że w innych demoludach było jeszcze gorzej. Ale znacząco zaważyło jego odsunięcie od władzy w 1948 r. Tu stworzono fałszywą legendę, że przyczyną były jego „propolska" postawa i przede wszystkim rzekome ciężkie śledztwo i osadzenie w więzieniu. Ale nic takiego nie miało miejsca! Gomułka został bowiem osadzony w resortowej willi, w dwupokojowym mieszkaniu (przebywał tam razem z żoną Liwą Szoken), nie był bity, a tym bardziej torturowany, jak więźniowie polityczni w tamtej epoce. Miarą owych szykan były ubeckie oficerskie racje żywnościowe, którymi usiłowano karmić Gomułków. On zaś się zbuntował i zażądał żywności z targów wiejskich. Ubecy w raportach skarżyli się, że muszą codziennie chodzić po świeżą szynkę, masło, sery, żeby zaspokoić ich subtelne czerwone podniebienia.

Ale pamiętajmy, to za rządów „pierwszego" Gomułki komuniści zamordowali kilkadziesiąt tysięcy ludzi – symbolicznie: Danutę Siedzikównę i rtm. Witolda Pileckiego… Jego następca, Bierut, tylko kończył to zbrodnicze dzieło.

A jaki był ich patriotyzm? Wyraził to Mykoła Demko vel Mieczysław Moczar w 1948 r.: „Związek Radziecki jest nie tylko naszym sojusznikiem, to jest powiedzenie dla narodu. Dla nas, partyjniaków, Związek Sowiecki jest naszą Ojczyzną, a naszych granic nie jestem w stanie dziś określić, dziś są za Berlinem, a jutro będą na Gibraltarze". Ten patriotyzm był i jest czerwony. ©℗



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Przed przewrotem

Wiosną 1926 r. dni rządu Aleksandra Skrzyńskiego były już policzone i na początku maja przyjęto dymisję gabinetu. Przez kilka dni trwały gorączkowe negocjacje parlamentarne, ale nie powiodła się żadna próba sformowania gabinetu. 9 maja 1926 r. w „Nowym Kurierze Polskim" ukazał się wywiad z Wincentym Witosem, prowokacyjny wobec Piłsudskiego. Witos żądał, aby Marszałek „wyszedł z ukrycia", sugerując, że „nie zależy mu naprawdę na uporządkowaniu stosunków w państwie". Zwolennicy Komendanta odebrali publikację jako zapowiedź prawicowego zamachu stanu.

Marszałek przestał się wahać. Jeszcze przed dymisją gabinetu Skrzyńskiego ówczesny minister spraw wojskowych, gen. Lucjan Żeligowski, wydał rozkaz koncentracji kilku jednostek wojskowych w rejonie Rembertowa w celu przeprowadzenia gry wojennej pod kierownictwem Piłsudskiego. Oddziały dobrano pod kątem wierności Komendantowi, a dwa dni przed terminem koncentracji oficjalnie podporządkowano zgrupowanie jego komendzie.

Gdy Witos udał się do Piłsudskiego z propozycjami personalnymi dotyczącymi nowego gabinetu, Marszałek zareagował gwałtownie. Następnego dnia w „Kurierze Porannym" ukazał się wywiad z nim, wyjątkowo obraźliwy wobec nowego premiera. Na koniec Piłsudski oświadczył, że staje „do walki, jak i poprzednio, z głównym złem państwa; panowaniem rozwydrzonych partii i stronnictw nad Polską […], pamiętaniu tylko o groszu i korzyści". Na polecenie nowego rządu wydanie „Kuriera" skonfiskowano.

Nowy minister spraw wojskowych, gen. Juliusz Malczewski, niezwłocznie odwołał koncentrację pod Rembertowem, ale na przeciwdziałanie było już za późno. Dowódca przybyłego już na miejsce 7. ułanów z Mińska Mazowieckiego, ppłk Kazimierz Stamirowski, odmówił wykonania rozkazu. Jednocześnie wysłał oficerów do Siedlec, do 22. pułku piechoty, żądając jego przybycia do Rembertowa. W Warszawie narastało podniecenie, grupy młodzieży krążyły po ulicach i lokalach z okrzykami: „Niech żyje Marszałek!", „Precz z Witosem!". W kawiarniach śpiewano „Pierwszą Brygadę", siedzący przy stolikach wstawali, niemal oficjalnie sprzedawano skonfiskowane wydanie „Kuriera".

Nad ranem po stronie Piłsudskiego opowiedziały się stacjonujące w stolicy pułk piechoty i pułk szwoleżerów. W Siedlcach 22. pułk piechoty wezwany przez Stamirowskiego pod groźbą użycia siły rozpoczął załadunek na stacji kolejowej. Marszałek dysponował poważną siłą, a do tego miał pewność, że kolejarze sparaliżują transport oddziałów wiernych rządowi. Demonstracja zbrojna, którą planował, miała zatem poważne szanse powodzenia. ©℗

eprasa.pl 430f3f0d50



Z Agatą Puścikowską, autorką książki „Lotniczka. Opowieść o Janinie Lewandowskiej”
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Szlak niespełnionych nadziei

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Wizerunek Janiny Lewandowskiej zaprezentowany w filmie „Pojedynek” odbiega od prawdy?

AGATA PUŚCIKOWSKA: Autentyczna wyglądała zupełnie inaczej: miała krótkie, ciemne włosy, była ubrana w zbyt duży mundur wojskowy lotnika przepasany paskiem. Lecz nawet nie o wygląd zewnętrzny tu chodzi. Różnica między postacią filmową a rzeczywistą polegała przede wszystkim na zachowaniu. W Kozielsku Janina ukrywała tożsamość i otaczała się wyłącznie zaufanymi ludźmi. Była też zaprzyjaźniona z kapelanem, ks. Janem Ziółkowskim. Współpracowała z nim i niewątpliwie z dużym dla siebie ryzykiem, zdobywała mąkę i wypiekała komunikanty na konspiracyjne, tajne msze w obozie. Stanowczo nie śpiewała szlagierów Ordonki, nie biegała z rozwianym blond włosem po obozie (bywało tam –40 st. C!). Z pewnością też nie robiła podkopów. Zresztą nikt tam ich nie czynił – nie było ku temu warunków. Ten „filmowy” obraz jest – w mojej ocenie – pewnego rodzaju karykaturą, zarówno postaci, jak i w ogóle warunków obozowych. Szkoda, że twórcy „Pojedynku” po prostu nie zmienili personaliów bohaterki.

Której biografię wyznaczyły polskie Kresy.

Urodziła się w Charkowie, niemal całe życie mieszkała w Poznaniu i okolicach, by umrzeć w Katyniu. Ale moim zdaniem jej życiorys określiły raczej wydarzenia i cele. Szukała swej drogi. Czasem w nieco skrajnych rejestrach – a to śpiewając po poślednich lokalach, a to kończąc prestiżowe kursy radiotelegraficzne, a to wchodząc w świat szybowników i spadochroniarzy, ucząc się pilotażu sportowego, w końcu idąc na wojnę.

Talenty otrzymała w genach?

Z mlekiem matki wyssała zamiłowanie do muzyki, po ojcu odziedziczyła silny charakter i ciekawość świata. Czy też chęć założenia munduru? Możemy domniemywać, że tak było, ponieważ dorastała w domu przesiąkniętym wojskową atmosferą. Zarazem była niezależna, potrafiła odciąć się od rodziny, egzystując na własną rękę.



Janina Lewandowska w kombinezonie przed samolotem, Lotnisko Ławica, Poznań 1939 r. FOT. IPN

Militarny etap życia zainaugurowała akcesem do juzistek?

Mundur tej formacji – w wojsku polskim kobiet wtedy nie było – założyła bardzo późno, dopiero w 1936 r., liczyła już wówczas 28 lat. Notabene to najpewniej w tym uniformie wyruszyła na wojnę. Gwoli przypomnienia: na polecenie Józefa Piłsudskiego, a prawdopodobnie z inicjatywy jego drugiej małżonki Aleksandry, w Zegrzu pod Warszawą organizowano tzw. kursy juza, przeznaczone dla żeńskiego personelu pomocniczego wojska i łączności. Przygotowywało je Ministerstwo Spraw Wojskowych razem z Ministerstwem Poczt i Telegrafów. Chodziło o wyszkolenie kobiet do obsługi i konserwacji aparatów Juza, Morse’a i tzw. stukawek. Operatorki telegrafu drukującego Juz nazywano juzistkami. Odpowiednio obsługiwane maszyny uniemożliwiały podsłuch i rozszyfrowywanie treści depesz przez nieupoważnione osoby. Wykwalifikowane panie miały w trakcie działań zbrojnych pracować w łączności między jednostkami wojskowymi. Absolwentki kursu uczestniczyły w wojskowych ćwiczeniach terenowych, a następnie znajdowały zatrudnienie w oddziałach telegraficznych i pocztowych. Janina, po świetnie ukończonych, prawie rocznych kursach, dostała przydział pracy we Lwowie. Juzistki podlegały mobilizacji. Jednak we wrześniu 1939 r. tylko część z nich otrzymała karty mobilizacyjne. Czy również Janina? Tego nie wiemy. Żadne dokumenty się nie zachowały, a dostępne relacje wydają się sprzeczne. Jestem jednak pewna, że to właśnie decyzja o ukończeniu kursów stanowiła przełom w życiu Lewandowskiej. Dokonała wyboru służby Polsce, pozostając mu wierną.

Początkowo parała się szybownictwem, potem została pionierką damskiego spadochroniarstwa, dzierżąc w tej konkurencji rekord Europy...

To powielanie mitu, z którym walczę w książce! Faktycznie była szybowniczką, lecz nie „pionierką damskiego spadochroniarstwa”, lecz jedną z wielu młodych Polek zaciekawionych spadochroniarstwem. Ale, zaznaczmy, dopiero od roku 1937. Zaledwie kilkanaście miesięcy wcześniej zezwolono na skoki cywilne, sportowe – zarówno mężczyznom, jak i kobietom. I Janina też nie skoczyła z 5 tys. metrów, jak podają to, dość bezrefleksyjnie, dziennikarze, a nawet historycy! Technicznie było to niewykonalne, ówczesne samoloty sportowe tak wysoko nie latały. Owszem, Janina uczyła się spadochroniarstwa, konsekwentnie i odważnie – co relacjonowała ówczesna prasa. Jednak skakała raczej z 500 metrów. Ktoś w opisie jej doko-

eprasa.pl 430f3f0d50



AGATA PUŚCIKOWSKA „LOTNICZKA. OPOWIEŚĆ O JANINIE LEWANDOWSKIEJ" ZNAK 2026

nań musiał dodać „zero" przez pomyłkę, a potem powielano ten błąd. Nawet MSZ w wydanej niedawno broszurce opisującej dzielne Polki we fragmencie o Janinie podaje te nieszczęsne 5 km. Popełnia zresztą i inne lapsusy, np. drukując nieistniejące „cytaty" z Lewandowskiej, która nie pozostawiła wspomnień. Cytuje też opowieść, że w obozie nazywano ją Matką Boską Kozielską, co jest zupełną bzdurą. Prawda o Lotniczce jest znacznie ciekawsza od legend.

Miała doświadczenia telegraficzno-telefoniczno-pocztowe...

Po nieudanej karierze muzycznej musiała zarabiać. Zatrudniła się w poznańskiej poczcie głównej i... była cenionym pracownikiem. Rzetelna, konkretna. Mam wrażenie, że ta stabilna praca ułożyła jej życie. A może i emocje? Paradoksalnie, gdy przestała marzyć o muzycznych scenach świata, zyskała możliwość dalszego rozwoju i w rezultacie zaczęła realnie bujać w obłokach, czyli latać. Gdyby nie wybuch wojny, zapewne miałaby też pełne uprawnienia pilota motorowego, sportowego. Jednak do września 1939 r. raczej ich jeszcze nie zdobyła. Natomiast już latała w charakterze drugiego pilota, nawigatora.

Niemal w przededniu wybuchu drugiej wojny światowej zmieniła stan cywilny...

Nadal pokutuje data ślubu: sierpień 1939 r. Naprawdę zawarła go kilka tygodni wcześniej. Cywilny w Poznaniu, potem 17 czerwca w Tęgoborzu. Mężem został instruktor szybowcowy, Mieczysław Lewandowski. Kilka lat od niej młodszy, szczerze ją kochał. Poukładany, odważny, przystojny, wysportowany. Pobrali się, planowali zakup większego lokum i wspólne mieszkanie w Poznaniu. Po krótkiej podróży poślubnej rozstali się „na chwilę", która okazała się wiecznością.

A jak wyglądał szlak bojowy Janiny Lewandowskiej?

Nie wiemy, czy była stricte ochotniczką czy miała w ręku kartę mobilizacyjną juzistki. Poznań opuszcza 3 września, zmierzając na wschód. Jedzie z lotnikami sportowymi (!), z Aeroklubu Poznańskiego. Oczekują, że zostaną tam przegrupowani i przydzieleni do odpowiednich jednostek. Janina jest radiotelegrafistką, ma też przeszkolenie sanitariuszki – to istotne, gdyż dysponuje umiejętnościami przydatnymi na froncie. Mimo że ma możliwość przedarcia się – wraz z kolegami rezerwistami – przez Rumunię na zachód, decyduje się pozostać z lotnikami oficerami wojskowymi. Dlaczego? Może miała silne poczucie obowiązku i czuła, że wszelkie inne zachowania byłyby dezercją? Po wielu perypetiach trafiają w okolice Tarnopola, gdzie dociera do nich tragiczna informacja o agresji Sowietów. Kilka dni później wpada w ich ręce. Chciała walczyć, ale jej losy wojenne trudno nazwać „szlakiem bojowym". To raczej „szlak niespełnionych nadziei".

Co wiemy o jej pobycie w sowieckiej niewoli?

Trafia do Ostaszkowa. Do tamtejszego obozu specjalnego NKWD. Głód, wszy, brak higieny, niebezpieczeństwo zgwałcenia przez Sowietów. I walka, by trzymać fason, by się nie poddać, by żyć nadzieją na lepsze jutro. Jest chroniona przez polskich oficerów. Od któregoś z lotników otrzymuje mundur pilota wojskowego – rodzaj „straszaka". Janina z daleka przypomina młodego mężczyznę. Ma krótkie włosy, jest wysoka i szczupła. Po ciężkim pobycie w Ostaszkowie – wycieńczona fizycznie, ale nadal silna psychicznie – zostaje, wraz z towarzyszami niedoli, przetransportowana do Kozielska. Koszmarna podróż, wagonami bydlęcymi, trwa wiele dni. W Kozielsku kobieta zmienia dane osobowe, „odmładza się", aby nie zostać rozpoznana jako córka generała walczącego z bolszewikami. Pomaga jej w tym nowe, mężowskie nazwisko. Jak wspominałam, zaprzyjaźnia się m.in. z kapelanem, narażając się na represje sowieckie – piecze opłatki. Słynny opis, znaleziony w dole śmierci, przy ciele jednego z oficerów: „Jest z nami Lotniczka, trzyma się dzielnie", choć tak lapidarny, mówi bardzo wiele. Mnie ogromnie wzrusza.

Zginęła w dniu swych urodzin? Ciało zidentyfikowali Niemcy?

Tak brzmi, dramatyczna i romantyczna, wersja obiegowa. Jednak w istocie, tak wynika z sowieckich dokumentów, które w tym względzie są niepodważalne, została zamordowana dzień lub nawet dwa dni później. To wszystko przedstawiam w warstwie dokumentacyjnej książki. I uwaga: opisywany przeze mnie w książce „Kazio", chłopiec, który był z Janiną w obozie, istniał w rzeczywistości. Mało kto wie, że w obozach specjalnych NKWD Sowieci więzili również dzieci. Na zwłoki chłopca natrafiono w 1943 r. przy ciele Janiny, podczas niemieckich ekshumacji. Musieli być razem do samego końca, zginąć jedno po drugim... Niemcy jednak sprawę wyciszyli. Obawiali się, że po prostu nikt im w to nie uwierzy, a cała propagandowa akcja antysowiecka, związana z odkryciem masowych mogił, się nie uda. Zatem kwestię kobiety i dziecka przemilczano. Dobrze jednak, że świadkiem tego odnalezienia był Polak, Henryk Troszczyński, robotnik przymusowy. Wrócił do ojczyzny, wręcz cudem, a po kilkudziesięciu latach opowiedział wszystko, co widział. Mawiał, że przeżył właśnie po to, by świadczyć...

Losy czaszki Lotniczki to temat sam w sobie?

Historia niebywała, trochę... nadnaturalna, chociaż jednocześnie bardzo realna i dobrze poznana. Dość stwierdzić, że damską czaszkę wywozi z Katynia niemiecki naukowiec. Po wielu perypetiach trafia ona do Wrocławia. Jednak wojna się kończy i wkraczają Sowieci. Usiłują zniszczyć wszystko, co z Katyniem związane: pamięć przede wszystkim, ale też artefakty. Polscy naukowcy, z narażeniem życia, ukrywają czaszkę. Wyprowadzają potem w pole NKWD, przeczesujące zbiory. Do końca PRL jest ukrywana w piwnicy instytutu naukowego. W 2005 r. zostaje poddana specjalistycznym badaniom – metodą superprojekcji porównywana jest ze zdjęciami Janiny Dowbor-Muśnickiej. Testy DNA, z wielu powodów, nie były możliwe. Na 90 proc. udaje się potwierdzić, że należy właśnie do Janiny. Czaszka zostaje złożona w grobie rodzinnym, przy ojcu i matce, na cmentarzu w Lusowie. Toteż chyba możemy stwierdzić, że po wielu dekadach tułaczki Janka wróciła do domu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Agata Puścikowska – absolwentka UW, dziennikarka, pisarka. Autorka książek, m.in. „Siostry nadziei", „Waleczne z gór", „Święci 1944" i najnowszej „Lotniczka. Opowieść o Janinie Lewandowskiej".

eprasa.pl 430f3f0d50



Jacek Przybylski

NATO 3.0

USA wycofają 5 tys. żołnierzy z Niemiec – ogłosił Pentagon. Pretekstem była urażona duma Trumpa, ale Ameryka o planowanej relokacji sił w Europie mówi od miesięcy. Jak bardzo w dwubiegunowym świecie Europa straciła na znaczeniu w oczach USA? I czy Polska może zyskać na zmianie rozmieszczenia sił?



Pod koniec roku 2025 w ponad 30 bazach na terenie Starego Kontynentu stacjonowało na stałe ok. 70 tys. amerykańskich żołnierzy. Według Centrum Danych o Siłach Obronnych USA (DMDC) liczba ta nie obejmowała oddziałów, które są w Europie rotacyjnie lub na regularnie organizowanych manewrach. Mniej więcej 37 tys. wojskowych z USA stacjonuje w Niemczech w kilkudziesięciu bazach rozmieszczonych zwłaszcza na południu i południowym zachodzie kraju.

„Stany Zjednoczone badają i analizują możliwość redukcji wojsk w Niemczech, a decyzja w tej sprawie ma zostać podjęta w najbliższym czasie" – ogłosił pod koniec kwietnia Donald Trump we wpisie opublikowanym na platformie Truth Social. Do napisania tego posta gospodarza Białego Domu miała skłonić urażona duma. Kanclerz Niemiec Friedrich Merz – zagorzały zwolennik dobrych relacji transatlantyckich – śmiał bowiem publicznie stwierdzić, że jest „całkiem oczywiste, że Waszyngton przystąpił do tej wojny bez żadnej strategii" i że władze Iranu umiejętnie prowadząc negocjacje, „poniżają cały naród amerykański". I chociaż to i tak łagodna ocena z ust szefa rządu państwa, które przez nie swoją wojnę prognozy wzrostu gospodarczego musiało już zredukować o połowę, to amerykański prezydent niczym urażona królewna kolejny raz pogroził Niemcom palcem. Groźby wycofania wojsk z Niemiec nie są bowiem dla Trumpa niczym nowym. Już podczas pierwszej kadencji w Białym Domu amerykański prezydent chciał wycofać część wojsk z Niemiec, ale nie pozwolił mu na to Kongres.

IRAN, KUBA, CHINY?

Stany Zjednoczone poświęcają Europie coraz mniej uwagi. Jeśli Donaldowi Trumpowi uda się wreszcie osiągnąć trwałe zawieszenie broni w rejonie Zatoki Perskiej, to USA prawdopodobnie będą chciały jeszcze przed listopadowymi wyborami połówkowymi do Kongresu doprowadzić do zmiany reżimu na Kubie. Nie będzie to łatwe zadanie, bo to ważny rosyjski przyczółek. Aby osiągnąć ten cel, konieczna może być kolejna militarna interwencja lub np. doprowadzenie przez Waszyngton do zakończenia konfliktu ukraińsko-rosyjskiego na warunkach dużo korzystniejszych dla Moskwy niż dla Kijowa.

Wycofanie 5 tys. żołnierzy z Niemiec to zapewne dopiero początek poważnych zmian w układzie amerykańskich sił na Starym Kontynencie. Nie jest wcale wykluczone, że Donald Trump ogłosi również „znaczące" zmniejszenie kontyngentów w takich krajach jak Hiszpania czy Włochy. Może to zrobić choćby pod pretekstem braku wsparcia Madrytu oraz Rzymu podczas amerykańskiej inwazji na Iran. Może też podać jakikolwiek inny powód, kreując się na nieobliczalnego szaleńca lub obrażonego światowego wodza, który chce karać sojuszników za to, że nie są na każde skinienie swego większego brata i że nie przyłączyli się do niezgodnej z prawem międzynarodowym napaści USA i Izraela na Iran.

W przypadku Donalda Trumpa dużo ważniejsze od słów wskazujących na „wariata", „głupca" lub „otępiałego starca" są jednak konkretne działania. Kolejne posunięcia obecnego gospodarza Białego Domu są zaś zgodne nie tylko z oczekiwaniami wielu republikańskich wyborców, którzy nie ukrywają zado-

eprasa.pl 430f3f0d50



Polsko-litewskie ćwiczenia wojskowe w okolicach przesmyku suwalskiego

FOT. PETRAS MALUKAS/AFP/EAST NEWS

Polski rząd do obecności każdego amerykańskiego żołnierza nad Wisłą dopłaca rocznie 15 tys. dol.

wolenia, gdy Donald Trump uciera nosa kanclerzowi Niemiec czy premierowi Hiszpanii, lecz także z oficjalnie przyjętą i publicznie ogłoszoną w ubiegłym roku Narodową Strategią Bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Zgodnie z nią Amerykanie nie tylko chcą zaprzestać dalszego rozszerzania NATO, lecz także zakładają redukcję obecności wojskowej w Europie, przenosząc ciężar obrony Starego Kontynentu na kraje europejskie.

Wprawdzie z dokumentu jasno wynika, że Europa w oczach obecnej administracji bardzo straciła na znaczeniu (m.in. przez niekontrolowaną migrację, utratę tożsamości narodowej czy słabnące gospodarki poszczególnych krajów). Wątpliwe jest jednak to, że Trump zdecyduje się zamykać amerykańskie bazy na Starym Kontynencie, ponieważ pozwalają one nie tylko na działania w Europie, lecz także są niezbędne do prowadzenia skutecznych operacji w różnych zakątkach świata (są konieczne choćby do sterowania dronami w różnych częściach globu). Dla przykładu: baza lotnicza Ramstein w Nadrenii-Palatynacie – największa amerykańska baza wojskowa poza terytorium Stanów Zjednoczonych – stanowi kluczowy węzeł przesiadkowy dla żołnierzy i uzbrojenia podczas misji prowadzonych przez Waszyngton na Bliskim Wschodzie i w Afryce. To też kluczowa baza z punktu widzenia ewentualnego wsparcia sojuszników USA w krajach Europy Wschodniej. W Ramstein znajduje się nie tylko siedziba dowództwa Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych w Europie, lecz także największy amerykański szpital wojskowy poza USA. W położonym nieco bardziej na wschód Stuttgarcie znajdują się z kolei kwatera główna Dowództwa Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych w Europie (EUCOM) oraz kwatera Dowództwa Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych w Afryce (AFRICOM). Tajemnicą poliszynela jest zaś, że w bazie Büchel w Górach Eifel znajduje się także – choć tej informacji nigdy oficjalnie nie potwierdziły ani władze w Waszyngtonie, ani w Berlinie – amerykańska broń nuklearna. Spekuluje się, że składowanych jest tam nadal od 15 do 20 bomb atomowych. Najprawdopodobniej są to dwa modele B-61 o mocy 50 kt i 170 kt (ta ostatnia bomba jest 13-krotnie bardziej potężna niż bomba atomowa zrzucona przez pilotów USA na Hiroszimę 6 sierpnia 1945 r.). I chociaż od lat mówi się o wycofaniu amerykańskiej broni atomowej z Niemiec, to w najbliższych latach realizacja tego postulatu wydaje się wątpliwa.

Trump może wykorzystać swoją „nieobliczalność", aby amerykańskie siły były rozmieszczone bardziej strategicznie, np. bliżej granicy z Rosją. Według szefa Pentagonu wycofanie części oddziałów z Niemiec ma nastąpić w ciągu najbliższych 6–12 miesięcy.

TANIEJ W POLSCE NIŻ W USA

– W Polsce jesteśmy gotowi do tego, aby żołnierzy amerykańskich przyjąć – oświadczył jasno w ubiegłym tygodniu prezydent Karol Nawrocki, dodając, że chociaż mało jest spraw, „które są wyrazem właściwie ponadpartyjnego i ponadpolitycznego kompromisu w samej Rzeczypospolitej", to „niezależnie od poglądów politycznych każdy ma świadomość, że obecność wojsk amerykańskich, czy to w Polsce, czy w innych państwach Europy Środkowej i Wschodniej, podnosi poziom bezpieczeństwa". – Mamy gotową do tego infrastrukturę i w interesie zarówno Polski, jak i Litwy oraz państw bałtyckich jest to, żeby stacjonowała tu jak największa liczba amerykańskich żołnierzy – oznajmił prezydent Polski podczas wizyty na Litwie, gdzie do 7 maja w pobliżu obwodu królewieckiego trwały manewry wojskowe „Brave Griffin 26–II" z udziałem amerykańskich żołnierzy.

Prezydent Nawrocki wypowiadając te słowa, wiedział zapewne, że jednak

eprasa.pl 430f3f0d50

nie każdy w Polsce ma tę świadomość lub przynajmniej nie każdy się do tego publicznie przyznaje. Polski rząd, na czele z premierem, początkowo nie pałał bowiem entuzjazmem do pomysłu przyjęcia 5 tys. amerykańskich wojskowych. Donald Tusk – ten sam, który w niedawnym wywiadzie dla „Financial Times" straszył publicznie, że potencjalne zagrożenie dla NATO ze strony Rosji to już „kwestia miesięcy, a nie lat" – tym razem stwierdził, że ewentualne przeniesienie amerykańskich żołnierzy z Niemiec do Polski to „delikatna sprawa". Dlaczego szef rządu w Warszawie nie chce wzmocnienia obrony polskich granic? „Nie pozwolę na to, żeby Polska była w jakikolwiek sposób wykorzystywana do łamania solidarności czy współpracy na poziomie europejskim" – oznajmił polski premier, zaznaczając, że „chyba nie powinniśmy jako państwo podbierać". „Tusk kolejny raz odkrywa swoją prawdziwą twarz" – ocenił prezes PiS Jarosław Kaczyński, podkreślając, że Tusk kolejny raz zapomina, którego kraju interesem powinien się kierować przede wszystkim.

Rozważniej od Donalda Tuska wypowiedział się w tej sprawie minister spraw zagranicznych. „Nie wnikamy, skąd ci żołnierze mieliby przybyć. W Polsce będą mile widziani i umowa o statusie wojsk jest – uważamy – konkurencyjna dla USA, bo wspieramy ten pobyt sumą 15 tys. dol. na żołnierza. Zapraszamy ich tu, gdzie jest prawdziwe zagrożenie, 250 km stąd" – tak do kwestii ewentualnego zwiększania sił USA w Polsce odniósł się szef polskiej dyplomacji, zauważając, że na terytorium Polski mamy już 10 tys. amerykańskich żołnierzy, czyli „równowartość dwóch ciężkich brygad". Minister Sikorski nie pierwszy raz zauważył, że stacjonowanie i szkolenie amerykańskich żołnierzy w Polsce jest tańsze niż ich stacjonowanie i szkolenie na terenie Stanów Zjednoczonych. Sikorski jako jeden z nielicznych polskich polityków przypominał również w ubiegłorocznym wywiadzie dla konserwatywnej telewizji Fox News, że w latach 90. ubiegłego wieku Ukraina dostała gwarancje bezpieczeństwa od Stanów Zjednoczonych (a także od Wielkiej Brytanii) w zamian za pozbycie się trzeciego co do wielkości na świecie arsenału nuklearnego.

W ciągu kilku tygodni działań zbrojnych przeciwko Iranowi Biały Dom doprowadził do znacznego wyczerpania amerykańskich zapasów pocisków i rakiet

Europejscy politycy coraz częściej dostrzegają, że również gwarancje bezpieczeństwa dla krajów Starego Kontynentu nie muszą być aż tak pewne, jak wydawało się to jeszcze dekadę temu. Bolesna dla lewicowych lekkoduchów w europejskich parlamentach i – łagodnie mówiąc – nie zawsze dyplomatyczna polityka Donalda Trumpa paradoksalnie dała jednak ważny impuls do pilnych zmian i skłoniła rządy w różnych krajach Starego Kontynentu do istotnego zwiększenia wydatków na zbrojenia.

ROZBROJONA AMERYKA

Wojna w Iranie pokazała z kolei, jak ważna jest krajowa produkcja uzbrojenia. Boleśnie przekonali się o tym m.in. Estończycy. Wprawdzie władze w Tallinnie wydają na obronność 5,4 proc. PKB, a w marcu szef estońskiej dyplomacji Margus Tsahkna jasno opowiedział się po amerykańskiej stronie w konflikcie z Iranem, ale już w kwietniu szef Pentagonu telefonicznie przekazał estońskim władzom złą wiadomość: Stany Zjednoczone anulowały dostawy broni do tego kraju, ponieważ potrzebują więcej broni na własną wojnę z Iranem. Nie dostarczą więc w terminie ani amunicji do wyrzutni HIMARS, ani systemów przeciwpancernych Javelin. Wielu sojuszników USA wpadło w podobną pułapkę: przeznaczyło ogromną część swoich budżetów obronnych na drogą broń produkowaną w Stanach Zjednoczonych – aby przy okazji kupić przyjaźń Ameryki – a teraz na dostawy poczekają o wiele dłużej, niż pierwotnie planowano. O jaką skalę zamówień chodzi? Z raportu Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem (SIPRI) wynika, że w latach 2016–2020 i 2021–2025 kraje europejskie zwiększyły zakupy broni ze Stanów Zjednoczonych o ponad 200 proc.

Tymczasem według amerykańskich mediów podczas kilku tygodni wojny z Iranem amerykańskie wojsko wykorzystało 1,1 tys. pocisków manewrujących dalekiego zasięgu – niemal wszystkie pozostałe w arsenale USA – i wystrzeliło ponad 1 tys. pocisków manewrujących Tomahawk. Dla porównania: obecnie Amerykanie produkują 100 Tomahawków rocznie. Jeśli pilnie nie zwiększą tempa produkcji, to na uzupełnienie zapasów potrzeba będzie aż dekady. W ciągu zaledwie dwóch miesięcy wojny Amerykanie zużyli również ponad 1,2 tys. pocisków Patriot, czyli mniej więcej połowę swojego arsenału. Według obliczeń waszyngtońskiego think tanku CSIS Amerykanie zużyli również ponad połowę systemów obrony przeciwrakietowej THAAD (Terminal High Altitude Area Defense), służących do ochrony przed pociskami krótkiego i średniego zasięgu oraz ponad 45 proc. pocisków precyzyjnego rażenia (PrSMs). Zdaniem analityków odbudowa strategicznie ważnych zapasów może zająć od roku do czterech lat.

To zaś oznacza, że podczas „Epickiej Furii" duzi chłopcy z Białego Domu przepalili dużą część arsenału potrzebnego np. do obrony Tajwanu przed Chinami lub krajów bałtyckich przed Rosją. Niemcy w opublikowanej pod koniec kwietnia obecnego roku nowej strategii wojskowej Bundeswehry wpisali już odpowiedź na dokonywaną przez USA redefinicję charakteru NATO (czytaj: koncentrację Ameryki na półkuli zachodniej i rywalizacji z Chinami). Planiści w Berlinie porzucili na dobre pacyfistyczne podejście. Niemcy chcą przejąć od USA część odpowiedzialności za bezpieczeństwo Europy. Plan podzielony jest na trzy główne etapy. Do 2029 r. ma nastąpić poprawa już istniejących zdolności wszystkich rodzajów sił zbrojnych. Do roku 2035 liczba żołnierzy ma wzrosnąć ze 184 tys. do 460 tys. żołnierzy i rezerwistów. A do 2039 r. Bundeswehra ma stać się największą i najbardziej zaawansowaną technologicznie armią w Europie.

Niemcy doskonale zdają sobie sprawę, że w dwubiegunowym świecie NATO musi przekształcić się w sojusz w wersji 3.0, a poszczególne kraje Europy jak najszybciej muszą rozwinąć własne siły zbrojne. Czy zrozumieją to też w końcu wszyscy polscy politycy?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 430f3f0d50



FOT. BILD.DE

SAMOCHÓD W KUCHNI

Do nietypowego wypadku doszło w Zagłębiu Ruhry. Ciężki, kilkutonowy pick-up podczas cofania się wjechał w ścianę budynku wielorodzinnego i przebił jej fasadę. Do zdarzenia doszło podczas prac naprawczych przy samochodzie. Tył pojazdu zatrzymał się w kuchni na parterze. Na szczęście w lokalu nikogo nie było, więc nikt nie odniósł obrażeń. Kierowca również wyszedł z wypadku cało. Żeby usunąć auto, zbudowano specjalną drewnianą rampę.

RZUT RURĄ

Była pracownica klubu ze striptizem w North Miami Beach została aresztowana po tym, gdy – według policji – zaatakowała jego menedżera. Dwudziestotrzyletnią kobietę zwolniono z pracy, ponieważ wywoływała konflikty. Po zwolnieniu pozwolono jej odebrać z klubu swoje rzeczy. Gdy przyszła, zaczęła się awanturować, więc ochrona ją wyprowadziła. Następnie wróciła z metalową rurą o długości dwóch metrów, którą wymachiwała, a potem rzuciła nią w kierunku swojego byłego szefa, trafiając go w nogę.

CO Z NAPIWKIEM?

Dramatyczny koniec miała kłótnia o napiwek, do której doszło w stanie Missouri. Dostawca pizzy Domino's zdenerwował się z powodu tego, że klient nie uiścił mu dodatkowej zapłaty, więc go nawyzywał. Po sprzeczce zaś wrócił do auta, cofnął się w stronę drogi, a następnie – zdaniem policji – ruszył do przodu, tak żeby uderzyć klienta, który bynajmniej nie blokował mu wyjazdu. Poszkodowany doznał obrażeń, lecz przeżył. Sprawca zaś uciekł, ale został zatrzymany.

BEZ MIĘSA

Amsterdam to pierwsza stolica państwa w świecie, która zakazała reklam mięsa i produktów związanych z paliwami kopalnymi w przestrzeni publicznej. Władze miasta tłumaczą decyzję względami klimatycznymi: dążeniem do neutralności emisyjnej – ma być ona osiągnięta do roku 2050 – oraz ograniczenia spożycia mięsa o połowę. Politycy i aktywiści uważają, że reklamy kształtują normy społeczne i zachowania konsumentów. Branże mięsna i turystyczna krytykują zakaz jako ingerencję w rynek.

ZEPSUTA ATRAKCJA

Chwile grozy przeżyło ok. 20 osób w parku Sunac Land w Nanchangu (Chiny). Kolejka górska Python in Bamboo Forest tuż przed szczytem wzniesienia nagle się zatrzymała. Awarię wywołał sygnał o usterce, więc obsługa postanowiła ręcznie zastopować atrakcję. Pasażerowie utknęli wysoko nad ziemią i musieli opuścić wagoniki. Potem schodzili pieszo w dół wzdłuż toru. Niektórzy z nich odnieśli drobne obrażenia. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

AI bez szans na Oscara

Słynne statuetki w tym roku zostały już rozdane. W ostatnich dniach dowiedzieliśmy się jednak, jacy aktorzy i scenarzyści będą – przynajmniej w najbliższej przyszłości – oficjalnie wykluczeni z rywalizacji o Oscary.

Amerykańska Akademia Sztuki i Wiedzy Filmowej ogłosiła bowiem nowe, rewolucyjne zasady dotyczące przyznawania Oscarów. A wszystko przez sztuczną inteligencję, która jest tak dobra, że z powodzeniem mogłaby już zastąpić nawet gwiazdy największego formatu (dobrym przykładem jest zmarły w ubiegłym roku Val Kilmer, który został przez reżysera „wskrzeszony" za pomocą AI na potrzeby filmu „As Deep as the Grave").

Pracownicy Fabryki Snów nie chcą zaś ścigać się z maszynami. Zgodnie z nowymi zasadami od przyszłego roku z kluczowych kategorii oscarowych wykluczone będą więc grające w filmach cyfrowe awatary. Regulamin mówi jasno: do otrzymania nagród kwalifikują się jedynie „role wymienione w prawnych opisach filmu i w pełni odegrane przez ludzi za ich zgodą".

Żadnych szans na statuetkę nie mają mieć także te filmy, do których scenariusze napisała sztuczna inteligencja. W tym ostatnim przypadku sprawa może być jednak skomplikowana, ponieważ wraz z rozwojem kolejnych modeli językowych coraz bardziej zaciera się różnica między dziełami, które napisał człowiek, a tekstami, które opracowała maszyna.

Najnowsze regulacje nie wykluczają możliwości korzystania z pomocy sztucznej inteligencji. Na razie jednak to człowiek ma być głównym twórcą filmowego dzieła...

eprasa.pl 430f3f0d50

Rosja wraca na salony





Maciej Pieczyński

Wbrew pozorom miękka siła Moskwy jest o wiele bardziej skuteczna niż naga siła militarna. W sferze kultury i sportu Rosja przełamuje międzynarodową izolację. Jest coraz milej widziana nie tylko na azjatyckich czy afrykańskich salonach, lecz także na zachodnich

Ponad cztery lata po wybuchu wojny trudno wciąż udawać, że największe państwo świata nie ma temu światu do zaoferowania niczego poza agresją zbrojną czy wymachiwaniem atomową szabelką. Nawet Ukraińcy nie przestali oglądać rosyjskich seriali, słuchać rosyjskiej muzyki, nie zapomnieli też „języka okupanta". Według danych opublikowanych w listopadzie 2025 r. 6–7 proc. Ukraińców, którzy po inwazji przeszli na ukraiński, wróciło do rosyjskiego. Trudno zatem oczekiwać, by w krajach, które nie padły ofiarą pełnoskalowej agresji Moskwy, zapał do cancelowania wszystkiego, co kojarzy się z Putinem, był taki sam jak na początku wojny.

Biennale w Wenecji to jedna z najbardziej prestiżowych i najstarszych wystaw sztuki współczesnej na świecie. Rosja była na tym wydarzeniu nieobecna od momentu wybuchu wojny. W 2022 r. z udziału zrezygnowali sami rosyjscy artyści Kirił Sawczenkow i Aleksandra Suchariewa, a także litewski kurator rosyjskiego pawilonu Raimundas Malašauskas. Wszyscy troje nazwali wojnę „politycznie i emocjonalnie niemożliwą do zniesienia", oświadczając, że w warunkach konfliktu zbrojnego „nie ma miejsca na sztukę". Pawilon nie został otwarty. To zatem sami Rosjanie – a dokładniej artyści o antywojennych poglądach – wycofali się z udziału. Weneckie Biennale, jak sama nazwa wskazuje, odbywa się co dwa lata. Na potrzeby edycji 2024 Rosja użyczyła swojego pawilonu Boliwii, umacniając więzi polityczno-kulturalne z regionem Globalnego Południa.

Tegoroczne Biennale wystartowało 9 maja i potrwa do 22 listopada. Po raz pierwszy od inwazji na Ukrainę z ograniczonym, ale jednak udziałem Rosji. Informacja o tym, że Moskwa tym razem będzie miała swoją reprezentację w Wenecji, wywołała ogromne kontrowersje w świecie zachodnim, w tym w Polsce. Cały skład jury Biennale podał się do dymisji. Odwołano oficjalną inaugurację. Wcześniej Komisja Europejska zagroziła organizatorom, że wycofa 2 mln euro na finansowanie wydarzenia z powodu obecności Rosji. Bruksela zażądała

eprasa.pl 430f3f0d50



Rosyjski pawilon na tegorocznym Biennale w Wenecji był otwarty jedynie między 6 a 8 maja

FOT. SIMONE PADOVANI/GETTY IMAGES

wyjaśnień od włoskich władz. Według dziennika „La Repubblica" KE podejrzewa, że odpowiedzialna za organizację imprezy Fundacja Biennale mogła naruszyć obowiązujące sankcje unijne nałożone na Rosję oraz odnieść „faktyczną korzyść ekonomiczną" z wyrażenia zgody na otwarcie rosyjskiego pawilonu.

GŁOS Z PERYFERII

Organizatorzy częściowo ugięli się pod presją. Rosyjski pawilon był otwarty jedynie między 6 a 8 maja, czyli jeszcze przed oficjalnym rozpoczęciem Biennale. Nie został też udostępniony szerokiej publiczności, a jedynie osobom, które zdobyły specjalne zaproszenia. Zapis programu artystycznego, przygotowanego przez reprezentantów Rosji, będzie jednak dostępny w formie wideo dla gości Biennale. Program ten nosi tytuł „Drzewo zakorzenione w niebie". Jest to performance muzyczny z udziałem ok. 50 artystów nie tylko z Rosji, lecz także z Włoch, Argentyny, Brazylii, Meksyku czy Mali.

„Postanowiliśmy stworzyć projekt, w którym będzie słyszalna wielkojęzykowa polifonia kultur – kultur, które nie uznają swojego peryferyjnego położenia względem Zachodu" – komentował Michaił Szwydkoj, przedstawiciel prezydenta Rosji do spraw wymiany kulturalnej. „Drzewo zakorzenione w niebie" jest zatem kolejnym projektem moskiewskiego soft power, realizującym ideę, którą można nazwać „geopolitycznym pluralizmem". W XIX w. filozof Nikołaj Danilewski przekonywał, że cywilizacja zachodnia nie jest uniwersalnym wzorcem do naśladowania dla innych, a jedynie jednym z wielu równorzędnych typów kulturowo-historycznych, obok m.in. typu słowiańskiego, z Rosją na czele. Ideę odrębności Rosji od Zachodu rozwijali później eurazjaniści. Osobną cywilizację rosyjską definiowali jednak nie jako zjednoczenie Słowiańszczyzny, tylko jako oryginalną syntezę Europy i Azji.

Ta koncepcja w dużej mierze zdominowała współczesną kulturę i politykę Rosji, wobec konfliktu z Zachodem zwracającej się w stronę Wschodu oraz Globalnego Południa. Moskwa aspiruje do roli stolicy świata niezachodniego i antyzachodniego. W wymiarze politycznym trudno jej rywalizować ze Stanami Zjednoczonymi (i szeroko rozumianym „kolektywnym Zachodem") na równych prawach, jednak w wymiarze kulturowym jest dość skuteczna, o czym świadczy chociażby wznowienie konkursu Interwizji – niezachodniej alternatywy dla Eurowizji. Rosja jako patronka „wielogłosu kultur" jest atrakcyjna zarówno dla Wschodu i Południa, które dostrzegają w niej adwokata własnych kulturowych wpływów i przełamywania amerykańsko-rosyjskiej dominacji, jak i dla samego Zachodu, który przecież podatny jest na narrację ocierającą się o „multi-kulti".

Warto na marginesie dodać, że politycznym wymiarem tego „cywilizacyjnego pluralizmu", forsowanego przez Moskwę, jest idea „świata wielobiegunowego", od dawna postulowana przez Putina jako alternatywa dla „świata jednobiegunowego", sterowanego ręcznie przez gospodarza Białego Domu.

WYCHODZENIE Z CIENIA

Choć Rosja wróciła na weneckie salony w atmosferze skandalu, jedynie na chwilę i tylnymi drzwiami, to jednak nogę w tych drzwiach zostawiła. Wątpliwe, by w przyszłości się zatrzasnęły. Program „Drzewa zakorzenionego w niebie" osobiście akceptował, w imieniu Putina, Michaił Szwydkoj. Tak wynika z doniesień rosyjskojęzycznej redakcji Deutsche Welle. Szwydkoj wyszedł ze słusznego założenia, że otwarte szerzenie propagandy podczas światowej wystawy w Wenecji przyniosłoby Moskwie więcej szkody niż pożytku. Dlatego postawił na przekaz pozbawiony bezpośrednich odniesień do bieżącej sytuacji. Apolityczna, czysta sztuka może trafić na podatny grunt na zmęczonym wojną Zachodzie.

Szwydkoj ma sporo racji, gdy triumfalnie ogłasza, że nie powiodły się starania zachodnich rządów na rzecz cancelowania rosyjskiej kultury. Kultura ta wraca zresztą do łask dzięki staraniom nie tylko Kremla, lecz także antyputinowskiej rosyjskiej opozycji. Zachód z jednej strony potępia wojnę, z drugiej – nie wyobraża sobie świata bez niej. Czeka na powrót nie tylko do „biznesu jak zwykle", lecz także do „relacji kulturalnych jak zwykle". Stąd ogromna słabość do żyjących na emigracji rosyjskich opozycjonistów, którzy traktowani są jako nadzieja na przyszły reset.

Wystarczy spojrzeć na listę zdobywców najpopularniejszej nagrody filmowej na świecie, by zrozumieć, że w sferze kultury Moskwa ma wciąż więcej do powiedzenia niż Kijów. Po wybuchu pełnoskalowej wojny Rosja (antyputinowska, ale jednak) wygrywa na Oscary z Ukrainą 3:1. W samej tylko kategorii „najlepszy pełnometrażowy film dokumentalny" – 2:1. W 2024 r. statuetkę zdobył dokument „20 dni w Mariupolu" w reżyserii Mstysława Czernowa. Rok wcześniej kategorię wygrał „Nawalny" Daniela Rohera. Obraz amerykański, ale poświęcony rosyjskiemu opozycjoniście. W 2026 r. Oscara dostał film „Pan Nikt kontra Putin" – opowieść o rosyjskim nauczycielu Pawle Tałankinie, który nagrywał propagandę wojenną w szkole, po czym uciekł na Zachód i na bazie zebranych materiałów zmontował dokument wspólnie z reżyserem Dawidem Borensteinem. „Pan Nikt…" wygrał z ukraińskim dokumentem „2000 metrów do Andrijiwki". Historia „dobrego Rosjanina", walczącego ze złem putinizmu, jest

eprasa.pl 430f3f0d50

dla świata zachodniego bardziej atrakcyjna niż historia ukraińskich żołnierzy, walczących z Rosją na froncie. Do katalogu paradoksalnych i nieoczywistych sukcesów Moskwy można dopisać „Anorę", która w 2025 r. zdobyła aż pięć Oscarów – amerykańską komedię z udziałem rosyjskich aktorów, przedstawiającą trudny związek syna rosyjskiego oligarchy z amerykańską prostytutką. Rosja nie musi nawet sama kręcić filmów, żeby ocieplać swój wizerunek. Zachodni twórcy robią to za nią. Absurdem byłoby jednak oskarżać ich o świadome związki z Kremlem. Po prostu siła przyciągania kultury rosyjskiej i Rosji jako takiej – czy to kremlowskiej, czy to antykremlowskiej – jest tak wielka, że trudno się jej oprzeć. Bo też i po co się opierać? Izolacja Rosji końca wojny nie przyspieszy. A cancelowanie kultury tylko dodaje Moskwie argumentów w dyskusji o agresywnym Zachodzie. Ponadto cenzurowanie wszystkiego, co rosyjskie, sprawia, że może umknąć moment, gdy zatrze się granica między walką z despotyzmem a despotyzmem…

Rosja powoli odbudowuje również swoją pozycję w świecie sportu. Międzynarodowa izolacja została przełamana w marcu tego roku. Po raz pierwszy od 2014 r. rosyjscy sportowcy wystąpili w Zimowych Igrzyskach Paralimpijskich pod własną flagą, z hymnem i innymi symbolami narodowymi. Tu warto przypomnieć, że począwszy od 2016 r., powodem wykluczenia Rosji był skandal dopingowy. Inwazja na Ukrainę była dodatkowym argumentem na rzecz izolacji Moskwy. Rosyjscy sportowcy dopuszczani byli do udziału w kolejnych imprezach, ale pod neutralną flagą. Aż do tego roku. Na razie z wykluczania Rosji zrezygnował Międzynarodowy Komitet Paralimpijski. Przed igrzyskami pojawiły się obawy, że Moskwę reprezentować będą weterani wojny z Ukrainą. Obawy te nie były pozbawione podstaw. Rosyjski Komitet Paralimpijski jest powiązany z armią. Żołnierze, którzy stracili kończyny na froncie, byli zachęcani do podjęcia kariery sportowej. Ostatecznie żaden z nich nie reprezentował Rosji. Niewykluczone jednak, że wystartują w kolejnych igrzyskach. Ostatecznie rosyjscy paraolimpijczycy zdobyli 12 medali, w tym osiem złotych, zajmując trzecie miejsce w klasyfikacji turnieju.

Ośmiokrotnie na jednej z większych imprez sportowych na świecie odegrany został hymn państwa agresora. Jedną ze złotych medalistek była narciarka alpejska Warwara Woronczichina, która kwietniu 2022 r. otrzymała nagrodę państwową i wygłosiła przemówienie, w którym wprost podziękowała Władimirowi Putinowi za to, że „nie zostawił sportowców w trudnej chwili i nie pozwolił im zwątpić w sens trenowania po zakazie startu w igrzyskach paralimpijskich Pekinie".

Rosja powoli odbudowuje również swoją pozycję w świecie sportu.
Międzynarodowa izolacja została przełamana w marcu tego roku

Ukraińcy protestowali przeciwko udziałowi Rosjan w turnieju, ale bezskutecznie. Oskarżyli IPC, czyli Międzynarodowy Komitet Paralimpijski, o dyskryminację. Miała ona polegać na faworyzowaniu Rosjan i Białorusinów (którzy również zostali dopuszczeni do startu). „Rozumiemy sytuację, w której znajduje się naród ukraiński. Ta sympatia nie rozciąga się na przyzwolenie Ukraińskiemu Komitetowi Paralimpijskiemu na naruszenie zasad igrzysk" – taka była odpowiedź IPC. Wpisuje się ona w coraz bardziej powszechne na Zachodzie zmęczenie roszczeniami Kijowa. Skuteczność szantażu moralnego jest coraz słabsza. Świat próbuje wrócić do przedwojennej normalności i przestaje reagować na protesty Ukrainy.

Paralimpiada to najpoważniejsza, ale też jedna z wielu imprez sportowych, na które Rosja wróciła. W lutym 2025 r. reprezentacja tego kraju otrzymała zaproszenie od Międzynarodowej Federacji Kulturystyki i Fitnessu (IFBB) do udziału w mistrzostwach Europy. Już rok wcześniej IFBB przywróciła Rosji i Białorusi prawo startu w imprezach rangi mistrzowskiej z narodową symboliką. Analogiczną decyzję w 2025 r. podjęła Światowa Federacja Kickboxingu (WKF). Od 27 listopada 2025 r. Rosjanie mogą oficjalnie reprezentować swój kraj (z uwzględnieniem narodowych barw i hymnu państwowego) podczas zawodów organizowanych przez Światową Federację Judo (IJF). Sportowcy nie powinni ponosić odpowiedzialności za politykę swojego kraju, a udział rosyjskich judoków tylko wzbogaci tę dyscyplinę – tak mniej więcej brzmiało wyjaśnienie decyzji ze strony IJF.

Rosyjscy sportowcy znów są mile widziani również na turniejach odbywających się pod szyldami m.in. World Aquatics (sporty wodne), Międzynarodowej Federacji Sportów Konnych czy Europejskiego Związku Gimnastycznego. Co prawda, bez narodowej symboliki, ale jednak jako reprezentanci swojego kraju. Rosjanie wciąż nie mają wstępu na salony najpopularniejszego sportu na świecie. Takie zasłużone kluby jak CSKA Moskwa czy Zenit Sankt-Petersburg nie mają szans na występ w Lidze Mistrzów, a reprezentanci kraju mogą tylko pomarzyć o takich przygodach jak pokonanie Hiszpanii w jednej ósmej mundialu w 2018 r., kiedy to Rosja była gospodarzem turnieju. Pomarzyć mogą nie tylko z uwagi na poziom sportowy, lecz także z powodu podejścia władz federacji. „Sborna" gra mecze towarzyskie z takimi reprezentacjami jak: Białoruś, Mali, Egipt, Nikaragua, Iran, Irak czy (to akurat solidny poziom) Chile. Z europejskich drużyn godzi się z nią zagrać Serbia. Zatem w piłkarskim świecie „przyjaciół" Moskwa ma takich jak w polityce – Globalne Południe i Azja.

ROSJA TRZYMA SIĘ MOCNO

Izolacja Rosji w sferze kultury i sportu jest zatem przeszłością. Do tego wszystkiego można dodać jeszcze odwieczny temat „wielkiej literatury rosyjskiej", która pomimo wojny wciąż jest czytana na świecie. Wojna przeminie, a sława Dostojewskiego, Tołstoja czy Czechowa pozostanie. Z-pisarze, wychwalający „specoperację", próby czasu zapewne nie przetrwają. Jednak opozycyjni twórcy, przebywający na Zachodzie, tacy jak Akunin czy Głuchowski, wciąż będą namiętnie czytani. Na pewno chętniej niż ich ukraińscy koledzy po fachu. I znowu – Rosja, czy to opozycyjna, czy to kremlowska, wciąż trzyma się mocno. I scancelować jej nie sposób.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 430f3f0d50



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Zlikwidujmy TK

Rządzący Polską od przeszło 10 lat politycy ponad wszelką wątpliwość dowiedli – i to po wielokroć – że Trybunał Konstytucyjny jest naszemu państwu potrzebny mniej więcej w takim samym stopniu, jak piąte koło u wozu – nie tyle nie pomaga, ile wręcz szkodzi.

Nasz TK w gruncie rzeczy nie jest uznawany przez główne siły polityczne (to przez PO/KO, to przez PiS) już od 2015 r., kiedy swoich sędziów dublerów wybrały najpierw Platforma, a potem PiS. Zwieńczeniem tego obsadowego cyrku było ostatnie, kuriozalne, niezgodne z konstytucją „odebranie przysięgi" od wybranych przez dziś rządzącą koalicję kandydatów na sędziów przez marszałka Sejmu, w sytuacji gdy nie przyjął jej do tej pory od czworga spośród sześciorga z nich prezydent Nawrocki. A poza tym od dwóch lat premier Tusk nie publikuje orzeczeń TK zdominowanego przez „sędziów PiS" i ich „nie uznaje" – podobnie jak premier Szydło robiła z orzeczeniami TK zdominowanego wtedy przez „sędziów PO".

Po co nam więc taki zawalidroga, którego utrzymanie kosztuje nas co roku grubo ponad 60 mln zł, a który przysparza nam samych kłopotów? I który w dodatku niewiele robi, bo o ile do 2015 r. TK wydawał co roku po ponad 50 wyroków, o tyle potem było ich już znacznie mniej, np. w 2021 r. – 19, w 2022 r. – 14, a w 2023 – 35.

Powtarzam: Po co nam ten cały bałagan, zwany Trybunałem Konstytucyjnym? Tym bardziej że aby się go pozbyć, wystarczy przyjąć rozwiązanie holenderskie – i będzie po sprawie. Tak, tak, chodzi o tę samą Holandię, która jest dumnym członkiem UE oraz ojczyzną Fransa Timmermansa, który ongiś, jako wiceszef Komisji Europejskiej, z pouczania władz Polski (tych z PiS, rzecz jasna) – pouczania o niesłychanej wadze i wprost fundamentalnej roli Trybunału Konstytucyjnego, jako niezbędnego elementu każdego państwa demokratycznego – uczynił sobie poręczną, antypolską pałkę.

A przecież to właśnie Holandia – jak podaje ta mądrala AI – „nie posiada odrębnego sądu konstytucyjnego (trybunału), który zajmowałby się kontrolą konstytucyjności ustaw. Albowiem zgodnie z art. 120 Konstytucji Niderlandów sędziowie nie mogą badać zgodności ustaw (aktów parlamentu) z konstytucją. Kontrola ta jest tradycyjnie zakazana, co wynika z zasady suwerenności parlamentu". Ale przecież odrębnych sądów konstytucyjnych nie ma także w wielu innych państwach, w tym m.in. w USA, Wielkiej Brytanii, Kanadzie, Australii, Japonii, Argentynie, Irlandii itd., itp.

A zatem – zróbmy to i my. I formalnie usuńmy z polskiego krajobrazu politycznego nasz całkowicie dysfunkcjonalny TK, którego w istocie i tak już nie ma. ©℗



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Podatek od smartfona jak ośmiorniczki

Dla władzy najniebezpieczniejsze są sprawy, które bezpośrednio dotykają ludzi, są proste do wyjaśnienia i mają konkretne skutki. Tak jest z fatalnie działającym systemem robienia z Polaków śmieciarzy, dla niepoznaki zwanym system kaucyjnym. I tak może się stać z „podatkiem od smartfonów", czyli zmienioną rozporządzeniem przez minister kultury Martę Cienkowską opłatą reprograficzną.

Ta ostatnia miała być przepchnięta po cichutku, ale to się nie udało. Zrobił się szum, a ludzie dostali jasny komunikat, który daje się sprowadzić do prostego obrazka: ja zapłacę więcej za smartfon, tablet czy telewizor, żeby kasę mógł dostać Jaś Kapela, prymitywny chamuś, wspierany publicznymi pieniędzmi, patocelebryta występujący we freak fightach.

Sytuację próbuje ratować pani minister, ale robi to tak, jakby uważała, że wszyscy odbiorcy to kompletni idioci. Na X pisze: „1. Kto będzie objęty opłatą reprograficzną? Korporacje. 2. Kto nie będzie? Obywatele. Odbiorcy kultury. 3. To pieniądze, jakie już dawno powinny były trafiać na konta polskich twórców za kopiowanie ich pracy". Co zdanie, to bzdura.

Opłatę odprowadzać mają producenci i – to ważne – importerzy. Także ci mali, dla których będzie to obciążenie. Najmniej obciążone będą zaś właśnie korporacje, które mają tzw. efekty skali. Jeśli zatem w kogoś ta opłata uderzy, to w małych polskich przedsiębiorców, nie w Samsunga czy Xiaomi. A finalnie – to podstawowa zasada ekonomii – i tak zapłacą kupujący.

Narracja o korporacjach brzmi atrakcyjnie, ale chętnie dowiedziałbym się, jakie to korporacje produkują papier A4 (opłata w wysokości 0,75 proc.) czy płyty DVD (aż 2 proc.). Podobnie jak chciałbym zobaczyć dowody i badania wskazujące, że kopiowanie treści odbywa się obecnie na tak masową skalę jak w połowie lat 90., gdy uchwalano ustawę o prawie autorskim i prawach pokrewnych, która zawierała przepis o opłacie reprograficznej.

Pamiętne ośmiorniczki, do dzisiaj symbol zgniłej elity władzy III RP oraz nagrań z restauracji Sowa i Przyjaciele, powinny stanowić dla polityków memento, jak łatwo i niemal znikąd może się pojawić niszczący dla danej władzy symbol. Oby „podatek od smartfona na rzecz Jasia Kapeli" stał się ośmiorniczkami tej władzy. ©℗

eprasa.pl 430f3f0d50



Z Kacprem Zagałą i Benedyktem Kozickim, ekspertami do spraw kryptowalut z Uniwersytu Ekonomicznego w Katowicach
rozmawia Radosław Wojtas

Klucz do kryptowalut

FOT. ADOBE STOCK

RADOSŁAW WOJTAS: Pierwszą transakcję w realnym świecie z użyciem bitcoina wykonano w maju 2010 r. Programista z Florydy zapłacił za dwie pizze 10 tys. bitcoinów. Wtedy były one warte ok. 40 dol. Dzisiaj – grubo ponad 800 mln dol. Co napędziło kurs do tak niebotycznych rozmiarów?

BENEDYKT KOZICKI: Trudno wskazać jedną przyczynę, ale fundament jest prosty, czysto ekonomiczny – popyt na to aktywo. Bitcoin ma ściśle ograniczoną podaż. W jego kodzie zapisano, że nigdy nie powstanie więcej niż 21 mln jednostek. Nowych bitcoinów przybywa coraz wolniej, a ok. roku 2140 przestaną powstawać całkowicie. To kluczowe: jest on dobrem rzadkim, a co za tym idzie, jest dezinflacyjny. Ludzie chcieli go kupować i to pchało cenę w górę.

Motywacje do zakupu bywają skrajnie różne. Tradycyjne aktywa, takie jak złoto, są dla inwestorów czytelne: od setek, a wręcz tysięcy lat mają określoną wartość, dają stabilność. Z bitcoinem jest inaczej – każda osoba może w nim widzieć coś innego. Dla jednych to narzędzie do czystej spekulacji, szansa na szybki zarobek, ze świadomością, że wciąż są to instrumenty wiążące się z olbrzymim ryzykiem. Z kolei dla innych, zwłaszcza w państwach z niestabilną, podatną na ogromną inflację walutą fiducjarną, bitcoin stał się bezpieczną przystanią. Ludzie uciekają do niego przed utratą siły nabywczej swoich pieniędzy. Jest jeszcze aspekt czysto logistyczny. Bitcoin to wyjątkowo łatwy w przechowywaniu magazyn wartości. Kryptowaluty nie mają fizycznej reprezentacji, wartość rzędu miliardów dolarów można przewieźć na małym, sprzętowym portfelu wyglądającym jak pendrive, a do tego można ją przesłać przez Internet w dowolne miejsce na świecie w kilka chwil.

KACPER ZAGAŁA: Należy dodać, że bitcoin wyraźnie różni się od tysięcy innych kryptowalut i technologicznych nowinek opartych na technologii blockchain. On daje największe w tym środowisku poczucie bezpieczeństwa. Ludzie inwestowali w niego z różnych pobudek, czasami traktując go po prostu jak ciekawostkę. W historii nie brakowało spektakularnych baniek finansowych, w które tłumy chętnie się angażowały. Jednak to, że kryptowaluty zyskały na znaczeniu w dobie galopującego postępu technologicznego, nie powinno w ujęciu ogólnym specjalnie dziwić.

eprasa.pl 430f3f0d50

R.W.: Czym są kryptowaluty? Jaka idea stała za ich stworzeniem i czy są one dzisiaj tym, czym miały się stać?

K.Z.: Fundamentem jest technologia blockchain, czyli łańcuch bloków. W dużym skrócie: wszelkie działania i transakcje zapisywane w tej sieci zawierają informacje nie tylko o swoim własnym stanie, lecz także odwołują się do wszystkich poprzednich operacji. Daje to możliwość prześledzenia pełnej historii i zapewnia transparentność. Pierwotnym celem było odejście od scentralizowanej kontroli finansowej. Chciano wyeliminować pośredników – głównie wielkie banki i instytucje państwowe, a w przypadku bardziej skomplikowanych kontraktów nawet notariuszy. Kryptowaluty miały dawać własność całkowitą. Ktoś, kto dysponuje prywatnym kluczem dostępowym, jest pełnoprawnym właścicielem swoich środków. Nie potrzebujemy instytucji zaufania publicznego, by te środki wymieniać.

B.K.: Musimy rozgraniczyć to, po co bitcoin powstał, od tego, gdzie z nim jesteśmy dzisiaj. Przypomnijmy: rok 2008, potężny kryzys bankowy, upadek Lehman Brothers. Bitcoin rodzi się jako alternatywa. Ale to był też moment, w którym prężnie rozwijał się Internet. Świat wirtualny miał już swoją pocztę, miał swoje odpowiedniki kina w postaci YouTube, miał swój telefon – Skype. Ostatnim bastionem pozostawał niezależny pieniądz. Internetowa bankowość istniała, owszem, ale opierała się na starej, skostniałej, tradycyjnej infrastrukturze ubranej jedynie w cyfrowe szaty. Bitcoin został pomyślany jako pierwsza, całkowicie oderwana od świata rzeczywistego „gotówka Internetu".

Dziś sytuacja wygląda inaczej. Bitcoin wyewoluował w stronę wspomnianego cyfrowego złota. Do codziennych płatności w obecnej formie się nie sprawdza, choć wokół niego powstał cały ekosystem innych kryptowalut próbujących tę lukę wypełnić. Większość tego rynku to jednak dzisiaj po prostu czysta spekulacja.

R.W.: Wizja zrewolucjonizowania płatności za bułki w piekarni rozminęła się z rzeczywistością.

B.K.: W aktualnej formie bitcoin nie nadaje się do codziennych płatności. Czy pierwotna wizja twórców się spełniła? Zdecydowanie nie. Trudno wyobrazić sobie sytuację, w której spaceruję do piekarni po cztery bułki i nagle w połowie drogi dowiaduję się z wahań kursu, że wystarczy mi ledwie na trzy albo... że stać mnie na wykupienie całej piekarni. Ale wizja niezależnego „skarbca", do którego żadna władza ani nadzorca nie mają dostępu, zrealizowała się świetnie. Branża kryptowalut – jak każda inna – po prostu dostosowała się do realiów, weryfikując po drodze swoje wzniosłe ideały. Uważam, że samo przetrwanie bitcoina na tak burzliwym rynku to już jest realizacja planu jego twórcy.

R.W.: Fizycznie kryptowaluty nie istnieją. Niektórzy przechowują klucze na własnych nośnikach, inni powierzają swoje fundusze wirtualnym giełdom, a potem z niedowierzaniem czytają o kolejnych spektakularnych upadkach i utracie oszczędności życia. Jak właściwie działa to w praktyce?

B.K.: Najprostszą analogią, by to zrozumieć, jest globalny, zdecentralizowany dysk, coś w rodzaju „rozproszonego dysku Google" czy gigantycznego arkusza Excel. Sieć kryptowalut to system utrzymywany przez niezależnych „górników", użyczających mocy swoich wyspecjalizowanych komputerów. Każdy z tych górników, każdy węzeł w tej sieci przechowuje idealną kopię całej historii operacji. Nie ma tam pojedynczego serwera, do którego włamanie załatwiłoby sprawę. Wracając do porównania do Excela – zapisane jest w nim publicznie, z jakiego portfela gdzie powędrowały środki. Jeśli ktoś spróbuje dopisać sobie zera na koncie w swojej kopii, to system natychmiast zobaczy, że u niego jest wersja „A", a na milionach innych komputerów wersja „B", i to odrzuci.

Żeby mieć dostęp do swoich środków na tym „globalnym dysku", trzeba posiadać specjalne hasło – klucz prywatny. W przypadku kryptowalut jest to tzw. seed phrase, czyli ciąg 12 lub 24 losowo wygenerowanych angielskich słów. Odtworzenie tego na chybił, trafił jest z punktu widzenia dzisiejszej matematyki i kryptografii absolutnie niemożliwe.

I tu dochodzimy do bezpieczeństwa. Mamy portfele zimne, czyli urządzenia sprzętowe wyglądające jak pendrive'y, które ten klucz generują i chronią w odcięciu od sieci. Wtedy jesteśmy jedynymi właścicielami własnych monet. Drugą skrajnością są giełdy, czyli scentralizowani pośrednicy. Otwierając konto na takiej giełdzie, to my dajemy jej nasze pieniądze w złotówkach czy dolarach w zamian za kryptowaluty, ale klucze do tych kryptowalut ma tylko ta giełda. Zasada w tym środowisku jest brutalna: „Nie twoje klucze, nie twoje kryptowaluty". Bitcoin powstał po to, żeby nie musieć nikomu ufać. Trzymając go na giełdzie – znów komuś ufamy.

K.Z.: Portfele sprzętowe są najmniej wygodne w codziennym użytkowaniu, ale są najbezpieczniejsze. Giełdy są wygodniejsze i szybsze, ale drastycznie obniżają poziom bezpieczeństwa. Nasze środki leżą na cudzych serwerach, pod cudzym kluczem. Oddajemy kontrolę w ręce instytucji i pozostaje nam tylko nadzieja, że gdy przyjdziemy po swoje pieniądze, ta instytucja wciąż będzie wypłacalna.

R.W.: Brzmi to jak raj dla przestępców. Nie muszę ładować walizek gotówką, po prostu przepisuję 24 słowa, znikam i nikt nie jest w stanie mnie namierzyć, zablokować mi konta ani zamrozić przelewu.

B.K.: Wbrew powszechnemu wyobrażeniu gotówka w walizkach nadal zdecydowanie tu wygrywa. Oczywiście na pierwszy rzut oka bitcoin wydaje się idealnym narzędziem dla szemranych interesów, ale posiada fatalną z punktu widzenia przestępców cechę – pseudonimowość. System jest całkowicie publiczny. Widzimy każdy przepływ środków z adresu na adres, od momentu powstania sieci. Pomyślmy o tym, jak o jawnym systemie bankowym, w którym widzimy numery wszystkich rachunków i transakcje co do grosza, brakuje tylko imion i nazwisk przypisanych do numeru.

Istnieją już wyspecjalizowane podmioty analityczne i służby, które badając transakcje i punkty styku ze światem rzeczywistym, potrafią precyzyjnie odtwarzać powiązania przestępcze w sieci blockchain. Kryptowalut w cyfrowym sejfie nikt nie ruszy, ale rodzi się gigantyczny szkopuł na końcu drogi: przestępca musi skorzystać z giełdy czy pośrednika wymieniającego kryptowaluty na dolary. Pozostawia tam permanentny ślad.

R.W.: Twórca lub twórcy bitcoina, używający pseudonimu Satoshi Nakamoto, przez lata pozostają anonimowi.

eprasa.pl 430f3f0d50

B.K.: Sprawa Satoshiego Nakamoto to prawdopodobnie największa nierozwiązana zagadka cyfrowej przestrzeni XXI w. Nie wiemy, czy to genialny matematyk, organizacja, powiązane z rządami służby czy zdolna programistka. Twórca bitcoina po prostu zapoczątkował ruch, doglądał swojego dzieła przez prawie dwa lata, a pod koniec 2010 r. zapadł się pod ziemię. Zostawił pożegnalną wiadomość, że „bitcoin jest w dobrych rękach", po czym zamilkł i milczy do dziś. A stworzony przez niego protokół, oparty wyłącznie na matematyce, od 16 lat działa samopas bez ani jednej poważnej awarii. To jest dowód niezwykłego kunsztu projektowego.

Satoshi na początku funkcjonowania sieci wykopał ponad milion bitcoinów. Leżą one na znanych powszechnie portfelach. Dziś ich wartość przekracza 100 mld dol. I od tamtego czasu nie drgnął stamtąd nawet ułamek bitcoina. O jego determinacji w zachowaniu anonimowości świadczy chociażby to, że podczas aktywności na forach publikował posty w różnych porach doby, by ukryć strefę czasową, i pisał pozbawioną stylu, niezwykle „suchą" i zachowawczą angielszczyzną.

Dla samego bitcoina całkowita nieobecność twórcy jest jego największą zaletą – nikogo nie da się złapać za rękę, na nikim nie można wymusić zmian, nikt nie zepsuje wizerunku. Gdyby kiedyś Nakamoto postanowił sprzedać swój milion bitcoinów, uderzyłoby to potężnie w cenę rynkową ze względu na nagłą podaż.

R.W.: Ile rodzajów kryptowalut mamy dzisiaj na rynku i jak to się dzieje, że niektóre rosną do wycen miliardowych, a inne wyparowują wraz z oszczędnościami klientów?

B.K.: Dzisiaj napisanie własnej kryptowaluty zajmuje pięć minut i nie wymaga nawet znajomości zaawansowanego programowania. Są do tego kreatory – wpisuje pan nazwę w formularzu internetowym, dodaje obrazek, suwakiem ustala, ile jednostek chce wyemitować – i gotowe. Właśnie stworzyliśmy pozbawioną jakiejkolwiek realnej wartości, pustą kryptowalutę. Liczba tych tworów idzie w dziesiątki tysięcy, trudno to zliczyć. Tych naprawdę liczących się, które posiadają za sobą użyteczność, kapitalizację i fundamenty – z ethereum i bitcoinem na czele – jest może kilkadziesiąt. Reszta to wydmuszki. Kawałki kodu, których jedynym sensem jest znalezienie osoby chętnej do ich kupna.

K.Z.: Internet wręcz zalała rzeka tzw. memecoinów. To instrumenty, oparte np. na internetowych dowcipach, wizerunkach uroczych zwierzątek czy internetowych memach. Ktoś znany – celebryta czy internetowy twórca – na fali rozgłosu, często jakiegoś skandalu, wypuszcza swojego własnego, bezwartościowego coina. Rozkręca potężną, agresywną kampanię promocyjną. Jego fani, nakręceni chęcią szybkiego zarobku, kupują tę kryptowalutę na wczesnym etapie, pompując jej cenę. Kiedy cena osiąga irracjonalny poziom, sam twórca wyprzedaje całe swoje zasoby, a reszta ludzi zostaje z bezwartościowymi kryptowalutami.

R.W.: Wyciąganie pieniędzy to jedno, ale rynek na bieżąco dostarcza spektakularnych upadków całych organizacji. Były grube afery, jak chociażby ostatnia związana z Zondacrypto.

B.K.: Branża jest młoda, rozgrzana i pełna ludzkiej chciwości. Byliśmy świadkami szokującego bankructwa projektu Luna, co zresztą niezwykle boleśnie uderzyło w polski rynek, bo dużo Polaków straciło wówczas oszczędności. Pamiętamy też wielomiliardowy krach potężnej giełdy FTX, prowadzonej przez Sama Bankmana-Frieda, a także upadek Celsiusa. No i sprawa najbardziej nam bliska, krajowa – afera giełdy Zondacrypto. Tu też wszystko wskazuje na to, że możemy mieć do czynienia z niewypłacalnością podmiotu, który przecież był gigantem w polskim ekosystemie.

Te wszystkie krachy i wielomiliardowe kradzieże, które opisywały gazety na pierwszych stronach, to w przeważającej większości klasyczne afery finansowe. Tu nie zawiodła technologia, łańcuch bloków się nie rozsypał ani nie pomylił, nikt nie „złamał" kodu kryptowalut. Powodem strat tysięcy Polaków na Zondzie czy Amerykanów na FTX było zarządzanie firmami przez nieodpowiedzialnych prezesów. Gdyby ci sami „menedżerowie" otworzyli giełdy zbożowe albo kantory z kruszcami, a potem wyciągali bocznymi drzwiami pieniądze klientów, by łatać własne straty w nietrafionych inwestycjach, efekt byłby identyczny.

R.W.: Kryptowaluty nie przyniosły rewolucji, którą miały przynieść, ale dały przełom w technologii blockchain. Do czego może nam się dziś ta technologia przydać?

K.Z.: Sam blockchain staje się rewolucją dla systemów społecznych i organizacyjnych. Jakiś czas temu na Uniwersytecie Śląskim zorganizowano hackathon ETHSilesia, we współpracy z organizacjami biznesowymi, naukowymi oraz lokalnymi uniwersytetami. Młodzi innowatorzy udowadniali na nim, że rozproszone rejestry w kilka, kilkadziesiąt godzin mogą zostać przeprogramowane na użyteczne społecznie projekty. Kilka przykładów to: systemy biletowe oparte na łańcuchu bloków, aplikacje do przechowywania i weryfikowania skomplikowanych dokumentów prawniczych czy usprawnienie procesu zarządzania strefami parkowania w centrach wielkich miast. Przyszłością nie są tysiące podejrzanych kryptowalut z psami na awatarach. Hype na memecoiny minie, tak jak mija każda bańka spekulacyjna. To, co zostanie, to technologia – tak jak po bańce internetowej z lat 90. zostały Google, Amazon i Facebook. Blockchain może stać się globalnym, niepodważalnym rejestrem dla finansów, tożsamości cyfrowej, rejestrów gruntów czy łańcuchów dostaw – wszędzie tam, gdzie dziś potrzebujemy pośrednika.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



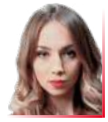
Kacper Zagała *– asystent w Katedrze Informatyki na Uniwersytecie Ekonomicznym w Katowicach. Opiekun dwóch kół naukowych związanych z tematyką gier i e-sportu oraz łańcucha bloków i kryptowalut. W pracy naukowej zajmuje się nowymi technologiami, ich wpływem na biznes oraz sport, grami i graczami oraz blockchainem.*



Benedykt Kozicki *– student Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach, z sześcioletnim doświadczeniem w branży kryptowalut. Założyciel Koła Naukowego Kryptowalut i Blockchaina „Klub 256" oraz aktywny prelegent na polskiej scenie kryptowalutowej.*

eprasa.pl 430f3f0d50

Made in Vietnam



Maria Kądzielska-Koper

Kraj, do niedawna kojarzony głównie z produkcją tanich ubrań, dziś jest jednym z głównych beneficjentów globalnych przemian gospodarczych. Coraz więcej światowych koncernów, takich jak Samsung, Apple czy Nike, przenosi swoje fabryki z Chin właśnie nad rzekę Sajgon

W światowej gospodarce coraz częściej pojawia się etykieta „Made in Vietnam". Jeszcze 40 lat temu Wietnam należał do grona najuboższych państw świata, lecz od czasu Đổi Mới – reform z lat 80. – kraj zaczął przeobrażać się w jeden z najbardziej dynamicznych rynków Azji. Od 2000 r. wietnamskie PKB rosło średnio o ok. 6,2 proc. rocznie, ustępując w Azji jedynie Chinom. Efekty widać gołym okiem: Hồ Chí Minh City (dawny Sajgon) i Hanoi tętnią życiem, a napis „Made in Vietnam" widnieje na produktach, od butów sportowych po smartfony, symbolizując narodziny nowego azjatyckiego tygrysa.

OD BUTÓW PO ELEKTRONIKĘ

Przez lata Wietnam przyciągał inwestorów zagranicznych niskimi kosztami pracy i tanią siłą roboczą. Początkowo do kraju ściągały firmy odzieżowe i obuwnicze. Nike pojawił się w Wietnamie już w 1995 r. W ślad za nim Adidas, Puma i inni zaczęli przenosić nad rzekę Sajgon produkcję prostych wyrobów tekstylnych. Jednak na tym się nie skończyło. W ciągu ostatniej dekady nastąpił boom elektroniki – dziś na zlecenie globalnych gigantów Wietnam montuje smartfony, komputery i inne zaawansowane urządzenia. Dla porównania: w 2010 r. wyroby elektroniczne stanowiły zaledwie 14 proc. eksportu Wietnamu, a w 2020 r. już 38 proc. To oznacza przejście od „fabryki T-shirtów" do centrum produkcji elektroniki, co naturalnie przekłada się na lepiej płatne miejsca pracy dla bardziej wykwalifikowanych pracowników.

Ten zwrot ku elektronice napędzają inwestycje największych światowych graczy. Samsung, który jeszcze dekadę temu był obecny głównie w Chinach, dziś produkuje w Wietnamie ok. 60 proc. swoich smartfonów (ok. 132 mln sztuk rocznie). Niewielu użytkowników zdaje sobie sprawę, że już w 2019 r. Samsung zamknął swoją ostatnią fabrykę telefonów w chińskim Huizhou, przenosząc główną produkcję do nowych kompleksów w Bac Ninh i Thai Nguyen na północy Wietnamu. Efekt? Wartość eksportu Samsunga z Wietnamu sięga dziesiątek miliardów dolarów rocznie – szacuje się, że firma odpowiada za ok. jednej czwartej eksportu kraju. Podobną drogą poszedł przemysł obuwniczy: Nike w 2024 r. produkował aż 50 proc. swoich butów sportowych właśnie w Wietnamie, czyniąc z tego kraju swój największy hub wytwórczy. Również Adidas ograniczył bazę w Chinach. Obecnie ok. 50 proc. obuwia marki Adidas powstaje w wietnamskich fabrykach. Takie statystyki wyraźnie wskazują, że globalne koncerny coraz śmielej stawiają na Hanoi kosztem Pekinu.

Przyczyn masowej relokacji produkcji z Chin do Wietnamu jest kilka. Po pierwsze, rosnące koszty pracy i starzenie się chińskiej siły roboczej sprawiają, że Chiny stopniowo tracą przewagi kosztowe. Po drugie, wojna handlowa USA – Chiny i związane z nią cła skłoniły firmy do dywersyfikacji łańcuchów dostaw (tzw. strategia China plus one, gdzie tym „+1" często bywa Wietnam). Wreszcie pandemia COVID-19, która uwydatniła ryzyko nadmiernego uzależnienia od jednego kraju. Wietnam, graniczący z Chinami, wykorzystał ten moment, pozostając politycznie stabilnym i otwartym na inwestorów z Zachodu.

Lista globalnych marek przenoszących produkcję do Wietnamu rośnie z roku na rok. Apple zleca wietnamskim zakładom montaż słuchawek AirPods, a według doniesień jej kluczowi podwykonawcy – Foxconn i Pegatron – budują w Wietnamie ogromne fabryki urządzeń Apple (m.in. zegarków Apple Watch i laptopów MacBook). Jak donosi Reuters, wymienieni kontrahenci planują zatrudniać dziesiątki tysięcy nowych pracowników, dołączając do grona największych pracodawców w kraju. Również Dell i HP przeniosły montaż części laptopów z Chin do Wietnamu, Google ulokował tu produkcję telefonów Pixel, a Microsoft – konsol Xbox. To nie tylko pojedyncze decyzje, lecz także szeroki trend. Według „The Economist" kolejne sektory od elektroniki konsumenckiej po sprzęt AGD testują przeniesienie produkcji nad rzekę Sajgon.

eprasa.pl 430f3f0d50



Fabryka Samsunga w prowincji Thái Nguyên FOT. THINH NGUYEN/REUTERS/FORUM

Wiele z tych ruchów miało konkretne daty i etapy. Przykładowo: Microsoft już w 2020 r. zaczął montaż urządzeń Surface właśnie w Wietnamie, a Google w 2019 r. przeniósł tu część produkcji Pixel z Chin (planował nawet docelowo całość nowych modeli wytwarzać poza Chinami). Nintendo i wytwórcy elektroniki użytkowej także skierowali się do południowo-wschodniej Azji w obliczu zagrożenia dużymi cłami. Z kolei Apple w 2023 r., doświadczając lockdownów w Chinach, pierwszy raz uruchomił produkcję tabletów iPad w Wietnamie. Takich przykładów jest mnóstwo, a wszystkie wpisują się w jedną historię: Wietnam wyrasta na ważne ogniwo globalnych łańcuchów dostaw kosztem dawnej dominacji Chin.

BOOM INWESTYCYJNY I WZROST W LICZBACH

Napływ zagranicznych firm pociąga za sobą imponujące zmiany makroekonomiczne. W 2023 r., na fali powyższych trendów, bezpośrednie inwestycje zagraniczne (FDI) w Wietnamie osiągnęły rekordowy poziom ok. 36,6 mld dol., co oznaczało wzrost o 32 proc. rok do roku. Wietnam stał się jednym z głównych beneficjentów globalnej reorientacji produkcji – komentował „Bloomberg". Co istotne, inwestorów nie odstraszyły nawet wewnętrzne zawirowania polityczne w Hanoi, którzy zachowali wiarę, że prorynkowy kurs kraju się utrzyma. W pierwszych miesiącach 2024 r. wartość uruchomionych projektów zagranicznych dalej rosła, a rząd dąży do utrzymania tempa wzrostu PKB powyżej 6 proc. rocznie.

Same wskaźniki gospodarcze Wietnamu potwierdzają jego niezwykły rozwój. Jeszcze w latach 80. PKB na mieszkańca wynosiło poniżej 300 dol., a ponad 70 proc. Wietnamczyków żyło w ubóstwie. Dziś PKB per capita przekracza 2,8 tys. dol., a odsetek ludzi żyjących za mniej niż 3,65 dol. dziennie spadł poniżej 4 proc. W 2022 r., pomimo pandemii, gospodarka urosła o ok. 8 proc., a nawet w trudnym 2023 r. zanotowała ok. 5 proc. wzrostu. Bank Światowy prognozuje, że w roku 2025 wzrost ponownie przyspieszy do ok. 6,5 proc. rocznie. Eksport – motor napędowy tej gospodarki – notuje dwucyfrowe wzrosty; w 2025 r. ma zwiększyć się o kolejne kilkanaście procent. Rząd w Hanoi nie ukrywa swoich wielkich ambicji: do 2045 r. chce uczynić z Wietnamu kraj wysokorozwinięty, z dochodem na głowę ponad 18 tys. dol. To bardzo śmiały cel, ale biorąc pod uwagę dotychczasową transformację, wydaje się on w zasięgu ręki.

Warto podkreślić, że Wietnam ma kilka atutów strukturalnych, które wspierają ten boom. To ponad 100-milionowa populacja, w większości młoda – społeczeństwo pozostanie w fazie wzrostu (Wietnam nigdy nie wprowadził takich ograniczeń jak polityka jednego dziecka). Kraj posiada korzystne położenie geograficzne: ponad 3000 km wybrzeża i bliskość kluczowych szlaków morskich, a także sąsiedztwo Chin, co ułatwia integrowanie się z istniejącymi łańcuchami dostaw. Ponadto Hanoi zawarło wiele umów o wolnym handlu (ponad 10 porozumień), zapewniając sobie dostęp do rynków zbytu na całym świecie. Te czynniki, w połączeniu z wieloletnimi inwestycjami w infrastrukturę, tworzą solidny fundament pod dalszy wzrost.

METROPOLIA W BUDOWIE

Symbolem gospodarczego skoku Wietnamu jest metropolia Ho Chi Minh City (Sajgon): największe miasto i finansowe serce kraju. To tu mieszczą się

eprasa.pl 430f3f0d50



regionalne siedziby korporacji, powstają start-upy technologiczne i realizowane są najbardziej ambitne inwestycje. Jeszcze 50 lat temu zrujnowany wojną Sajgon liczył nieco ponad 2 mln mieszkańców. Dziś aglomeracja przekracza 9–10 mln mieszkańców, a jej skyline zmienia się z roku na rok. Las żurawi na placach budowy świadczy o boomie budowlanym, wyrastają nowoczesne biurowce, osiedla i centra handlowe. Nad miastem góruje Landmark 81, czyli 81-piętrowy drapacz chmur o wysokości 461 m, otwarty w 2018 r., będący obecnie najwyższym budynkiem w Wietnamie i jednym z najwyższych w Azji Południowo-Wschodniej.

Infrastruktura również szybko nadrabia zaległości. Po latach planów w końcu powstało w Sajgonie metro. W grudniu 2024 r. otwarto jego pierwszą linię o długości 19,7 km, łączącą centrum z przedmieściami. To przełomowy moment dla miasta znanego z wiecznych korków i rojowiska motocykli. Mieszkańcy otrzymali nowoczesną alternatywę transportu publicznego, a władze zapowiadają budowę kolejnych siedmiu linii. Równolegle 40 km od centrum trwa budowa nowego międzynarodowego lotniska Long Thành, które ma odciążyć przeciążony port lotniczy Tân Sơn Nhất i uczynić z regionu hub komunikacyjny na miarę Bangkoku czy Singapuru. Rozbudowywana jest sieć autostrad wokół miasta, powstają nowe mosty i obwodnice. Władze HCMC planują zmobilizować ponad 620 bln dongów (ok. 25 mld dol.) na inwestycje infrastrukturalne już w 2025 r., aby sprostać potrzebom szybko rosnącej metropolii.

Sajgon to także centrum sektora usług i innowacji. W usługach pracuje większość aktywnych zawodowo mieszkańców miasta – od finansów po handel i turystykę. Tętniący życiem rynek start-upów przyciąga młodych przedsiębiorców i inwestorów: wartość ekosystemu start-upowego jak Hồ Chí Minh City szacuje się na 5,2–7 mld dol., co plasuje miasto na trzecim miejscu w Azji Południowo-Wschodniej (po Singapurze i Dżakarcie) pod względem wartości start-upów. Rozkwitają firmy z branż FinTech, e-commerce, gier czy aplikacji mobilnych, a na mapie ekosystemu pojawiły się nawet pierwsze wietnamskie „jednorożce" (start-upy wyceniane powyżej 1 mld dol.). Przykładem jest spółka VNG – lokalny gigant internetowy z siedzibą w Sajgonie czy FinTech MoMo. To dowód, że Wietnam nie tylko montuje cudze produkty, lecz także zaczyna tworzyć własne innowacje technologiczne.

ZWYCIĘZCA DEGLOBALIZACJI?

Dynamika rozwoju Wietnamu skłania analityków do porównań z azjatyckimi tygrysami poprzednich dekad. „The Economist" określił Wietnam mianem „wygranego w erze deglobalizacji", wskazując, że kraj ten potrafił wykorzystać zmiany w światowym handlu na swoją korzyść. Rzeczywiście, gdy wiele państw obawia się odwrotu od globalizacji, Wietnam zdaje się na tym zyskiwać, przejmując część produkcji od sąsiada olbrzyma. Jak ujął to „The Financial Times", jest to wręcz „case study komunizmu, który działa", jednopartyjne władze konsekwentnie stawiają na gospodarkę rynkową i integrację ze światem, a wzrost blisko 7 proc. rocznie czyni obecnie Wietnam jedną z najszybciej rozwijających się gospodarek świata.

Według „The Financial Times" Wietnam to wręcz „case study komunizmu, który działa". Jednopartyjne władze konsekwentnie stawiają na gospodarkę rynkową i integrację ze światem

Oczywiście nie jest to droga wolna od wyzwań. Wietnam musi dbać o równomierny rozwój – różnice między dynamicznym południem (Sajgonem) a biedniejszymi obszarami wiejskimi czy górskimi północy są wciąż odczuwalne. Pojawiają się też wyzwania infrastrukturalne (mimo postępów braki np. w energetyce mogą hamować przemysł) oraz ryzyka polityczne, niestabilność regionalna czy ewentualne naciski ze strony Chin. Niemniej jednak historia ostatnich 30 lat pokazuje niezwykłą zdolność Wietnamu do adaptacji i wzrostu.

Na naszych oczach dawna gospodarka centralnie planowana stała się magnesem dla globalnego biznesu. Fabryki, które kiedyś budowano niemal wyłącznie w Chinach, teraz powstają w strefach ekonomicznych pod Hanoi czy pod Sajgonem. Statystyki? Od wzrostu PKB, przez wolumen eksportu, po wartość inwestycji malują obraz kraju w fazie przyspieszonej industrializacji. Wietnamski robotnik montujący smartfona czy buty sportowe dla zachodniej marki stały się symbolem nowej epoki. Jeśli obecne trendy się utrzymają, to Wietnam ma szansę w perspektywie pokolenia dołączyć do grona państw zamożnych, a jego miasta – jak Hồ Chí Minh City – mogą stać się prawdziwymi metropoliami XXI w. Made in Vietnam już teraz oznacza sukces, a wiele wskazuje, że to dopiero początek.

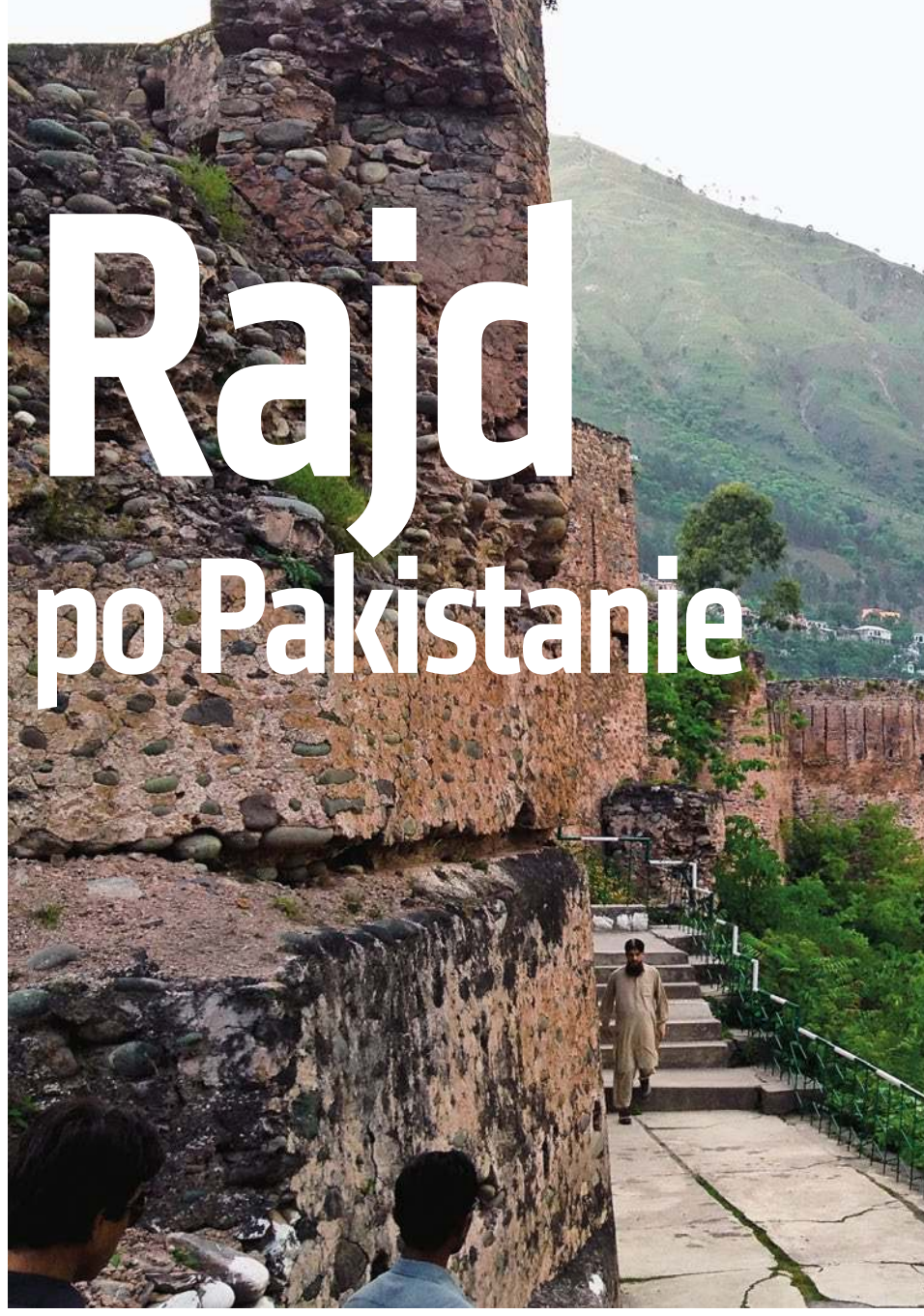
© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 430f3f0d50



Ryszard Czarnecki
z Pakistanu

Rajd po Pakistanie



Pakistanowi – temu największemu na świecie, obok Indonezji, islamskiemu państwu świata – na pewno nie grozi kryzys religijny. Kryzys demograficzny też nie

Młody, może 20-letni mężczyzna w koszulce z napisem „Child of God" wraz z tłumem innych opuszcza meczet w Muzaffarabadzie. To nie jest piątek, a więc ich święto, tak jak dla nas, chrześcijan, niedziela, ale ludzi jest dużo. Także młodych. Pakistanowi – temu największemu na świecie, obok Indonezji, islamskiemu państwu świata – na pewno nie grozi kryzys religijny. Wręcz przeciwnie. Kryzys demograficzny też nie, bo obojętnie, czy jestem w Islamabadzie – aktualnej stolicy, drugiej w historii po Karaczi, czy w Lahore – fascynującym mieście kultury, sztuki i lutowego festiwalu latawców, czy w zbudowanym od podstaw Nowym Mirpurze, czy wreszcie we wspomnianej stolicy pakistańskiego Kaszmiru Muzaffarabadzie – wszędzie widzę masy dzieciaków. Ten muzułmański wyż demograficzny kontrastuje dla mnie z ucieczką od dzieci szeroko rozumianego Zachodu.

Zamknięty dla zwiedzających Czerwony Fort otwierają specjalnie dla nas. Trzeba tylko usunąć motocykl blokujący rzadko teraz używaną bramę. Fort został zniszczony w wyniku trzęsienia ziemi sprzed dwóch dekad. Z fortu widać w dole rzekę Neelum, czyli „zieloną". Na tę samą rzekę za całkiem nieodległą granicą Hindusi mówią „Kishan Ganga". Rzecz jasna, widać też stąd „peerchamasi" – góry. To niższa partia Himalajów.

Budowę Czerwonego Fortu rozpoczęto w 1569 r. za dynastii Czak. Służyć miał jako druga linia obrony. Fort został ukończony przez sułtana Muzaffara Khana, założyciela Muzaffarabadu i reprezentanta dynastii o wdzięcznej nazwie... Bomba, w roku 1646. Niemal kompletną renowację przeprowadził maharadża Gulab Singh w 1846 r., a dokończył ją jego syn maharadża Ranbir Singh, dzięki czemu fort wrócił do swej pierwotnej roli militarnej twierdzy. Po trzęsieniu ziemi kolejną renowację rozpoczęto przed siedmioma laty, co z dumą podkreśla administracja Azad, Jammu, Kashmir Tourism & Archeology na tablicach przypominających, przepraszam za skojarzenie, te w Polsce głoszące chwałę Unii Europejskiej za przekazane z Brukseli środki na inwestycje...

MĘŻCZYŹNI FARBUJĄ WŁOSY, KOBIETY UCIEKAJĄ Z KRZYKIEM

Zmęczył mnie Czerwony Fort. Głównie bardzo wysokimi schodami, których pokonywanie ileś razy w górę i w dół w moim wieku wymaga samozaparcia i wysportowania. Nie na tyle wszak mnie zmitrężył, żebym nie zauważył podobieństwa między skonfliktowanymi państwami posiadaczami broni jądrowej. I w Indiach, i tutaj mężczyźni często farbują włosy, i robią to w bardzo widoczny sposób: Hindusi przede wszystkim na czerwono, w Pakistanie również, ale także na czarne (u starszych) i brązowe (u młodszych).

Wracamy samochodem z miejscowym kierowcą. Cały dumny, że wiezie Europejczyków, dzwoni do żony z komórki z włączoną kamerą i daje jednemu z nas.

eprasa.pl 430f3f0d50



Widok na Czerwony Fort

FOT. YOUNIS JUNEJO/WIKIMEDIA COMMONS CC BY-SA 4.0

Gdy małżonka widzi po drugiej stronie obcego mężczyznę… ucieka z krzykiem.

Zabawny zwyczaj nazywania tutejszych hoteli najbardziej pompatycznymi nazwami, które nijak się mają do rzeczywistości: te wszystkie Royal Continentale czy Palace na poziomie gorszym niż nasze hostele. PR po pakistańsku?

Klęski żywiołowe w regionie to monsuny, które rzeczywiście powodują spore zniszczenia. O trzęsieniach ziemi, przed którymi przestrzegał mnie mój najmłodszy, niespełna 16-letni syn, już wspomniałem. Powodzi tu nie ma – to przypadłość raczej Pendżabu i rzeki Ćanab. Jednak największą klęską od lat są – dla obu stron – stosunki Indii z Pakistanem i wynikające z nich zamachy terrorystyczne, walki graniczne, a ostatnio już nawet pełnoskalowa, choć krótka „wojna pięciodniowa". Była to nie tylko konfrontacja militarna Islamabadu i New Delhi. Także wojskowego sprzętu francuskiego, używanego przez Hindusów (np. Rafale) z uzbrojeniem z Chin, które mieli i mają Pakistańczycy. W prywatnej rezydencji byłego premiera prowincji Azad, Dżammu i Kaszmir ekszef rządu Radza Faruk Haider mówi mi, że na Muzaffarabad spadło sześć rakiet. Jedna trafiła w meczet w pobliżu Czerwonego Fortu i zabiła dwie osoby, w tym dwuletnią dziewczynkę.

GRÓB CHRYSTUSA W PAKISTANIE?

Czy istnieje język „kaszmirski"? Mówią mi, że tak, ale niewiele osób nim włada. Na przykład w regionalnym parlamencie zna go ledwie kilku deputowanych. Tu, jak i w reszcie Pakistanu, króluje urdu. Mówi nim też część mieszkańców Indii oraz... Fidżi. Skądinąd na tym terenie, jak i w pobliskich Indiach, królował kiedyś język perski z oczywistych historycznych względów. A urdu dla Europejczyków na pewno jest łatwiejszy niż sanskryt. No i bliższy arabskiemu – stąd wielu Pakistańczyków włada obydwoma językami, szczególnie ważnymi w świecie islamu. Z kolei język hindi mieszkańcy Pakistanu rozumieją, jak mówi mi jeden z nich, w 80 proc., czego na pewno nie mogą powiedzieć o bengalskim, którym mówią obywatele sąsiedniego Bangladeszu. A przecież do początku lat 70. XX w. był on częścią Pakistanu. Jednak lingwistycznych podobieństw jest tu sporo: choćby w hindi samolot to „riman", a w bengalskim „biman". Pamiętajmy wszak, że choć znajomość języków to rzecz ważna, to jednak nie decydująca, bo – jak mówili nasi rodacy współcześni królowi Michałowi Korybutowi Wiśniowieckiemu w drugiej połowie XVII w. – „nasz Król Jegomość mówi siedmioma językami, ale w żadnym nie ma nic do powiedzenia".

Jednak nie w urdu, ale po angielsku rozmawiamy o „kangri" – miejscach, gdzie używają specjalnych „heaterow": gorących, oplecionych wikliną donic z popiołem ze spalonego drzewa. Wyglądają na swojskie koszyki, ale rzeczywiście dobrze rozgrzewają przyłożone do ciała. Rozmawiamy o tym w cieniu rzeźby pasztuńskiego wojownika...

Ciekawe, że gdzieniegdzie funkcjonuje tu mit o... prawdziwym grobie Chrystusa właśnie tu, w Pakistanie! To na tej muzułmańskiej ziemi ma spoczywać, według niektórych miejscowych, Jezus, bądź co bądź jeden z oficjalnie uznanych – według świętych ksiąg islamu – proroków. Ot, ludowa narracja historii chrześcijaństwa wśród czytelników Koranu. Jednak były premier regionu Azad Dżammu i Kaszmir zaprzecza tej wersji. Z równą siłą zaprzecza, że „militants", jak określa terrorystów, ukrywają się po meczetach w jego

eprasa.pl 430f3f0d50

regionie. Słyszę pretensję, że my, Zachód, nie odróżniamy... „dżihadystów" od terrorystów. I że „dżihadystami", ludźmi „świętej wojny", są np. biczownicy, którzy chłostają się w imię wiary (jak w chrześcijaństwie w średniowieczu, czego już eksszef rządu nie dodaje).

Premier Radza Faruk Haider kopci papierosa za papierosem, aż mu zżółkły siwe wąsy. Rozmawiamy o islamie. Słyszę, że żeby kobieta wyznająca religię hinduistyczną mogła wyjść za muzułmanina, najpierw musi przejść na islam. Podobnie żydówka czy chrześcijanka. A jeśli wyznawczyni islamu chce poślubić wyznawcę Chrystusa lub Jahwe? Musi wyrzec się swojej wiary, bo jest praktykowany zakaz małżeństw mieszanych wyznaniowo.

BAZARY POD HIMALAJAMI

Droga do Mirpur. W samochodzie, chcąc nie chcąc, słuchamy współczesnej pakistańskiej muzyki. Piosenkarza Tahirę Farooqa daje się słuchać. Zulfan Tedian Ludan Khawan Walay. Nie znacie? Serio? Muzyka jest rytmiczna, można przywyknąć, a kierowca zjeżdża po licznych serpentynach, więc nie można go denerwować prośbą o inny repertuar. Gość zresztą mówi po angielsku tak jak ja w urdu. Jest chyba niespełnionym rajdowcem, bo jedzie w dół slalomem niczym na odcinku specjalnym rajdu. Zaczynam rozumieć teraz potoczne określenie „mieć duszę na ramieniu".

Po lewej mamy strome zbocze góry, po prawej rzekę i też stromą górę. Stromizna po obu stronach drogi jest taka, że nie widać z okien auta wierzchołków gór. Dosłownie wrastam w fotel, gdy dostrzegam brak zabezpieczeń na brzegu drogi, za którą jest przepaść kończąca się w rzece płynącej hen, daleko pod nami.

Jedziemy cały czas ostro w dół. Ciągnące się po obu stronach góry wręcz przytłaczają. Po lewej tablica z napisem informującym, że żegnamy się z regionem Azad Dżammu i Kaszmir. Po prawej inna oznajmiająca, że wjeżdżamy do Baltistanu. Gorąco. Nie chodzi tylko o temperaturę powietrza. Mkniemy w dół, w dół, w dół. Znaki drogowe wzywają „slowly" lub „drive slowly – population ahead", ale kierowca nie zna przecież angielskiego, więc nie tylko nie jedzie powoli, lecz także nie próbuje zwalniać. A może nawet jeśli rozumie mowę Szekspira, to jedzie za szybko, żeby przeczytać ostrzeżenia...

Przejeżdżamy przez osadę. Bazary po obu stronach drogi niczym arabski „suk" przeniesiony pod Himalaje. Oto i one: najwyższe góry świata. Tu są niższe niż ich bardziej znana część. Zaśnieżone. Kuszące. Majestatyczne. Na podhimalajskiej szosie gdzieniegdzie jakieś roboty czy robótki drogowe i... bezpańskie psy. W jeszcze większej liczbie widziałem je w Indiach, i to w rejonach tłumnie odwiedzanych przez turystów, jak Kerala czy Goa.

„MASHA ALLAH"

A my wciąż w prawo, w lewo, w prawo, w lewo. Slalom na górskiej drodze. Cały czas w dół, jak w prawdziwym narciarskim slalomie. Jedziemy w konwoju w samochodach na rejestracjach stolicy – Islamabadu, a pierwszy billboard z reklamą, który spostrzegam, promuje Islamabad Tea. Dalej reklama głównego banku regionalnego – Banku Azadu i Kaszmiru. Wielkie maszty na ponad 20 metrów z flagami Pakistanu i Kaszmiru. Ten drugi ma flagę bliźniaczo podobną do Pakistanu, tyle że z żółtym dodatkiem – czworokątem w lewym górnym rogu. Od razu mam skojarzenie z flagami Turcji i Tureckiej Republiki Cypru Północnego: bliźniaczo podobne, tylko inne proporcje kolorów białego i czerwonego. Ta tureckiej części Cypru jest jakby negatywem flagi ojczyzny matki, czyli Turcji.

Stromizna po obu stronach drogi jest taka, że nie widać z okien auta wierzchołków gór. Wrastam w fotel, gdy dostrzegam brak zabezpieczeń na brzegu drogi, za którą jest przepaść kończąca się w rzece płynącej hen, daleko pod nami

Mijamy przydrożny minaret ze szklanymi, niebieskimi kopułami. Drogowskazy są tylko „dla swoich", bo tylko w języku urdu. Dojeżdżamy do „granicy" między pakistańskim Kaszmirem a Pakistanem. Formalnie to jedno państwo, ale Pakistańczycy z Kaszmiru podkreślają mocno swoją odrębność. Słyszę, że „w sercach" mają własną osobną państwowość. Tu kończy pracę nasza policyjna asysta. Wreszcie zaczyna się seria drogowskazów dwujęzycznych – z angielskimi na szczęście. Mijamy miasto o nawie Kelala, która kojarzy mi się z chrześcijańską Keralą w Indiach. Teraz Choki. Tu już w ogóle nie ma przydrożnych zabezpieczeń nad przepaściami i wąwozami, a więc odruchowo wciskam się albo w drzwi od samochodu, albo w siedzenie i podłokietnik, w zależności od tego, czy bierzemy zakręt w lewo czy w prawo. Mijamy nieliczne przydrożne sklepiki z samotnymi sprzedawcami siedzącymi na stołkach przed swoimi kramikami.

Osada Lower Birote. Podróżnik może mieć od razu skojarzenie z... meksykańskim chlebem z regionu Guadalajary – ni to bułki, ni to bagietki. Plansza z ostrzeżeniem, aby w czasie deszczu jechać tędy powoli. Lamy, a może kozy, skubią trawę. Jedziemy za szybko, aby bliżej dostrzec, jakie to zwierzęta, które nie zwracają na nas uwagi.

Miejscowość Julial, drogowskaz na Phagwari. To już Pendżab. Do Murree jest 29 km. Tymczasem po lewej nagle dolina: bardzo stromo w dół. Nie chcę nawet na nią patrzeć ze względu na mój lęk wysokości. Za to po prawej: pionowa ściana. Droga, którą mkniemy, oddziela niebo od czyśćca gdzieś tam, hen w dole.

W samym Phagwari reklama zachwalająca, uwaga, „Muslim Hands", czyli rękodzieła wyznawców proroka Mahometa. Ciasna droga, a po jej obu stronach głównie mężczyźni. Przydrożna restauracja Old Makkah kusi, ale my jedziemy dalej na Alliott – 6 km stąd, a dalej na Islamabad. Żółta zeschnięta trawa przy drodze, która teraz zaczyna się piąć. Tam wyżej jest już intensywna zieleń. Przed nami samochód z dwoma może 10-letnimi chłopcami, stojącymi na zderzakach, dla złapania równowagi trzymających się plandeki. Jadą uśmiechnięci, a świat stoi przed nimi otworem. Obok autobus z napisem „Masha Allah". Właściwie powinno się to pisać „Mashallah".

Po arabsku oznacza to „Jak Bóg chciał" czy też „To, co Allah chciał". Ma wyrażać radość, wdzięczność, podziw, pochwałę za to, co piękne z jednoczesnym uznaniem, że wszystko, co się dzieje, dzieje się z woli Boga...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 430f3f0d50



NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



100. ROCZNICA ZAMACHU MAJOWEGO – PIŁSUDSKI BIERZE WŁADZĘ

Polski spór o Polskę – Za wypadki z maja 1926 r. i rozlew krwi trudno obarczyć pełną winą tylko jedną ze stron konfliktu. Stanowiły one bowiem splot wielu okoliczności zmiennego i mało stabilnego życia politycznego Polski

Generałowie za kratami – Po przewrocie majowym Tadeusz Rozwadowski, Włodzimierz Zagórski, Juliusz Malczewski i Bolesław Jaźwiński zostali aresztowani. Żaden z nich nie stanął jednak przed sądem

Od szacha do ajatollaha – „Ci, którzy krytykowali szacha za brutalność jego tajnej policji, po zmianie władzy zmienili tylko jej nazwę i wykorzystywali ją tak samo, przetrzymując swoich wrogów w tych samych więzieniach" – mówi prof. UŁ Robert Czulda

Rzymscy legioniści w Chinach – To w starożytności narodził się handel światowy oplatający swoimi nićmi tereny od rzymskiej Brytanii do Chin. Było to możliwe dzięki śmiałkom, o których dziś już mało kto pamięta

Norymberska farsa – Winston Churchill przekonywał, że niemieckich zbrodniarzy trzeba najzwyczajniej rozstrzelać. Brytyjski przywódca doskonale bowiem rozumiał, że ich proces będzie kpiną z prawa

Odcięta ręka generała Lee – W bitwie pod Chancellorsville gen. Lee wzniósł się na wyżyny swojego dowódczego geniuszu, będąc bliski zakończenia wojny na warunkach Południa. Jednocześnie stracił tam swojego najlepszego generała, bez którego stało się to niemożliwe

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 430f3f0d50



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Ostatni najazd tatarski

Ziemia Przemyska, której znaczna część pozostaje jeszcze w granicach Polski, stała się w 1699 r. celem ostatniego w historii najazdu tatarskiego na dawną Rzeczpospolitą. Dokonała go orda budziacka koczująca w granicach Mołdawii, pomiędzy ujściem Dniestru i Dunaju, na czarnomorskich stepach. Nazwa zaś „budżak" oznaczała w mowie tureckiej według „Słownika geograficznego Królestwa Polskiego" po prostu: „kąt".

Tatarzy budziaccy wielokrotnie urządzali własne najazdy na Ruś Czerwoną i Ukrainę, nie oglądając się na pomoc braci z Krymu. Tak było, jak podaje Andrzej Gliwa w pracy o zniszczeniach ziemi przemyskiej, 9 października 1620 r., kiedy po klęsce Żółkiewskiego nad Dniestrem Kulim-bej z wydzielonymi oddziałami ordy krymskiej i budziackiej przekroczył granicę. Później orda budziacka wzięła udział w dwóch najazdach w 1621 r.



RYS. OBA

Zaskoczeniem był atak w czerwcu roku 1623, rok przed późniejszym ogromnym najazdem Kantymira, bejlerbeja sylistryjskiego, nienawidzącego Polaków. Tatarzy budziaccy szli wówczas szlakiem wołoskim i uderzyli na powiat drohobycki, założyli kosz pod Medyką, napadli m.in. na wsie dzisiejszego województwa podkarpackiego. Zaatakowali też posiadłości należące do Ordynacji Zamojskiej w okolicach Tarnogrodu i zdobyli Radymno, gdzie spalono 80 domów. Był to jednak tylko wstęp do ogromnego najazdu w 1624 r., kiedy na szczęście zostali rozbici przez Stanisława Koniecpolskiego pod Martynowem.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Ostatni w historii atak tatarski był dziełem opisywanej ordy budziackiej. Nastąpił on w 1699 r., a więc już po zawarciu 18 grudnia traktatu pokojowego w Karłowicach, podpisanego ostatecznie 26 stycznia. Ponieważ zakazywał ordyńcom wszelakich najazdów na Rzeczpospolitą, syn chana Selima I Gereja nureddin Gazi Gerej sołtan postanowił zorganizować ostatnią wyprawę na Polskę, zanim zakończy się 30-dniowy okres przejściowy, przed ostatecznym wejściem w życie postanowień pokojowych. Pod koniec grudnia Tatarzy budziaccy wyruszyli szlakiem wołoskim i zostali wzmocnieni przez ochotników z Mołdawii i Wołoszczyzny. W połowie stycznia przybyli w okolice Kamieńca Podolskiego, jednak nie przekroczyli Dniestru, ale poszli w kierunku Śniatynia po stronie mołdawskiej i wkroczyli do Rzeczypospolitej dopiero ok. 15 lutego. Następnie ruszyli na Bystrzycę Nadwórniańską, Łomicę, Świcę, Stryj i Tyśmienicę, nie zajmując się jednak rabunkami, gdyż chcieli szybko dotrzeć do terenów bardziej zaludnionych. W Warszawie głoszono już zawarcie pokoju z Turkami i odzyskanie Kamieńca Podolskiego. Jednak 17 lutego rozpoczął się niespodziewanie najazd na ziemię przemyską – Tatarzy szli z Żurawna przez Jajkowice i Żyrawę na Daszawę, zakładając kosz w rejonie wsi Medenica pod Drohobyczem, na dzisiejszej Ukrainie. Był to ostatni kosz tatarski na terenach Rzeczypospolitej. Najeźdźcy spustoszyli wsie powiatu stryjskiego – m.in.: Daszawę, Stryhańce, Podhorce, Bereźnicę, Żulin, Lisiatyczę, Uhersko, Dobrzany, Zawadów i Hurnię. Jeden z oddziałów dotarł do rejonu Skola, gdzie zniszczył osadę Klutka, następnie Tatarzy wzięli jasyr w powiatach drohobyckim i samborskim. Najdalej wysuniętą na zachód, zaatakowaną miejscowością stała się Uroż na południe od Sambora, gdzie obronili się przed nimi miejscowi chłopi za umocnieniami ziemnymi. Dotarła tutaj wkrótce także chorągiew jazdy, która pobiła ordyńców.

Przez dwa dni, do 17 lutego, Tatarzy rozpuszczali zagony, łupiąc okolicę, podczas gdy strona polska nie była w stanie uczynić nic poza rozbijaniem drobnych oddziałków. Duży opór stawili chłopi, np. w samej Medenicy część obroniła się za fortyfikacjami, natomiast w Ulicznie, na zachód od Stryja, Tatarzy zdobyli okop, za którym schronili się mieszkańcy. Wzięli szturmem także dwór wójta w Orowie oraz dwór szlachecki w Manastercu, który podpalono, zabijając służbę skarbnika przemyskiego Łabędzkiego. 19 lutego Tatarzy zwinęli kosz i ruszyli z powrotem.

Ostatni ich najazd na Rzeczpospolitą trwał zaledwie cztery dni. W dniach 22–23 lutego wyszli z naszych granic, nie naruszając zresztą traktatu, gdyż w Karłowicach ustalono, że pokój zostanie zaprowadzony w ciągu 30 dni, to znaczy do 26 lutego 1699 r.

21 lutego wycofujący się ordyńcy odparli pod Martynowem atak sześciu chorągwi jazdy polskiej, biorąc jeńców. Było to zarazem ostatnie, mało jednak chwalebne, starcie z konnicą tatarską w dziejach Rzeczypospolitej. ©℗

eprasa.pl 430f3f0d50

VOLVO EX30 CROSS COUNTRY



FOT. JAP

W zeszłą środę oficjalną premierę w Polsce miały elektryczne SUV-y premium średniej wielkości: Volvo EX60 oraz EX60 Cross Country. My przetestowaliśmy z kolei specjalną „terenową" odmianę najmniejszego elektrycznego crossovera tej marki, który szybko zdobył nad Wisłą sporą popularność.

Wersję Cross Country od klasycznego EX30 wyróżniają przede wszystkim zwiększony o 19 mm prześwit, 19-calowe koła i opony przeznaczone do jazdy w trudniejszym terenie, osłony podwozia oraz czarne, matowe wstawki z przodu, z tyłu i plastiki na nadkolach. Napęd na wszystkie łapy zapewniają dwa silniki elektryczne. Twin Motor Performance sprawia również, że sprint do setki zajmuje temu modelowi zaledwie 3,7 s.

Usportowiona „miniterenówka" (bez trybu off-road czy systemu kontroli zjazdu) dobrze sprawdza się zarówno w mieście, jak i podczas weekendowych wypadów drogami gruntowymi. Moc maksymalna wynosi 428 KM, a maksymalny moment obrotowy 543 Nm. Maksymalna prędkość: 180 km/h. Zawieszenie jest mniej sztywne niż w klasycznym EX30 i świetnie radzi sobie ze wszelkimi nierównościami. Dynamiczne auto dobrze się prowadzi i nie przechyla się zbytnio na zakrętach. Lepszy mógłby być jednak układ kierowniczy.

Według producenta auto od 10 proc. do 80 proc. powinno dać się doładować w 26 min. Podczas naszego testu w ciągu 30 min doładowaliśmy auto od 10 proc. do 71 proc. A 90 proc. zobaczyliśmy na ekranie po 50 min od rozpoczęcia ładowania (z maksymalną mocą ok. 100 kW). Maksymalny zasięg wynosi 437 km. W praktyce jest to kilkadziesiąt kilometrów mniej. To wystarcza, aby bez stresu wyruszyć w podróż poza miasto.

Z zewnątrz samochód, ważący niecałe 2 tony i mierzący 423,3 cm długości, 185 cm szerokości (bez lusterek) oraz ok. 157 cm wysokości, wydaje się istotnie większy, niż jest w rzeczywistości. Wnętrze to raj dla fanów szwedzkiego minimalizmu. Jest czysto, ale dużo ładniej niż np. w Tesli (w której również dominuje tylko jeden duży ekran). Na pochwałę zasługują dobór materiałów i ich spasowanie. Szkoda jednak, że obsługę niemal wszystkich funkcji wrzucono do systemu multimedialnego. Aby zmienić położenie lusterek, ustawić klimatyzację, otworzyć schowek lub przełączyć światła z trybu automatycznego na mijania, trzeba klikać, klikać i jeszcze raz klikać.

Bagażnik ma 318 l pojemności (plus 61 l na przewody elektryczne). Po złożeniu oparć tylnego rzędu pojemność bagażowa rośnie do ponad 900 l. Do dyspozycji jest też niewielki przedni kufereczek (tzw. frunk).

Cena tradycyjnego Volvo EX30 zaczyna się od 169,99 tys. zł. Za odmianę Cross Country, która pozwala niemal bezgłośnie zbliżyć się do natury, trzeba zapłacić co najmniej 227,49 tys. zł. Za przyciemniane tylne szyby trzeba dopłacić 1799 zł, a za osłonę przeciwsłoneczną do panoramicznego okna – 830 zł (a trzeba ją kupić koniecznie, bo inaczej wnętrze auta szybko zmienia się w piekarnik). Stanowczo odradzałbym zakup bagażnika dachowego – po jego zainstalowaniu już przy 90 km/h w kabinie robi się nieprzyjemnie głośno. Bez tego niepotrzebnego dodatku we wnętrzu jest przyjemnie cicho.

BEYERDYNAMIC AVENTHO 200



Wysoka jakość dźwięku, obsługa aptX Lossless, niezła aktywna redukcja szumów (ANC), świetna bateria oraz niezawodna łączność Bluetooth 5.4 – to największe zalety zamkniętych, bezprzewodowych słuchawek z wyższej półki niemieckiej marki Beyerdynamic.

Klasyczne, zamknięte słuchawki wokółuszne o składanej konstrukcji ważą 293 g. Na pochwałę zasługują solidne wykonanie oraz elegancki, stonowany design. Można ich używać przewodowo (złącze jack 3,5 mm) lub bezprzewodowo (obsługują łączność Bluetooth 5.4, a ich zasięg wynosi do 15 m). Trudno też mieć zastrzeżenia do ergonomii – tych słuchawek można komfortowo używać nawet podczas dłuższych, kilkugodzinnych sesji.

Pasmo przenoszenia w przypadku tego modelu wynosi od 10 Hz do 22 kHz. Aventho 200 obsługują takie kodeki jak SBC, AAC, aptX Adaptive i aptX Lossless. A jak brzmią? Dynamika jest bardzo przyjemna, a scena muzyczna szeroka i pełna detali. Bas jest mocny, ale nieprzytłaczający, a wokal czysty i neutralny. Na pochwałę zasługuje też dopracowana, intuicyjna w obsłudze aplikacja, w której brzmienie można dostosować do indywidualnych upodobań. Bez zarzutu działają również czujniki wykrywające założenie słuchawek (automatycznie wstrzymują lub wznawiają odtwarzanie muzyki).

Testowany model oferuje dość skuteczny system aktywnej redukcji hałasu (ANC) oraz tryb transparentny (dzięki któremu mimo założonych słuchawek nie traci się kontaktu z otoczeniem). Po stronie plusów trzeba zapisać też multipoint (słuchawki można sparować z ośmioma urządzeniami, a jednocześnie mogą się one łączyć z dwoma z nich, np. ze smartfonem i laptopem).

Czas pracy na jednym ładowaniu wynosi ponad 60 godzin (z wyłączonym ANC) i ok. 40 godzin (z włączoną aktywną redukcją szumów). Można ich więc używać z dala od prądu przez kilka dni. A gdy w końcu się rozładują, wystarczy na kwadrans podłączyć je do ładowarki, aby mogły działać przez kolejne kilkanaście godzin.

A minusy? Po pierwsze, brakuje obsługi Dolby Atmos. Po drugie, lepsza mogłaby być jakość mikrofonów służących do prowadzenia rozmów telefonicznych. Po trzecie, w zestawie znajduje się co prawda całkiem praktyczny miękki worek do przenoszenia słuchawek, ale w przypadku produktu kosztującego ponad 1 tys. zł oczekiwałbym już jednak klasycznego, sztywnego etui.

Cena: 1049 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 430f3f0d50



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK
I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Wypieki pisarki

Inspiracji kulinarnych szukamy wszędzie i wszędzie je znajdujemy. Na tegorocznych Targach Książki Katolickiej także. Wśród setek książek o Bogu, pięknych albumów o sztuce sakralnej, życiorysów świętych, poradników, modlitewników, biografii zacnych ludzi było też stoisko, na którym w otoczeniu licznych książek o aniołach wyłuskałyśmy bardzo apetyczną okładkę. Wiedzione niezawodnym instynktem łowczyń smaków postanowiłyśmy się przyjrzeć bliżej owej „Pisarce od kuchni". Dwuznaczny tytuł bardzo nam się spodobał, podobnie jak sama autorka. Uśmiechnięta, szybko nawiązująca kontakt, serdeczna i mądra. No a przy tym to nazwisko! Nawrocka! Zapytałyśmy, czy z „tych" Nawrockich – okazało się, że nie, ale „tych" serdecznie pozdrawia.

Jakim daniem mogłaby zaskoczyć autorka książek czytelników naszej rubryki? – zapytałyśmy. Zaproponowała Cappuccino Ardiwy – ciasto, którym wygrała konkurs osiedlowy. Ardiwa zaś to imię jednej z głównych bohaterek powieści fantasy „Alhar, syn Anhara" autorstwa właśnie Małgorzaty Nawrockiej.

Obecny na stoisku mąż pisarki potwierdził, że wszystkie wypieki znikają do ostatniego okruszka. Nie tylko zresztą rodzina korzysta z talentu kulinarnego pani Małgosi, lecz także sąsiedzi, i wszyscy inni go chwalą. Tak więc dziś podajemy wam literacki przepis na Cappuccino Ardiwy i odsyłamy do innych publikacji Małgorzaty Nawrockiej, wśród których jest wiele wartościowych książek dla dzieci i młodzieży.



Dodamy na koniec, że wszystkie zdjęcia w książce „Pisarka od kuchni. Ciasta" robione były w domu autorki, a wszystkie potrawy zostały najpierw przez nią osobiście przygotowane. Zachwyciły nas estetyka kuchni i stołu oraz sposób pokazania wypieków, a je się przecież oczami!

Ciasto Ardiwy

• 2 1/2 paczki okrągłych biszkoptów • 3 czubate łyżki kawy sypanej • 25 g margaryny kanapkowej • 2/3 szklanki cukru • 2 szklanki mleka pełnotłustego w proszku • 900 g serków waniliowych • 2 czubate łyżki żelatyny • 1 kg świeżych lub mrożonych truskawek • 2 galaretki truskawkowe

Połowę biszkoptów wykładamy na dno tortownicy. Kawę zalewamy kubkiem wrzątku, studzimy, polewamy starannie biszkopty. Margarynę ucieramy z cukrem. Miksując, dodajemy serki. Na koniec wsypujemy mleko, całość miksujemy ponownie. Żelatynę zalewamy w filiżance zimną wodą na ok. 1 cm powyżej powierzchni proszku i mieszamy na gładką masę. Po dwóch minutach powstały żelek rozpuszczamy w suchym garnku postawionym na małym ogniu, po czym płyn wylewamy cienkim strumieniem do masy serowej, intensywnie miksując. Na kawowych biszkoptach rozsmarowujemy połowę kremu, układamy drugą warstwę biszkoptów, także zalewamy je kawą, po czym dodajemy resztę masy. Na niej układamy pięknie truskawki i zalewamy przestudzoną galaretką truskawkową. Całość trzeba schłodzić w lodówce. ©℗



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Wakacje w Toskanii



FOT. ADOBE STOCK

Ach, jak tu pięknie – krzyknęły dzieci, chociaż w zasadzie słowo „pięknie" nie należy do ich zwyczajowego języka. Ale ani „mega", ani „cool" jakoś nie pasowały do miejsca, w którym się znajdowaliśmy.

Dom stał na lekko nachylonym trawiastym wzgórzu porośniętym drzewami oliwnymi. Zbudowany z kamienia, z niewielkimi oknami, zielonymi żaluzjami i białymi okiennicami wyglądał na dość nowy, ale miał też wszystkie cechy tradycyjnego wiejskiego budownictwa. Toskanii.

Rzeczywiście było pięknie. Ani śladu cywilizacji, żadnych sąsiadów, cisza absolutna, a przecież tylko trochę poniżej była ruchliwa szosa do Lukki. Nasz tygodniowy pobyt zapowiadał się wspaniale. Śniadania będziemy jadać na zadaszonym tarasie – dach się przyda, bo z siedmiu dni na trzy zapowiadają deszcz. Na razie pogoda piękna. Kolacje będziemy jadać w ogrodzie; przy basenie są kamienny piec do pizzy, grill i kamienny stół.

Wieczór był pogodny, słońce zachodziło za wzgórzem i migało za rosnącymi na szczycie sosnami. Zjedliśmy bruschetty, ryby upieczone na żywym ogniu, cukinie i szparagi. Na deser czekoladki.

A potem wszyscy padnięci położyli się wcześnie spać.

Zaraz jak tylko wczasowicze rozeszli się po swoich pokojach, Krysia pojawiła się na schodach z laptopem w ręku. – Muszę go naładować, bo mam zero prądu, ale nie mogę sobie poradzić z tym kontaktem. Wtyczka nie chce wejść do otworu. A w ogóle to po co są te trzy przyciski, skoro działa tylko jeden? Beznadziejny tu mają ten system.

Nazajutrz obudziliśmy się późno, zapewne dlatego, że za oknem świat tonął w strugach deszczu. I się zaczęło:

– Strasznie zmarzłem. Ta jedna chuderlawa pseudokołdra to nic na te zimne mury.

– Ojej, mnie też było zimno. Ten dom to lodownia jakaś.

– U mnie nie ma Internetu. Ani wi-fi, ani tego z nieba. Żadnego. Jak żyć?

– Mamo, co będziemy jedli na śniadanie? Nic tu nie ma. Co będziemy robić w taką pogodę?

– Klozet zepsuty. Nie ma kawy. Trzeba iść po zakupy. Kto pójdzie w ten deszcz?

– Ojej, zobaczcie, w kuchni jest kałuża. To tam przecieka, w rogu. Dachówka się obsunęła. Jak my tu wytrzymamy cały tydzień? Zimno, deszcz, bez Internetu nuda, dach dziurawy.

– Chciałbym być w domu. Tam wszystko działa...

– Tato, kiedy wracamy? ©℗

eprasa.pl 430f3f0d50



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Opowieść o bohaterze

Italia z wielkim bólem pożegnała bohatera narodowego, kierowcę wyścigowego i paraolimpijczyka Alexa Zanardiego. Zmarł w domu w Padwie w wieku niecałych 60 lat. Prezydent Sergio Mattarella w specjalnym oświadczeniu napisał z tej okazji: „Przez lata Zanardi był punktem odniesienia nie tylko dla całego świata sportu. Podziwialiśmy go za odwagę i wielkiego ducha walki, a także za to, że zarażał wszystkich swoim entuzjazmem. Pozostanie na zawsze w sercach i pamięci Włochów".

To są słowa najszczerszej prawdy. Na wszystkich włoskich arenach sportowych w weekend 2–3 maja wszystkie zawody, od stadionu San Siro, katedry włoskiego futbolu, po prowincjonalne hale sportowe, rozpoczynały się tak samo: od wygaszenia świateł, wyświetlenia fotografii Zanardiego i minuty ciszy. Ale nie było ciszy. Była burza frenetycznych oklasków i łzy w oczach. Wszystkie włoskie gazety wyszły z czarno-białą fotografią Zanardiego na pierwszych stronach.

Jako bardzo młody, kilkunastoletni chłopiec Alex błysnął talentem w wyścigach gokartów. Rodzice nie byli zamożni. Tato był hydraulikiem, a mama trudniła się szyciem koszul. Pierwszy pojazd skonstruował mu ojciec dosłownie ze złomu. Umiejętności i postawa na torze Aleksa wzbudziły zachwyt bogatego ojca jednego z konkurentów, który postanowił go sponsorować. Dzięki temu w wieku 18 lat zdobył tytuł gokartowego mistrza Włoch.

W 1991 r., poprzez Formułę 3000, trafił do królewskiej F1. Jeździł dla stajni Jordana, Minardi i Lotusa, ale kariery nie zrobił. Nie dysponował odpowiednio szybkim bolidem. Przeniósł się więc do USA, by ścigać się w bardzo popularnej CART Series, gdzie pokazywał cuda. Potrafił wygrać wyścig, startując z ostatniej pozycji. Dwukrotnie zdobył tytuł mistrzowski. W 2001 r. prowadził w wyścigu na niemieckim torze w Klettwitz, ale stracił panowanie nad kierownicą. Wjechał w niego z szybkością 320 km/h jeden z rywali. Alex cudem przeżył, ale stracił obie nogi. Przeszedł 15 operacji.

Dwa lata później ścigał się już w Mistrzostwach Świata Samochodów Turystycznych, wygrywając dla BMW cztery wyścigi. W 2007 r., w wieku 41 lat, przesiadł się na rower ręczny i na paraolimpiadach w Londynie (2012) i Rio (2016) zdobył cztery złote medale. Stał się bohaterem narodowym Włoch – symbolem niezłomnej, zwycięskiej walki z gigantycznymi przeciwnościami losu.

W 2020 r. wystartował w sztafecie, ale nie dla własnej chwały. Zbierał fundusze dla niepełnosprawnych. Wpadł rowerem na ciężarówkę i do sprawności już nie powrócił. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Hej, płyniemy!

Zauważyłem, że jak stanie się od wielkiego dzwonu coś niestandardowego, to się nagle zlatują celebryci (i ci rozrywkowi, i ci polityczni) i próbują się przykleić do inicjatywy albo zdarzenia.

Pierwszy przykład to kwestia rekordowej zbiórki inicjatywy Łatwoganga. Sama inicjatywa zaskoczyła mainstream, gdyż ten nie dopuszczał innych form charytatywności niż Owsiakowy produkt dobroczynności, coraz bardziej korporacyjnej, jeśli nie państwowej. Zaskoczenie popularnością tej nowej spontanicznej akcji było tak duże, że właściwie media zauważyły ją praktycznie dopiero przy jej końcu, co dowodzi, że ani nie wyłapują takich organicznych rzeczy, ani ich wsparcie nie ma dla samych zbiórek większego znaczenia. No, może z wyjątkiem akcji Świątecznej Orkiestry Owsiaka, gdyż ta na wsparciu za publiczne środki stoi.

Zlecieli się też do tej akcji celebryci. Ci mocno się spóźnili, ich doradcy do spraw PR zorientowali się dość późno, trzeba było nadrabiać stracony czas i fala celebryctwa zalała zbiórkowiczów. Co ciekawe, sami inicjatorzy zbiórki w swej prostodusznej nieświadomości w ogóle nie rozumieli, któż to taki ich odwiedza, i celebryci pierwszy chyba raz w życiu musieli się przedstawić szerszej publice. Dzięki temu np. mogliśmy się dowiedzieć rewelacji, że pierwsza w III RP arcykapłanka wolnych mediów, pożeraczka na żywo przeciwników Tuska, wzorzec, jak się przesłuchuje polityków, by ci publicznie przyznali się do winy, sama ma się za działaczkę społeczną i promotorkę własnych książek. Ale trzeba było się podłączyć pod fejm i się poszło, by dać świadectwo swej, wyrachowanej w końcu, spontaniczności. Parę osób ogoliło głowy na znak solidarności, od czego zapewne dzieci przestaną umierać na raka.

Drugi przykład przyklejenia się celebrytów do głośnego wydarzenia to ostatnio sprawa tragicznie zmarłego posła Litewki. Dla mnie – przed tą śmiercią – raczej posła no name'a. Podejrzewam, że dla większości także. Ale co ja tu widzę? Teraz okazuje się, że wszyscy go znali, uwielbiali, wspierali, nawet towarzysz z tej samej listy – marszałek Czarzasty – który dostał na tej liście ze dwa razy mniej głosów niż zabity poseł Litewka, co dość frustrowało marszałka, a co nie przeszkadzało mu – komuniście – wygłosić na pogrzebie rzewne przemówienie. I to gdzie? W kościele.

Smuci ten poziom wyrachowania polskich pseudoelit, ale satysfakcję może sprawiać świadomość, że muszą one codziennie nerwowo nasłuchiwać, do czego tu się można przykleić, by – cytując „Diatrybę" Młynarskiego – zakrzyknąć: „Hej, płyniemy!". ©℗

eprasa.pl 430f3f0d50



SPODE ŁBA

Morze, nasze morze…

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Bardzo ciekawe kształty przybiera w ostatnich dniach spór ukraińsko-izraelski. Ukraina zarzuca Izraelowi, że pozostając w znakomitych relacjach z Rosją, kupuje od reżimu Putina „kradzione" ukraińskie zboże. Ukraińscy politycy i media nie przebierają w słowach. „Izrael wybiera bycie paserem rosyjskich zbrodni, zamiast bycie sumieniem świata. Kupowanie skradzionego ukraińskiego ziarna to nie jest pragmatyzm, to bezpośrednie finansowanie rakiet, które jutro mogą uderzyć w waszych przyjaciół" – oświecił najbliższego sojusznika USA doradca Biura Prezydenta Ukrainy, Mychajło Podolak. Podobnie wypowiedziała się posłanka do Rady Najwyższej Ukrainy, Mariana Bezuhla: „Wspieranie gospodarcze Rosji w momencie, gdy ta niszczy naród ukraiński, czyni z rządu Izraela cichego wspólnika w nowym ludobójstwie".



Politycy izraelscy nie zostawiają tych zarzutów bez odpowiedzi. „To szczyt bezczelności, by państwo, które do dziś stawia pomniki mordercom Żydów, jak Bandera czy Szuchewycz, śmiało oskarżać Izrael o brak moralności. Ukraina powinna najpierw przeprosić za krew naszych przodków na swoich rękach, zanim zacznie liczyć ziarno w naszych portach" – oświadczył minister bezpieczeństwa wewnętrznego Itamar Ben-Gwir.

Izraelscy politycy mogą grać ostro. Prezydent Wołodymyr Zełenski podpisał właśnie ustawę, zgodnie z którą za przestępstwa motywowane antysemityzmem będzie na Ukrainie groziło do ośmiu lat więzienia. Obowiązująca tam definicja antysemityzmu zaczerpnięta została z wytycznych International Holocaust Remembrance Alliance (IHRA). Zgodnie z definicją IHRA, wyjątkowo elastyczną i szeroką, za antysemityzm uznaje się także „porównywanie współczesnej polityki Izraela z polityką nazistów". Ukraińscy prokuratorzy mogą więc z czystym sumieniem pakować za kratki własnych polityków i dziennikarzy za emocjonalne wpisy o „izraelskich wspólnikach w ludobójstwie", gdyż w świetle uznanej przez Ukrainę definicji są one antysemickie.

W październiku roku 2021 wicepremier oraz minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński ogłosił przyjęcie przez Polskę tej samej definicji antysemityzmu, opracowanej przez IHRA. Miało to miejsce przy okazji Międzynarodowego Forum Pamięci o Holokauście w Malmo. Rząd polski, reprezentowany przez wicepremiera Glińskiego, zadeklarował wówczas pełną implementację definicji IHRA do krajowego porządku edukacyjnego i prawnego.

Polityka międzynarodowa światowych mocarstw ulega, na naszych oczach, kardynalnym przeobrażeniom. Dwaj strategiczni sojusznicy USA obrzucają się dziś publicznie oskarżeniami o ludobójstwa. Specjalny wysłannik prezydenta Donalda Trumpa na Białoruś prowadzi tam właśnie owocne negocjacje, w wyniku których USA złagodziły sankcje wobec kluczowych białoruskich przedsiębiorstw – producentów nawozów sztucznych. Departament Skarbu USA wydał także licencje pozwalające na dokonywanie transakcji finansowych z Ministerstwem Finansów Białorusi oraz dwoma tamtejszymi bankami państwowymi. To elementem tego „dealu" było uwolnienie z białoruskiego więzienia Andrzeja Poczobuta.

Tymczasem architekci polskiej polityki wschodniej nadal sprawiają wrażenie, jak gdyby wypowiadane przez lata frazesy przyćmiewały im ogląd wydarzeń. Niektórzy odgrywają niepoczytalnych. Pytany o ewentualny udział Polski w wojnie Amerykanów i Izraela z Iranem były minister obrony, Mariusz Błaszczak, stwierdził, że „gdybyśmy rzeczywiście mieli dwa lotniskowce, no to jeden z tych lotniskowców moglibyśmy wysłać na Bliski Wschód, by wesprzeć USA w działaniach na Morzu Czerwonym". Rojenia o polskich lotniskowcach śmiało rozsnuwać może jedynie nastolatek po obejrzeniu „Bitwy o Midway". Błaszczakowe „Kidō-butai", prujące fale Pacyfiku, należałoby tylko obsadzić załogą polskich polityków, ekspertów i wojskowych, którzy nie mniej absurdalne fantazje wspierali dotychczas swoim autorytetem i tytułami. Czy starczyłoby ich na załogę lotniskowca, wątpię, lecz spokojnie zaokrętować się mogą na przedstawiony przez Hieronima Boscha „Statek głupców". ©℗

eprasa.pl 430f3f0d50



GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Sens straszenia wojną

W 1875 r. w utworzonej ledwie kilka lat temu Rzeszy Niemieckiej pojawił się „kryzys wojny na horyzoncie" (Krieg-in-Sicht-Krise). W ten sposób do historii przeszła inspirowana przez kanclerza Rzeszy Ottona von Bismarcka kampania prasowa, która miała przede wszystkim wysondować opinię głównych mocarstw europejskich odnośnie do perspektywy kolejnej wojny niemiecko-francuskiej. Ostatnia zakończyła się w 1871 r. upokarzającą klęską Francji, która musiała pogodzić się z utratą Alzacji i Lotaryngii, została zmuszona zapłacić Berlinowi gigantyczną jak na tamte czasy kontrybucję w wysokości 10 mld franków w złocie, a gloire de France zadano bolesny cios, ogłaszając króla Prus Wilhelma I Hohenzollerna cesarzem niemieckim w Sali Zwierciadlanej pałacu wersalskiego – w miejscu symbolu potęgi Francji od wieków dbającej, by na wschód od Renu panowała polityczna mozaika.

W 1871 r. europejskie mocarstwa nie podjęły interwencji, gdy w centrum Europy dokonywała się geopolityczna rewolucja, jak fakt powstania zjednoczonych Niemiec nazwał lider torysowskiej opozycji Benjamin Disraeli. W 1875 r. sytuacja jednak się zmieniła. Zarówno Wielka Brytania, jak i Rosja dały wyraźnie do zrozumienia, że nie będą bezczynnie patrzeć na planowane przez Bismarcka kolejne prewencyjne uderzenie we Francję, która ku zaniepokojeniu „żelaznego kanclerza" nadzwyczaj szybko spłaciła narzuconą jej kontrybucję i przystąpiła do odbudowy swojego potencjału militarnego.

Balon próbny w postaci kampanii prasowej o „bliskiej wojnie" spełnił jednak swój cel. Bismarck dowiedział się, że zarówno Londyn, jak i Petersburg nie zaakceptują trwałego naruszenia europejskiej równowagi poprzez kolejne zmiażdżenie Francji przez deutsches Kulturvolk. Bismarck rosyjskie „nie" usłyszał w 1875 r. osobiście od kanclerza rosyjskiego imperium Aleksandra Gorczakowa, który towarzyszył carowi Aleksandrowi II podczas jego oficjalnej wizyty w Berlinie.

Te odległe wydarzenia przypomniały mi się, gdy przeczytałem wywiad premiera polskiego rządu dla „Financial Times", w którym pojawiła się fraza, że w niedalekiej przyszłości, mierzonej już nie latami, ale miesiącami, Rosja może zaatakować NATO. Prezes Rady Ministrów uzupełnił tę przepowiednię o konstatację, że Stany Zjednoczone przestały już odgrywać rolę przewidywalnego gwaranta bezpieczeństwa europejskiej części paktu północnoatlantyckiego.

Gdy dwóch mówi to samo, to nie jest to samo. Wiem, że czymś karkołomnym jest porównywanie obecnego polskiego premiera do Bismarcka, ale trzeba przypomnieć, że „żelazny kanclerz" straszył wojną, mając kraj uzbrojony po zęby i szefa sztabu (Helmuta von Moltkego), który w ciągu kilku kolejnych wojen udowodnił, że zna się na swoim rzemiośle. Gospodarka Rzeszy Niemieckiej pędziła na najwyższych obrotach, bazując na własnym wzroście, a nie na „dopalaczach" w postaci gigantycznego zadłużenia własnego budżetu. U nas pod każdym z tych względów jest trochę inaczej. Piszę eufemistycznie, by nie naruszać morale czytelników.

Może szefowi polskiego rządu chodziło o to samo, o co Bismarckowi – sprawdzenie reakcji zagranicy?

A może szefowi polskiego rządu chodziło o to samo, o co Bismarckowi – sprawdzenie reakcji zagranicy? Przypuszczam, że wątpię, by prezydent Donald Trump poczuł się zawstydzony zarzutami pod swoim adresem, że nie dba o bezpieczeństwo Europy. Tym bardziej że zarzuty te padły z ust polityka, który całkiem niedawno publicznie utrzymywał, że obecny amerykański prezydent jest na usługach Władimira Putina.

Można oczywiście domniemywać, że prezes Rady Ministrów, strasząc nadchodzącą w perspektywie kilku miesięcy wojną, chciał wywołać „efekt flagi", czyli naturalne w sytuacji zewnętrznego zagrożenia skupienie się obywateli przy rządzie, jakikolwiek by on był. Oznaczać by to mogło, że „flaga" miałaby przykryć coś bardzo niedobrego, co czeka nas w perspektywie kilku miesięcy. Na przykład załamanie się budżetu na skutek gigantycznego zadłużenia.

A może wywiad premiera RP trzeba jakoś łączyć z publicznymi wypowiedziami kanclerza Friedricha Merza, który stwierdzał, że „Iran upokarza USA". W obu przypadkach chodziło o deprecjonowanie roli Waszyngtonu jako gwaranta euroatlantyckiego bezpieczeństwa, by tym bardziej podkreślać znaczenie fantomu pt. „europejska polityka obronna". Na szczęście dla nas kanclerz Merz to nie kanclerz Bismarck. ©℗

eprasa.pl 430f3f0d50

KOWADŁO



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Konstytucja powinna być pisana tak, jakby to były wytyczne dla niesfornego nastolatka. Gdy się nastolatkowi zostawia kartkę z poleceniami, co ma zrobić lub czego nie robić, lepiej pisać mało i w punkt, bo każde dodatkowe słowo daje nowe pole do interpretacji.

Przykład: Ktoś napisał „Jak skończysz odrabiać lekcje, wynieś śmieci". Błąd. Nastolatek nie wyniesie śmieci, bo mu się nie chce. Postąpi zgodnie z instrukcją, czyli nie skończy odrabiać lekcji po to, by nie wynieść śmieci. To kwestia celu. Cele rodzica są dwa: Najpierw ma skończyć lekcje, a potem wynieść śmieci. Celem nastolatka jest nie wynieść śmieci, bo to obciach, gdy go kumple widzą z worem. W tej sytuacji lepiej pisać krótko na dwóch osobnych kartkach: „Zrób lekcje", „Wynieś śmieci". Dwie odrębne sprawy, każda ma być wykonana.

Napisaliśmy krótko, ale i tak nie mamy gwarancji prawidłowego wykonania. Słowo „wynieś" przy złej woli pozwala wystawić worek ze śmieciami na balkon lub klatkę schodową i będzie zaliczone. Wyniosłem. Ale miałeś wynieść do śmietnika na podwórku, to przecież OCZYWISTE.

Ha! W sporach z nastolatkiem, tak jak w sporach konstytucyjnych, NIC nie jest oczywiste. Dorośli ludzie na stanowiskach, sędziowie, posłowie mogą się bawić w interpretacje pojedynczego słowa i twierdzić, że zaprzysiężenie sędziów odbyło się prawidłowo, choć prezydenta przy tym nie było. Tekst konstytucji nie powinien zostawiać możliwości na takie gierki. Dlatego konstytucję piszemy łopatologicznie, jak dla debila. Żadnych ozdobników, zero mowy wykwintnej. Dobra konstytucja jest jak kowadło; prosta, twarda, nie daje się złamać ani zepsuć i koniecznie musi zakładać złą wolę polityków.

Konstytucję trzeba pisać z pozycji obywateli, którzy polityków traktują jak przemądrzałych i upartych nastolatków. Konstytucja ma zabezpieczać prawa i wolność obywateli, i tylko ich. Celem dobrej konstytucji wcale nie jest to, by państwo działało sprawnie. E-e. Dobra konstytucja ma uniemożliwić dyktaturę władzy nad obywatelem! Konstytucja ma nas chronić przed dyktaturą, przed systemem totalitarnym – to jedyny cel i sens konstytucji.

***

Konstytucję należy pisać na czasy złe, a nie na dobre. W dobrych czasach wszyscy mają dobrą wolę, realizują te same cele i umowa pisemna jest niekonieczna. Dogadałeś się z kumplem, że kupujesz u niego marchew, on ci tę marchew dowozi na czas, ty mu płacisz na czas – gdy wszystko idzie dobrze umowa pisemna nie jest potrzebna. Umowę oraz konstytucję należy pisać z myślą o czasach złych – gdy każdy z każdym się kłóci, nikt nikogo nie chce słuchać lub jest wojna i nie mamy czasu na spory. Konstytucja powinna być spisana w punktach niedających pola do interpretacji. To jest słowo kluczowe: interpretacja. Konstytucja powinna być spisana tak, aby nie dało się jej interpretować na kilka sposobów. Gdy przed tobą stoi kowadło, nie ma czego interpretować.

***

Konstytucja ma zawierać prosty podział zadań oraz ustalić, kto przed kim odpowiada.

Aby proces podejmowania i wdrażania decyzji był sprawny, powinien być opisany tak: Jedyną władzę wykonawczą w kraju stanowi prezydent. [A czy prezydent dobierze sobie do pomocy ministrów czy mianuje urzędników i jak podzieli zadania, to już zależy od konkretnego prezydenta. Każdy kolejny prezydent może sobie tworzyć lub likwidować niższe szczeble władzy wykonawczej. Niższe szczeble to podwykonawcy na usługach prezydenta i tym konstytucja się nie zajmuje].

***

Trwa dyskusja: czy wybrać system prezydencki czy system z premierem jako władzą wykonawczą. Jeżeli system ma działać sprawnie, to którąkolwiek z tych opcji wybierzemy, cała władza wykonawcza powinna być w jednym ręku – JEDEN kapitan na okręcie. Czyli albo premier, albo prezydent, ale nigdy obaj naraz, bo się robi bajzel.

Ja wybieram system prezydencki. Wersja z premierem ma kolosalną WADĘ – premier (władza wykonawcza) wywodzi się z parlamentu (czyli z władzy ustawodawczej). Premier jako członek parlamentu występuje w dwóch rolach: głosuje jako poseł za uchwaleniem budżetu dla samego siebie jako premiera. Chore. Premier, jako poseł, głosuje przeciw wotum nieufności dla samego siebie. Chore. Premier jako poseł wybiera premiera. Chore. Premier sprawuje władzę kontrolną nad samym sobą jako władzą wykonawczą, czyli premier jest sędzią we własnej sprawie. Chore.

***

Artykuł drugi: jedyną władzą ustawodawczą jest Sejm. Nikt inny w państwie nie tworzy prawa. [W obecnej konstytucji są zapisy o tym, że konkretne przepisy WYKONAWCZE ustalać będą niższe urzędy. A co to takiego „przepisy wykonawcze"? To jest odrębne prawo tworzone przez urzędników mianowanych, a nie wybieranych. Chore. To tak samo jak z nastolatkiem, który miał wynieść śmieci. Sejm kazał wynieść śmieci, a nastolatek wynosi na balkon, bo takie wymyślił przepisy wykonawcze. Dlatego nastolatkowi ani urzędnikowi nie należy zostawiać ŻADNEJ możliwości tworzenia ani interpretowania prawa].

***

Artykuł czwarty: wszystkie władze pochodzą z wyboru. [Dodam stanowczo, że dotyczy to także sędziów. Każdy sędzia w kraju musi pochodzić z wyboru. Każdy co do sztuki musi się ubiegać o poparcie narodu w wyborach w jednomandatowym okręgu wyborczym. Naród ma wybierać swoich sędziów bez pośrednictwa polityków! Sędzia składa przysięgę przed narodem, przysięga obywatelom, którzy go wybrali. Nikomu innemu nigdy].

Głosy w wyborach liczymy normalnie – na sztuki. Żadnych list partyjnych i liczenia w systemie D'Hondta, żadnych parytetów partyjnych ani progów wyborczych. Każdy kandyduje indywidualnie jako osoba z imieniem i nazwiskiem, z osobistym życiorysem. Są wyłącznie indywidualni kandydaci, ubiegają się o głosy we własnym imieniu, a potem mogą się grupować w partie polityczne oraz tworzyć frakcje. Reprezentują zawsze i wyłącznie swój okręg wyborczy, nigdy partię. Do partii mogą sobie należeć, ale mają reprezentować wyborców, a nie partię. ©℗

eprasa.pl 430f3f0d50

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKI

„PRAWNA OBRONA PRZED POLONOFOBIĄ"
„PRAWNA OBRONA WOLNOŚCI SUMIENIA I IDEOLOGIA LGBT"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1291 ZŁ~~

539,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 752 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 430f3f0d50

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY



Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl 430f3f0d50